



# FREDERICK FORSYTH

UMYSŁ MOŻE BYĆ NAJGROŹNIEJSZĄ BRONIĄ

# FOX

ALBATROS

## ZIMNA WOJNA W EPOCE INTERNETU

**Młody geniusz komputerowy i emerytowany agent, szara eminencja brytyjskiego wywiadu. Jeden ma kłopoty z nawiązaniem najbardziej podstawowych relacji z otoczeniem. Dla drugiego komputery i cyberprzestrzeń to czarna magia.**

**Razem mogą działać cuda, by zapobiec wojnie, która nie jest już na horyzoncie. Jest bliżej, niż nam się wydaje.**

Ktoś się włamał do najlepiej chronionej bazy danych Agencji Bezpieczeństwa Krajowego USA. Nic nie ukradł, nie dokonał sabotażu, po prostu wszedł i wyszedł.

Kiedy w końcu Amerykanom, których duma została głęboko zraniona, udaje się znaleźć sprawcę w Wielkiej Brytanii, nie mogą uwierzyć: hakerem jest Luke, osiemnastoletni Anglik z zespołem Aspergera.

Żądają ekstradycji chłopaka, ale sir Adrian Weston, doradca brytyjskiej premier, ma wobec niego zupełnie inne plany...

**FREDERICK  
FORSYTH**

**FOX**

Z angielskiego przetłóżył  
**ROBERT WALIŚ**

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

## FREDERICK FORSYTH

Słynny brytyjski pisarz i dziennikarz, autor thrillerów szpiegowskich, które stały się klasyką gatunku.

Jako siedemnastolatek wstąpił do RAF-u i uzyskał licencję pilota wojskowego. Dwa lata później porzucił służbę na rzecz dziennikarstwa. W latach 60. był korespondentem Reutera w Berlinie oraz BBC w Afryce, gdzie powstały jego słynne reportaże z Biafry.

Światową sławę przyniósł Forsythowi thriller o zamachu na prezydenta de Gaulle'a **Dzień Szakala**, który doczekał się dwóch słynnych adaptacji filmowych. Kolejne powieści i zbiory opowiadań – m.in. **Akta Odessy**, **Psy wojny**, **Diabelska alternatywa**, **Dezinformator**, **Czarna Lista** czy **Fox** – ugruntowały jego pozycję na światowym rynku wydawniczym, podobnie jak kolejne ekranizacje jego tekstów i liczba sprzedanych egzemplarzy, która już dawno przekroczyła 100 milionów.

*Tego autora*

DZIEŃ SZAKALA

AKTA ODESSY

PSY WOJNY

PASTERZ

DIABELSKA ALTERNATYWA

CZWARTY PROTOKÓŁ

DEZINFORMATOR

PIĘĆ BOGA

IKONA

WETERAN

MŚCICIEL

AFGAŃCZYK

KOBRA

CZARNA LISTA

WET ZA WET

FOX

Tytuł oryginału:  
THE FOX

Copyright © Frederick Forsyth 2018  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Robert Waliś 2019

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcia na okładce: © Mint Images/Getty Images (*Kreml*), Jochen Tack/BE&W (*helikopter*), iPostnikov/Shutterstock (*Westminster*), i3alda/Shutterstock (*celownik*), piyaphong, Vandathai/Shutterstock (*wybuch*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-713-8

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

# Spis treści

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Lista postaci i organizacji](#)

[Przypisy](#)



*Z serdecznymi podziękowaniami dla mojego znakomitego asystenta Marcusa Scrivena, który namierzył tak wielu ukrytych ekspertów, oraz dla Jamiego Jacksona, którego wiedza na tematy wojskowe jest niezrównana. A także dla innych, którzy rozmawiali ze mną poufnie, pragnąc zachować anonimowość.*

# Rozdział pierwszy

Nikt ich nie widział. Nikt ich nie słyszał. Tak miało być. Ubrani na czarno żołnierze sił specjalnych przemykali chyłkiem w całkowitej ciemności ku wskazanemu domowi.

W centrach większości miast zawsze lśnią światła, nawet w środku nocy, lecz to były przedmieścia prowincjonalnego angielskiego miasteczka i uliczne latarnie zgasły tutaj o pierwszej. Nastąpiła najciemniejsza godzina, druga nad ranem. Obserwował ich samotny lis, który instynktownie trzymał się z dala od innych myśliwych. Światła domów nie rozpraszały mroku.

Napotkali dwóch pijanych, którzy wracali z jakichś imprez towarzyskich. Za każdym razem żołnierze wtapiali się w czerń ogrodów i żywopłotów i czekali, aż wędrowiec chwiejnym krokiem oddali się w stronę swojego domu.

Dokładnie wiedzieli, gdzie są, bo przez wiele godzin szczegółowo studiowali mapę ulic oraz wygląd samego domu, sfotografowanego z przejeżdżających samochodów i krążących w górze dronów. Znacznie powiększone zdjęcia przypięli do ścian pokoju odpraw w Stirling Lines, bazie głównej SAS<sup>1</sup> niedaleko Hereford, a następnie zapamiętali wszystko, co do ostatniego kamienia i krawężnika. Teraz szli w miękkim obuwiu, nie potykając się ani nie gubiąc kroku.

Było ich dwanaścioro, w tym dwóch Amerykanów, których włączono na prośbę amerykańskiego zespołu działającego w ambasadzie w Londynie. Dwójka żołnierzy pochodziła z brytyjskiego SRR, Specjalnego Pułku Zwiadowczego, który był jeszcze bardziej tajny niż SAS i SBS, czyli specjalne jednostki przeznaczone odpowiednio do działań z powietrza i na morzu. Władze postanowiły skorzystać z SAS, którą nazywano po prostu Pułkiem.

W tej dwójce z SRR była kobieta. Amerykanie podejrzewali, że zdecydowały o tym wymogi równouprawnienia. W istocie rzecz miała się inaczej. Dzięki obserwacji ustalono, że wśród mieszkańców wskazanego domu jest kobieta, a nawet brytyjskie siły specjalne nie są wyzbyte kurtuazji. Celem udziału ludzi z SRR, których w branży czasami nazywano „włamywaczami Jej Królewskiej Mości”, było przeciwiczenie jednej z ich wielu umiejętności – ukradkowego wkraczania do budynków.

Misja polegała nie tylko na zajęciu domu i obezwładnieniu mieszkańców, ale żołnierze musieli się też upewnić, że nikt z zewnątrz ich nie zobaczy i żaden z domowników nie ucieknie. Podeszli ze wszystkich stron, pojawili się jednocześnie wokół ogrodzenia, z przodu, z tyłu i po bokach ogrodu, a następnie bezszelestnie otoczyli dom, niezauważeni przez mieszkańców i sąsiadów.

Nikt nie usłyszał delikatnego pisku przecinaka do szkła z diamentową końcówką, którym nakreślono równy okrąg na kuchennym oknie, ani cichego trzasku, gdy kawałek szyby usunięto za pomocą przyssawki. Dłoń w rękawiczce wsunęła się do środka i otworzyła okno. Czarna postać zeszła z parapetu na zlewozmywak, cicho zeskoczyła na podłogę i otworzyła tylne drzwi, by wślizgnęła się przez nie reszta oddziału.

Chociaż wszyscy przestudiowali plan architektoniczny, który trafił do archiwum, gdy wybudowano dom, i tak używali gogli z noktowizorem, na wypadek gdyby właściciel rozmieścił nowe przeszkody albo nawet pułapki. Zaczęli na parterze i przemieszczali się z pokoju do pokoju, żeby sprawdzić, czy nie ma tam wartowników, śpiących mieszkańców, rozciągniętych nad podłogą linek lub cichych alarmów.

Po dziesięciu minutach dowódca z zadowoleniem skinął głową i poprowadził grupę złożoną z pięciu żołnierzy po wąskich schodach na piętro najwyraźniej całkiem zwyczajnego wolnostojącego domu rodzinnego. Dwaj Amerykanie, coraz bardziej oszołomieni, zostali na dole. Nie tak wyobrażali sobie zajęcie niebezpiecznej siedziby terrorystów. W ich ojczyźnie taka akcja nie obyłaby się bez opróżnienia kilku magazynków. Angole to jednak dziwaki.

Amerykanie usłyszeli dochodzące z góry okrzyki zaskoczenia, które jednak szybko ucichły. Po kolejnych dziesięciu minutach przekazywanych szeptem

instrukcji dowódca złożył pierwszy meldunek. Nie przez internet czy telefon komórkowy – którego sygnał można wyłapać – ale przez staroświecką zakodowaną radiostację.

– Cel przechwycony – oznajmił cicho. – Czworo mieszkańców. Czekamy na świt.

Ci, którzy go słuchali, wiedzieli, co się wydarzy dalej. Wszystko zostało zaplanowane i przećwiczone.

Amerykanie, obaj z marynarki wojennej, skontaktowali się ze swoją ambasadą w Londynie, na południowym brzegu Tamizy.

Powód siłowego zajęcia budynku był prosty. Pomimo tygodniowej obserwacji wciąż nie dało się wykluczyć – zwłaszcza biorąc pod uwagę zagrożenia dla obronności całego zachodniego świata, których źródłem był ten niewinnie wyglądający domek na przedmieściu – że w środku znajdują się uzbrojeni ludzie. Za tą spokojną fasadą mogli się kryć terroryści, fanatycy, najemnicy. Właśnie dlatego Pułkowi przekazano informację, że pozostało tylko „najgorsze wyjście”.

Ale godzinę później dowódca oddziału znów się odezwał:

– Nie uwierzycie, co znaleźliśmy.

\* \* \*

Wczesnym rankiem trzeciego kwietnia 2019 roku w skromnej sypialni na poddaszu Klubu Sił Specjalnych w anonimowej kamienicy w Knightsbridge, bogatej dzielnicy londyńskiego West Endu, zadzwonił telefon. Po trzecim dzwonku zapaliła się lampka przy łóżku. Dzięki wieloletniej praktyce mężczyzna błyskawicznie się rozbudził, gotowy do działania. Opuścił nogi na podłogę i zerknął na podświetlony ekran, a następnie przyłożył aparat do ucha. Jednocześnie zerknął na zegar obok lampy. Czwarta nad ranem. Czy ta kobieta nigdy nie śpi?

– Tak, pani premier?

Osoba na drugim końcu linii najwyraźniej w ogóle się nie kładła.

– Wybacz, Adrianie, że budzę cię o tej porze. Mógłbyś się u mnie zjawić o dziewiątej? Muszę przywitać Amerykanów. Podejrzewam, że będą na

wojennej ścieżce, więc przydałyby mi się twoje opinie i rady. Mają być o dziesiątej.

Jak zwykle ta staroświecka kurtuazja. To był rozkaz, a nie prośba. Dla stworzenia pozorów poufałości użyła jego imienia. On zawsze zwracał się do niej oficjalnie.

– Oczywiście, pani premier.

Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia, więc się rozłączyli. Sir Adrian Weston wstał i przeszedł do niewielkiej, ale wystarczającej na jego potrzeby łazienki, by wziąć prysznic i ogolić się. O wpół do piątej zszedł do recepcji, mijając oprawione w czarne ramy portrety agentów, którzy dawno temu pojechali do okupowanej przez nazistów Europy i już nie wrócili, skinął głową nocnemu strażnikowi i wyszedł na ulicę. Znał hotel przy Sloane Street, gdzie działała całonocna kawiarnia.

\* \* \*

W pogodny jesienny poranek jedenastego września 2001 roku, tuż przed dziewiątą, amerykański dwusilnikowy samolot pasażerski, lot 11 American Airlines z Bostonu do Los Angeles, niespodziewanie pojawił się na niebie nad Manhattanem i uderzył w północną wieżę World Trade Center. Maszynę porwało pięciu Arabów działających w imieniu organizacji terrorystycznej Al-Kaida. Mężczyzna za sterami pochodził z Egiptu. Wspierali go Saudyjczycy, którzy – uzbrojeni w noże do papieru – obezwładnili załogę i wprowadzili go do kokpitu.

Kilkanaście minut później kolejny samolot pasażerski, lecący zdecydowanie za nisko, pojawił się nad Nowym Jorkiem. To był lot 175 United Airlines, również z Bostonu do Los Angeles, także porwany przez pięciu terrorystów z Al-Kaidy.

Ameryka, a po chwili też cały świat patrzyły z niedowierzaniem, jak rzekomy nieszczęśliwy wypadek staje się czymś zupełnie innym. Drugi boeing 767 uderzył w południową wieżę World Trade Center. Oba wieżowce doznały poważnych uszkodzeń w środkowej części konstrukcji. Za sprawą paliwa, wyciekłego z pełnych zbiorników obu samolotów, wybuchły potężne pożary,

od których zaczęły się topić stalowe filary podtrzymujące budynki. Minutę przed dziesiątą południowa wieża runęła, zmieniając się w stertę rozpalonego do czerwoności gruzu. Pół godziny później ten sam los spotkał północną wieżę.

O godzinie 9.37 trzeci samolot, lot 77 American Airlines, który wystartował z międzynarodowego portu lotniczego Washington Dulles, kierując się do Los Angeles, również z pełnymi zbiornikami paliwa, wbił się w zachodnią ścianę Pentagonu. Także tę maszynę porwało pięciu Arabów.

Pasażerowie czwartego samolotu, lot 93 United Airlines, lecącego z Newark do San Francisco, który również został uprowadzony w powietrzu, odzyskują kontrolę nad maszyną, lecz nie są w stanie jej ocalić. Siedzący za sterami porywacz fanatyk rozbija samolot na polu w Pensylwanii.

Tamtego dnia, który dziś określa się mianem 9/11, zginęły niemal trzy tysiące Amerykanów i obcokrajowców, wśród nich członkowie załóg i pasażerowie czterech samolotów, niemal wszyscy ludzie przebywający w obu wieżach World Trade Center oraz stu dwudziestu pięciu pracowników Pentagonu. A także dziewiętnastu terrorystów samobójców. Ten dzień nie tylko zaszokował, ale też zranił Amerykę. Nie otrząsnęła się do dzisiaj.

Kiedy amerykański rząd zostaje tak ciężko ranny, robi dwie rzeczy. Bierze odwet i wydaje pieniądze.

W ciągu ośmiu lat prezydentury George'a W. Busha i pierwszych czterech pod rządami Baracka Obamy Stany Zjednoczone wydały bilion dolarów, by stworzyć największy, najbardziej uciążliwy, najczęściej kopiowany i zapewne najmniej skuteczny system bezpieczeństwa narodowego, jaki widział świat.

Gdyby w 2001 roku dziewięć wewnętrznych amerykańskich agencji wywiadowczych oraz siedem agencji zewnętrznych prawidłowo wykonywało swoją pracę, do zamachów nigdy by nie doszło. Chociaż pojawiały się rozmaite przesłanki, tropy, zgłoszenia, doniesienia, wskazówki i osobliwe obserwacje, wszelkie raporty na ich temat trafiały do archiwum i były ignorowane.

Po jedenastym września nastąpiła nieprawdopodobna eksplozja wydatków. Amerykańskie społeczeństwo musiało zobaczyć, że państwo nie jest bezczynne. Stworzono całą gamę nowych agencji, powielających pracę

tych, które już istniały. Wyrosły tysiące nowych wieżowców, całe miasta, w większości zarządzane przez przedsiębiorstwa z sektora prywatnego, nastawione na potężne finansowe żniwa.

Pandemia rządowych wydatków związanych z „bezpieczeństwem” przypominała wybuch bomby atomowej nad atolem Bikini, a wszystko sfinansowali ufni, pełni nadziei, łatwowierni amerykańscy podatnicy. Te nakłady wygenerowały morze raportów, papierowych i elektronicznych, z których tylko dziesięć procent przeczytano. Brakowało czasu oraz – pomimo ogromnych funduszy przeznaczonych na wynagrodzenia – ludzi, by poradzić sobie z takim mnóstwem informacji. Poza tym w ciągu tych dwunastu lat wydarzyło się coś jeszcze. Światem zawładnęły komputery i ich archiwa, bazy danych.

Kiedy wspomniany Anglik, szukający wczesnego śniadania przy Sloane Street, był młodym oficerem w wojskach spadochronowych, a następnie agentem MI6, dokumentację sporządzano i przechowywano na papierze. Wymagało to czasu i przestrzeni magazynowej, ale dotarcie do tajnych archiwów i ich kopiowanie lub kradzież – czyli szpiegostwo – było trudne i jednorazowo mogło dotyczyć skromnej ilości materiałów.

W czasie zimnej wojny, która rzekomo skończyła się wraz z prezydenturą Michaiła Gorbaczowa w 1991 roku, słynni szpiedzy, tacy jak Oleg Pieńkowski, mogli pozyskać tylko tyle dokumentów, ile byli w stanie przenieść. Później aparaty fotograficzne Minox i tworzone przez nie mikrofilmy pozwoliły na ukrycie nawet setki dokumentów w niewielkim pojemniku. Technika mikrokropek uczyniła kopie dokumentów jeszcze mniejszymi i bardziej przenośnymi. Ale dopiero komputery wywołały prawdziwą rewolucję.

Uważa się, że kiedy uciekinier polityczny i zdrajca Edward Snowden poleciał do Moskwy, miał przy sobie ponad półtora miliona dokumentów zapisanych na karcie pamięci tak małej, że przed kontrolą graniczną mógł ją ukryć w odbycie. „W dawnych czasach”, jak mawiają weterani, do transportu takiej ilości materiałów trzeba by konwoju ciężarówek, a tego trudno byłoby nie zauważyć.

Kiedy więc komputery zaczęły wyręczać ludzi, biliony tajemnic trafiły do elektronicznych baz danych. Tajemniczy świat cyberprzestrzeni stawał się

coraz dziwniejszy i bardziej złożony, a tylko nieliczni potrafili zrozumieć zasady jego działania. Przestępcy także starali się dotrzymać kroku, więc obok kradzieży sklepowych i oszustw finansowych wkrótce pojawiły się oszustwa komputerowe, które pozwalają na nielegalne pozyskiwanie większej ilości pieniędzy niż kiedykolwiek w historii finansowości. W ten sposób we współczesnym świecie rozwinęła się idea ukrytego skomputeryzowanego bogactwa, a wraz z nią postać hakera. Cybernetycznego włamywacza.

Ale niektórzy hakerzy kradną nie pieniądze, lecz tajemnice. Właśnie dlatego do niewinnie wyglądającego podmiejskiego domu w prowincjonalnym angielskim miasteczku wtargnął pod osłoną nocy brytyjsko-amerykański oddział żołnierzy sił specjalnych, który miał zatrzymać mieszkańców. Także dlatego jeden z tych żołnierzy wyszeptał do krótkofalówki: „Nie uwierzycie, co znaleźliśmy”.

\* \* \*

Trzy miesiące przed tym nalotem zespół amerykańskich speców komputerowych, pracujących w Agencji Bezpieczeństwa Krajowego w Fort Meade w Marylandzie, odkrył coś, w co również trudno było uwierzyć. Najtajniejsza baza danych w Stanach Zjednoczonych, a zapewne także na świecie, najwyraźniej padła ofiarą hakerów.

Fort Meade, jak wskazuje słowo „fort”, to w zasadzie baza wojskowa. Ale tak naprawdę jest czymś więcej. To siedziba budzącej postrach Agencji Bezpieczeństwa Krajowego. Dzięki otaczającym ją lasom i niedostępnym drogom, strzeżona przed wzrokiem niepożądanych osób, ma rozmiary miasta. Jednak zamiast burmistrza władzę sprawuje tam generał armii.

Tam mieści się siedziba oddziału agencji wywiadowczej zwanego ELINT, który zajmuje się wywiadem elektronicznym. Wewnątrz niezliczone rzędy komputerów podsłuchują świat. ELINT przechwytuje, słucha, rejestruje, przechowuje. Jeśli przechwyci coś niebezpiecznego, ostrzega.

Ponieważ nie wszyscy mówią po angielsku, tłumaczy ze wszystkich języków, dialektów i gwar używanych na świecie. Szyfruje i odkodowuje.



Przechowuje sekrety Stanów Zjednoczonych, wykorzystując do tego celu zbiór superkomputerów zawierających najbardziej tajne bazy danych w kraju.

Do ich ochrony używa się nie kilku pułapek, ale firewalli, zapór sieciowych tak złożonych, że osoby, które je stworzyły i nadzorują, były przekonane, że nie da się ich sforsować. Aż pewnego dnia strażnicy amerykańskiej cyberprzestrzeni struchleli, gdy zobaczyli, co się stało.

Upewniali się po wielokroć. To nie mogło się stać. Niemożliwe. W końcu cała trójka musiała umówić się na spotkanie z generałem i popsuć mu dzień. Ktoś włamał się do głównej bazy danych. Kody dostępu teoretycznie były niezwykle skomplikowane, a bez nich nikt nie zdołałby się dostać do wnętrza superkomputera. Nikt nie potrafiłby sforsować ochronnego urządzenia nazywanego „śluzą”. A jednak komuś się udało.

Codziennie na całym świecie dochodzi do tysięcy ataków hakerskich. Duża część z nich to próby kradzieży pieniędzy. Przestępcy usiłują dostać się do rachunków bankowych obywateli, którzy wierzą, że ich oszczędności są bezpieczne. Jeśli takie oszustwo się udaje, haker może podszyć się pod właściciela rachunku i zlecić przelew na konto złodzieja, który czasami przebywa nawet na drugim końcu świata.

Wszystkie banki i instytucje finansowe są obecnie zobowiązane otaczać rachunki klientów szczelną ochroną, zazwyczaj w postaci indywidualnych kodów autoryzacyjnych, których haker nie może znać i bez których komputer banku nie zgodzi się przelać ani grosza. Oto jeden z kosztów, jakie płacimy we współczesnym rozwiniętym świecie za całkowitą zależność od komputerów. Niezwykle to uciążliwe, ale lepsze od utraty pieniędzy. Zresztą tych zmian nie da się już cofnąć.

Innym rodzajem ataku jest próba sabotażu wynikającego z czystej złośliwości. Przejęcie bazy danych może zaowocować chaosem i awarią systemu. Zazwyczaj dochodzi do tego za sprawą wprowadzenia podstępnej instrukcji znanej jako „złośliwe oprogramowanie” lub „koń trojański”. Każda baza danych powinna mieć złożoną sieć zabezpieczeń, by zniechęcić hakerów i ochronić system przed atakiem.

Niektóre bazy danych są tak tajne i istotne, że od ich skutecznej ochrony zależy bezpieczeństwo całego państwa. W tym przypadku stosuje się

niezwykle zaawansowane firewalle, według ich twórców niemożliwe do sforsowania. Kody dostępu, którymi dysponują wyłącznie uprawnieni operatorzy, składają się nie tylko z ciągów przypadkowych liter i cyfr, lecz także z hieroglifów i symboli, które muszą być podawane w ściśle określonej kolejności.

Właśnie taka baza danych znajdowała się w sercu Agencji Bezpieczeństwa Krajowego w Fort Meade, a przechowywano w niej biliony tajemnic, kluczowych dla bezpieczeństwa całych Stanów Zjednoczonych.

Włamanie do niej oczywiście zatuszowano. Nie było innego wyjścia. Taki skandal potrafi zrujnować karierę – i to jest ta dobra wiadomość. Może zrzucić ze stołka kilku ministrów, wypatroszyć departament, wstrząsnąć posadami rządu. Ale chociaż da się go ukryć przed opinią publiczną, a przede wszystkim przed mediami i tymi wrednymi dziennikarzami śledczymi, wieści muszą dotrzeć do Gabinetu Ovalnego...

Kiedy zasiadający tam człowiek w końcu zrozumiał, jak wielką krzywdę uczyniono jego krajowi, wpadł we wściekłość. Wydał rozkaz. „Znajdźcie go. Zamknijcie. W więzieniu o zaostrozonym rygorze, głęboko pod skałami Arizony. Na zawsze”.

\* \* \*

Odbyły się trzymiesięczne łowy na hakera. W związku z tym, że brytyjski odpowiednik Fort Meade, znany jako Centrala Łączności Rządowej (GCHQ), cieszył się znakomitą opinią, a Brytyjczycy mimo wszystko byli sojusznikami, GCHQ już na początku poproszono o współpracę. Brytyjczycy stworzyli zespół oddelegowany wyłącznie do tego zadania, dowodzony przez doktora Jeremy’ego Hendricksa, jednego z ich najlepszych cybertropicieli.

Doktor Hendricks pracował dla brytyjskiego Narodowego Centrum Cyberbezpieczeństwa, w dzielnicy Victoria w środkowym Londynie. NCSC było częścią Centrali Łączności Rządowej z siedzibą w Cheltenham. Jak wskazuje nazwa, instytucja ta zajmuje się przeciwdziałaniem atakom hakerskim, a zatem, jak przystało na dobrego strażnika, musi doskonale poznać swojego wroga: hakera. Właśnie dlatego sir Adrian szukał pomocy

u pana Ciarana Martina, dyrektora NCSC, który wielkodusznie, choć niechętnie zgodził się, by sir Adrian podkradł – według zapewnień, tylko tymczasowo – doktora Hendricksa.

W świecie, w którym nastolatki coraz częściej odgrywają wiodącą rolę, Jeremy Hendricks był dojrzałym człowiekiem. Miał ponad czterdzieści lat, smukłą sylwetkę, był elegancki i zdystansowany. Nawet jego koledzy niewiele wiedzieli o jego życiu prywatnym, co mu bardzo odpowiadało. Był gejem, ale o tym nie wspominał, wybierając spokojne życie w celibacie. Dzięki temu mógł się oddawać swoim dwóm pasjom: komputerom, z którymi wiązał się jego zawód, oraz tropikalnym rybkami, które rozmnażał i hodował w akwariach w swoim mieszkaniu w dzielnicy Victoria, niedaleko miejsca pracy.

Skończył Uniwersytet Yorku, specjalizując się w informatyce, następnie zrobił tam doktorat i kolejny w Massachusetts Institute of Technology, po czym wrócił do Wielkiej Brytanii, by podjąć pracę w GCHQ. Jego specjalnością było wykrywanie drobnych śladów, jakie pozostawiają hakerzy, nieuchronnie ujawniając w ten sposób swoją tożsamość. Ale cyberterrorysta, który włamał się do komputera w Fort Meade, niemal go pokonał. Po nalocie na podmiejski dom Hendricks jako jeden z pierwszych mógł tam wejść, gdyż odegrał istotną rolę w wytypowaniu źródła ataku.

Niestety, poruszał się prawie po omacku. W przeszłości również zdarzały się ataki hakerów, lecz bardzo łatwo było ich namierzyć. Wszystko się zmieniło, gdy rozbudowane zabezpieczenia uczyniły włamanie praktycznie niemożliwym.

Nowy haker nie pozostawił żadnych śladów. Niczego nie ukradł ani nie zniszczył, nie dokonał sabotażu. Wyglądało na to, że wszedł do systemu, rozejrzał się i wycofał. Nie dało się ustalić IP, czyli numeru identyfikacyjnego wskazującego na adres źródłowy.

Sprawdzono wszystkie znane precedensy. Czy jakkolwiek inna baza danych została spenetrowana w taki sam sposób? Wzięto pod lupę wysoko zaawansowane dane analityczne. Zaczęto kolejno wykluczać znane fabryki hakerów na całym świecie. To nie Rosjanie, którzy pracują w drapaczu chmur na obrzeżach Petersburga. To nie Irańczycy, nie Izraelczycy, nawet nie

Koreańczycy z północy. Wszyscy oni parali się włamaniami komputerowymi, lecz mieli swoje charakterystyczne cechy, które można by porównać do indywidualnego „stylu” osoby nadającej alfabetem Morse’a.

W końcu udało się wykryć częściowy IP w jednej z sojuszniczych baz danych, niczym rozmazany odcisk kciuka znaleziony przez policyjnego detektywa. To za mało, żeby kogokolwiek zidentyfikować, ale wystarczy, by wykryć zgodność, gdyby atak z tego samego źródła kiedyś się powtórzył. Przez cały trzeci miesiąc cierpliwie czekano. Odcisk w końcu znów się pojawił, tym razem przy włamaniu do bazy danych dużego światowego banku.

To włamanie przyniosło kolejną zagadkę. Ktokolwiek zdołał go dokonać, podczas obecności w bazie danych mógł przelać setki milionów na własne ukryte konta, a następnie zniknąć na zawsze. Ale tego nie zrobił. Podobnie jak w Fort Meade, sprawca niczego nie zniszczył ani nie ukradł.

W oczach doktora Hendricksa haker przypominał wścibskie dziecko, które przez jakiś czas wałęsa się po sklepie z zabawkami, zaspokajając ciekawość, po czym wychodzi. Ale tym razem, w odróżnieniu od włamania do Fort Meade, haker zostawił drobny ślad, który Hendricks zauważył. Do tego czasu zespół śledczy zdążył nadać swojemu celowi pseudonim. Był nieuchwytny, więc nazwali go Fox, Lis. Ale zgodność adresów IP była faktem.

Nawet lisy popełniają błędy, choć niewiele i tylko czasami. Hendricks zauważył fragment IP, który pasował do częściowego odcisku wykrytego w sojuszniczej bazie danych. Razem tworzyły całość. Zespół podążył za tym tropem, który, ku zażenowaniu brytyjskiej grupy, prowadził do Anglii.

Dla Amerykanów stanowiło to dowód, że w Wielkiej Brytanii doszło do inwazji, a wskazany budynek przejęli zagraniczni sabotażyści o niewyobrażalnych umiejętnościach, być może najemnicy na usługach wrogiego rządu, prawdopodobnie uzbrojeni. Amerykanie chcieli ostrego ataku.

Brytyjczycy z kolei uznali, że skoro haker rezyduje w wolnostojącym domu na przedmieściach prowincjonalnego miasteczka Luton w hrabstwie Bedford, nieco na północ od Londynu, należy przeprowadzić cichą i dyskretną akcję pod osłoną nocy. Postawili na swoim.

Amerykanie wysłali oddział złożony z sześciorga członków Navy SEALs, ulokowali ich w amerykańskiej ambasadzie, pod egidą attaché wojskowego (który także służył w marynarce wojennej), i nalegali, by co najmniej dwójka dołączyła do oddziału SAS. Tak się też stało i żaden sąsiad niczego nie zauważył.

Na miejscu nie znaleziono cudzoziemców, najemników ani uzbrojonych sabotażystów. Była tylko pogrążona we śnie czteroosobowa rodzina. Oszołomiony biegły księgowy, niejaki Harold Jennings, jego żona Sue oraz dwaj synowie, osiemnastoletni Luke i trzynastoletni Marcus.

Właśnie to miał na myśli sierżant SAS, gdy wyszeptał o trzeciej nad ranem: „Nie uwierzycie...”.

## Rozdział drugi

Wszystkie zasłony na parterze były zaciągnięte. Zbliżał się świt, a z obu stron mieszkali sąsiedzi, jednak dom z zaciągniętymi zasłonami nie budzi podejrzeń. Ludzie, którzy późno wstają, mogą wzbudzać jedynie zazdrość. Oddział na parterze przykucnął poniżej poziomu okien, na wypadek gdyby ktoś postanowił zajrzeć do środka.

Na górze kazano zatrzymanej rodzinie normalnie się ubrać, spakować po jednej walizce na osobę i czekać. Wzeszło słońce, był jasny kwietniowy dzień. Ulica zbudziła się do życia. Odjechały dwa pierwsze ranne ptaszki. Pojawił się chłopak rozwożący prasę. Trzy gazety z głuchym plaśnięciem spadły na wycieraczkę i nastolatek ruszył dalej ulicą.

Za dziesięć ósma rodzinę sprowadzono po schodach. Byli bladzi i roztrzęsieni – zwłaszcza starszy syn – ale nie stawiali oporu. Dwaj Amerykanie, wciąż osłonięci czarnymi kominiarkami, przyglądali się im wrogo. Oto agenci/terrorysty, którzy wyrządzili tak ogromną szkodę ich ojczyźnie. Niewątpliwie czekało ich długoletnie więzienie. Zespół, który był na piętrze, wliczając kobietę z SRR, zszedł razem z nimi. Teraz wszyscy w milczeniu czekali w salonie z zaciągniętymi zasłonami.

O ósmej podjechał samochód, który wyglądał jak zwykła taksówka. Dwaj żołnierze SAS zmienili czarne stroje na eleganckie ciemne garnitury, koszule i krawaty. Obaj mieli pistolety pod lewą pachą. Odprowadzili rodzinę razem z bagażami do taksówki. Zatrzymani wciąż nie próbowali się opierać ani uciekać. Gdyby zainteresował się nimi któryś z sąsiadów, pomyślałby, że wybierają się na wakacje. Samochód odjechał. Oddział wewnątrz domu odetchnął. Wiedzieli, że muszą przeczekać cały dzień, w ciszy i bezruchu, by

następnie rozpląnąć się w ciemności. Opustoszały dom, z wyłączonymi wszystkimi systemami, długo jeszcze pozostanie zamknięty.

Dowódca oddziału otrzymał krótką wiadomość, że aresztowana rodzina została bezpiecznie przewieziona w inne miejsce. Był chorążym, od wieków podoficerem, weteranem operacji prowadzonych w Wielkiej Brytanii i za granicą. Dowodził tą akcją, ponieważ SAS podczas działań na terenie kraju korzysta tylko z podoficerów. Oficerowie, których kpiąco określa się Rupertami, planują i nadzorują misje, ale nie działają aktywnie na terenie Wielkiej Brytanii.

O dziesiątej przyjechała duża furgonetka z oznaczeniami firmy dekoratorskiej. Wsiadło z niej sześciu mężczyzn w białych roboczych kombinezonach. Wnieśli do domu pokrowce i drabiny. Sąsiedzi ich zobaczyli, ale nie zwrócili na nich większej uwagi. Jenningsowie pewnie chcieli, by podczas ich nieobecności wykonano jakieś prace remontowe.

Mężczyźni, dowodzeni przez doktora Hendricksa, zostawili sprzęt na podłodze w przedpokoju, a następnie weszli na górę, żeby zająć się swoim prawdziwym zadaniem. Mieli opróżnić dom z urządzeń elektronicznych. Szybko skupili się na poddaszu, gdzie odkryli skarbiec pełen komputerów i powiązanych akcesoriów. Wyglądało na to, że stryszek przekształcono w osobistą twierdzę.

Pod krokwiami podtrzymującymi dach ktoś stworzył zaciszną kryjówkę. Były tam biurko, stoły z krzesłami, zapewne kupione okazjnie w sklepach ze starzyzną, ozdoby, bibeloty, ale żadnych zdjęć. Centralne miejsce zajmowały biurko, zwrócone ku niemu krzesło oraz stojący na blacie komputer. Doktor Hendricks uważnie go zbadał, zaskoczony tym, co zobaczył.

Zazwyczaj miał do czynienia z najdroższym na rynku, najbardziej wyrafinowanym sprzętem komputerowym, tymczasem tutaj zastał coś absolutnie przeciętnego. Komputer kupiony w sklepie, dostępny w popularnych sieciówkach. Wyglądało na to, że ojciec kupił synowi taki sprzęt, na jaki było go stać. Ale jak to możliwe, że ktoś przechytrył najlepszych komputerowych speców zachodniego świata przy użyciu czegoś takiego? No i który z chłopców tego dokonał?

Rządowy ekspert liczył na to, że znajdzie czas i sposobność, by odkryć, kto włamał się do bazy danych w Fort Meade, i przesłuchać tego komputerowego maniaka, a sir Adrian miał mu to wkrótce zapewnić.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest to superkomputer z rodzaju tych, jakich używa się w siedzibie GCHQ, miniaturowym miasteczku zbudowanym na planie koła niedaleko Cheltenham w hrabstwie Gloucester. Ale chociaż pochodził ze zwykłego sklepu, to, co w nim znaleziono i co z niego usunięto, zostało pomysłowo zmodyfikowane, zapewne przez właściciela.

Skończyli późnym rankiem. Poddasze znów zmieniło się w pustą przestrzeń pod krokwiemi. Zespół informatyków zabrał swój łup. Żołnierze z oddziału uderzeniowego odczekali za zaciągniętymi zasłonami do drugiej w nocy. Wtedy wymknęli się i rozplynęli w ciemności. Żaden sąsiad nie widział, jak się pojawili ani jak odeszli.

\* \* \*

Adrian Weston w dzieciństwie nigdy nie chciał być szpiegiem, a co dopiero asem wywiadu. Był synem weterynarza, wychował się na wsi i pragnął zostać żołnierzem. Gdy tylko wiek mu na to pozwolił, opuścił prywatną szkołę z internatem i wstąpił na ochotnika do wojska, gdzie uznano, że ma „zadatki na oficera”, dzięki czemu dostał się do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst.

Nie skończył uczelni z wyróżnieniem, ale uzyskał dobre wyniki i gdy zaproponowano mu wybór pułku, zdecydował się na jednostkę spadochroniarzy. Liczył, że dzięki temu będzie miał większą szansę trafić na pole bitwy. Po dwóch latach walk przeciwko IRA w Irlandii Północnej, otrzymawszy wojskowe stypendium, postanowił spróbować swoich sił na uniwersytecie i jakoś skończył historię. Wkrótce skontaktował się z nim jeden ze starszych nauczycieli akademickich. Może wpadniesz do mnie na kolację? Pojawili się tam również dwaj inni mężczyźni.

Chrupiąc przystawkę z melona, Adrian uświadomił sobie, że obaj przyjechali z Londynu i pracują dla brytyjskiego wywiadu, czyli MI6. Wykładowca historii był łowcą talentów, umiał wyłuskiwać odpowiednich



ludzi. Weston spełniał wszystkie kryteria. Dobre pochodzenie, wykształcenie, wyniki, jednostka spadochroniarzy, swój chłop. Tydzień później rozpoczął służbę w „Firmie”. Odbył szkolenie i otrzymał pierwsze zadanie. Letnie wakacje spędził z niemiecką rodziną na wymianie międzynarodowej, dzięki czemu mówił teraz płynnie i swobodnie po niemiecku. Po intensywnym trzymiesięcznym kursie w wojskowej szkole językowej opanował rosyjski. Został przydzielony do Europy Wschodniej; to był szczytowy okres zimnej wojny, lata Breżniewa i Andropowa. Michaił Gorbaczow i rozpad Związku Radzieckiego jeszcze się nikomu nie śniły.

Formalnie rzecz biorąc, sir Adrian nie był już na rządowym garnuszku, co miało swoje zalety. Jedną z nich była niewidzialność. Kolejną, którą zapewniało mu stanowisko osobistego doradcy premiera w sprawach bezpieczeństwa narodowego, była siła przebicia. Ważni ludzie odbierali jego telefony i przyjmowali jego rady. Przed odejściem na emeryturę pracował przy Vauxhall Cross jako zastępca szefa wywiadu, Richarda Dearlove’a.

Kiedy sir Richard w 2004 roku przeszedł na emeryturę, Adrian Weston postanowił nie ubiegać się o jego stanowisko, ponieważ nie chciał służyć pod rządami premiera Tony’ego Blaira. Był zniesmaczony narzuceniem parlamentowi dokumentu, który później nazwano „śliskimi aktami”.

Dokument ten miał „dowieść”, że Saddam Husajn, brutalny iracki dyktator, dysponuje bronią masowego rażenia i jest gotów jej użyć, a zatem należy dokonać inwazji na jego kraj. Tony Blair zapewnił członków parlamentu, że istnieją „niepodważalne” dowody na istnienie takiej broni. Parlament przegłosował przyłączenie się Wielkiej Brytanii do amerykańskiej inwazji w marcu 2003 roku. Działania wojenne zakończyły się katastrofą, doprowadziły do rządów chaosu na całym Bliskim Wschodzie i narodzin terrorystycznej maszyny zwanej ISIS, która piętnaście lat później wciąż aktywnie działa na całym świecie.

Blair utrzymywał, że twierdzenia zawarte w dokumencie mają poparcie w danych, jakie zebrał powszechnie szanowany wywiad wojskowy. Okazało się to bzdurą. Wywiad dysponował zarzutami pochodzącymi tylko z pojedynczego irackiego źródła, a w branży wywiadowczej pojedyncze

źródła nigdy nie uzasadniają działania, jeśli nie stoją za nimi bardzo przekonujące dokumenty. Tutaj ich zabrakło.

Późniejsza inwazja na Irak i okupacja kraju dowiodły, że nie było tam broni masowego rażenia. Źródłem był pojedynczy iracki kłamca o kryptonimie „Podkrecona Piłka”, który uciekł do Niemiec, gdzie także dano wiarę jego słowom. Po zdemaskowaniu tej fikcji brytyjski rząd oskarżył MI6 o dezinformację, mimo że wywiad wielokrotnie ostrzegwał Downing Street, że twierdzenia informatora są wielce niepewne.

Sir Richard Dearlove pozostał lojalny do końca i zgodnie z tradycją swojego fachu zachował milczenie jeszcze długo po odejściu na emeryturę. Kiedy odszedł, Adrian Weston również postanowił zakończyć karierę. Nie miał nawet ochoty pozostać zastępcą, gdyż wiedział, że na miejsce Dearlove'a przyjdzie sługus Blaira.

Podczas gdy sir Richard został wykładowcą w Pembroke College w Cambridge, Adrian Weston przyjął tytuł szlachecki z rąk wdzięcznej królowej, po czym zaszył się w swojej wiejskiej chatce w Dorset i spędzał czas na czytaniu i pisaniu; tylko od czasu do czasu odwiedzał Londyn, gdzie zawsze mógł się zatrzymać w Klubie Sił Specjalnych, w jednym z niewielkich, ale wygodnych i niedrogich pokoi gościnnych.

Jako wieloletni specjalista od Kremla, a zwłaszcza twardych rządów, jakie Moskwa sprawowała w europejskich państwach satelitarnych, oraz jako żołnierz uczestniczący w kilku niebezpiecznych misjach za żelazną kurtyną, w 2012 roku napisał artykuł, który zwrócił uwagę świeżo mianowanej minister spraw wewnętrznych w rządzie Camerona. Na swojej wiejskiej emeryturze Weston niespodziewanie dostał odręczny list z zaproszeniem na prywatny lunch poza budynkiem ministerstwa.

Pani Marjory Graham była nowym, ale bardzo bystrym nabytkiem w gabinecie Rady Ministrów. W klubie Carlton – który zgodnie z tradycją przyjmował tylko mężczyzn, ale dopuszczał kobiety w roli członków sympatyków – wyjaśniła, że zakres jej działań obejmuje służby bezpieczeństwa, czyli MI5, lecz chciałaby znać także punkt widzenia osób z innego nurtu świata wywiadu, a artykuł Westona, dotyczący coraz agresywniejszych poczynań rosyjskich władz, zrobił na niej duże wrażenie.

Czy mogłaby zasięgać u niego prywatnych konsultacji? Trzy lata przed nalotem na dom w Luton David Cameron podał się do dymisji i Marjory Graham została premierem.

Rozpowszechniany w prywatnych kręgach tekst, który zwrócił jej uwagę, nosił tytuł „Uwaga na niedźwiedzia”. Adrian Weston przez całe swoje życie zawodowe badał Kreml i jego kolejnych władców. Z zadowoleniem patrzył na rządy Michaiła Gorbaczowa i jego reformy, między innymi zniesienie światowego komunizmu i rozwiązanie ZSRR, ale z niepokojem obserwował plądrowanie upokorzonej Rosji, jakie dokonywało się pod kierownictwem odurzonego alkoholem Borysa Jelcyna.

Nie znosił tych kłamców, oszustów, złodziei, łotrów i słabo zamaskowanych przestępców, którzy odarli swoją ojczyznę z majątku, czyniąc się miliarderni, a teraz trwonili ukradzione bogactwa na ogromne jachty i posiadłości – a wiele z nich znajdowało się w Wielkiej Brytanii.

Podczas gdy Jelcyn coraz głębiej tonął w alkoholowym otępieniu, Weston zauważył w jego cieniu byłego zbira z tajnej policji, który upodobał sobie pozowanie do homoerotycznych zdjęć, pokazujących, jak z obnażoną piersią i przewieszonym na niej karabinem przemierza konno Syberię. W swoim artykule Weston ostrzegał przed zastąpieniem komunizmu nową, udającą patriotyzm, radykalnie prawicową agresją, która zaczęła zatruwać Kreml, gdy na miejsce pijaka przyszedł były czekista; zwracał także uwagę na bliskie powiązania Woźdicia – co oznaczało „przywódcę” lub, w świecie mafijnym, „ojca chrzestnego” – z przestępczym podziemiem.

Człowiek, który zdobył całkowitą władzę nad Rosją, zaczynał jako zagorzały komunista i spotkał go przywilej wstąpienia do zagranicznego oddziału KGB, Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, gdy został przydzielony do Pierwszego Zarządu Głównego KGB we wschodnioniemieckim Dreźnie. Po upadku komunizmu wrócił do swojego rodzinnego Leningradu, który przemianowano na Petersburg, i dołączył do sztabu burmistrza. Stamtąd trafił do Moskwy, gdzie znalazł się w otoczeniu Borysa Jelcyna. Trwając przy boku zapijaczonego olbrzyma z Syberii, który po dymisji Gorbaczowa zasiadł na stołku prezydenta, stawał się coraz bardziej niezastąpiony.

Jednocześnie zachodziły w nim zmiany. Rozczarował się komunizmem, lecz nie fanatyzmem. Jedno przeszło w drugie. Skręcił ku radykalnej prawicy, swoje prawdziwe poglądy skrywając pod maską religijności i wierności Cerkwi prawosławnej oraz ultrapatriotyzmu. Wkrótce zwrócił na coś uwagę.

Zauważył, że władzę w Rosji dzierżą trzy grupy. Pierwszą był rząd, z pełnym dostępem do tajnej policji, sił specjalnych i wojska. Druga pojawiła się w rezultacie gwałtu, jaki dokonał się na Rosji i jej majątku pod rządami Jelcyna. W skład tej grupy wchodziły szeregi oportunistów, którzy za półdarmo otrzymali od skorumpowanych biurokratów kontrolę nad wszystkimi bogactwami naturalnymi. To byli nowi plutokraci, oligarchowie, miliarderzy i multimilionerzy, którzy wyrosli jak grzyby po deszczu. Bez ogromnych pieniędzy było się nikim we współczesnej Rosji. Trzecią grupę stanowili mafiosi, *wory w zakonie*, czyli „honorowi złodzieje”. Ta trójca tworzyła powiązane ze sobą bractwo. Kiedy roztrzęsiony Jelcyn ustąpił i bez walki przekazał ster człowiekowi stojącemu u jego boku, Woźd’ stał się panem wszystkich trzech grup i zaczął je wykorzystywać, nagradzać i wydawać im rozkazy. Z ich pomocą został jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

Sir Adrian stwierdził, że ci, którzy sprzeciwiają się nowemu przywódcy, zazwyczaj krótko żyją, jeśli mieszkają w Rosji, a jeżeli osiadą za granicą i wciąż go krytykują, często padają ofiarami śmiertelnych wypadków. Było to prorocze ostrzeżenie, które nie wszystkim się spodobało, ale najwyraźniej zrobiło wrażenie na pani Graham. Przy kawie Weston przyjął jej propozycję.

\* \* \*

Pojawił się przed znajomymi drzwiami budynku przy Downing Street 10 za pięć dziesiątą. Otworzyły się, zanim zdążył dotknąć zdobionej mosiężnej kołatki. Wewnątrz stale czuwają obserwatorzy. Znajomy odźwierny powitał go po imieniu i wskazał mu kręte schody, przy których po obu stronach wisiały portrety poprzednich lokatorów. Na szczycie zaproszono go do niewielkiej sali konferencyjnej, oddalonej kilka metrów od gabinetu pani premier, która dołączyła do niego równo o dziesiątej. W pracy była od szóstej.

Marjory Graham nie traciła czasu. Wyjaśniła, że o dziesiątej ma się pojawić amerykański ambasador, więc sir Adrian musi „szybko zapoznać się z sytuacją”. Weston wiedział o włamaniu do amerykańskiej bazy danych sprzed trzech miesięcy, ale nie o niedawnych wydarzeniach w swojej ojczyźnie. Premier skrótowo, lecz gruntownie zrelacjonowała mu akcję przeprowadzoną w Luton.

– Gdzie teraz jest ta rodzina? – spytał.

– W Latimer.

Znał tę niewielką malowniczą wioskę na granicy hrabstw Buckingham i Hertford. Na jej obrzeżach wznosi się stara posiadłość, którą rząd przejął podczas drugiej wojny światowej, by ulokować tam schwytanych niemieckich oficerów. Mieszkali w sielankowej scenerii i z nudów zabijali czas rozmową. Każde ich słowo nagrywano, a uzyskane informacje okazały się niezwykle użyteczne. Po 1945 roku posiadłość pozostała własnością rządu i była wykorzystywana przez MI5 jako schronienie dla ważnych uciekinierów politycznych z bloku wschodniego. W tym świecie nazwa „Latimer” mówiła wszystko.

Sir Adrian zastanawiał się, czy dyrektor MI5 jest zadowolony, że nagle zrzucono mu na kark problematyczną rodzinę, której jeszcze nie prześwietlono.

– Jak długo będą tam przebywać? – spytał.

– Najkrócej, jak się da. Problem jest dwojaki. Co, u licha, powinniśmy z nimi zrobić? No i jak to rozegramy z Amerykanami? Zaczniemy od pierwszej kwestii. Według raportu rodzina składa się z czterech osób, a biorąc pod uwagę wyposażenie pracowni komputerowej na poddaszu domu oraz pierwsze wrażenie, jakie zrobił starszy syn, prawdopodobnie to właśnie on jest sprawcą. Można go scharakteryzować jako słabego na umyśle. Wygląda na to, że obecnie wpadł w stan przypominający katatonię, więc będziemy musieli poddać go specjalistycznym badaniom. Potem zdecydujemy o krokach prawnych. Jakie zarzuty możemy mu postawić, jeśli chcemy doprowadzić do jego skazania? Na razie nie wiemy. W każdym razie Amerykanie nie są w pobłażliwym nastroju. Jeśli sądzić po ich dotychczasowych praktykach,

zażądają pewnie szybkiej ekstradycji, żeby postawić go przed amerykańskim sądem i skazać na długoletnie więzienie.

– A czego pani chce, pani premier?

– Chcę uniknąć wojny z Waszyngtonem, zwłaszcza w świetle tego, kto obecnie zasiada w Gabinetcie Ovalnym, a także uniknąć publicznego skandalu tutaj i nie dopuścić, by media stanęły po stronie bezbronno nastolatka. Co o tym myślisz? Na chwilę obecną?

– Na chwilę obecną nie mam pojęcia, pani premier. Chłopak ma osiemnaście lat, więc może odpowiadać jako dorosły, ale zważywszy na jego stan, niewykluczone, że będziemy musieli się skonsultować z jego ojcem bądź z obojgiem rodziców. Chciałbym porozmawiać z nimi wszystkimi. A także wysłuchać, co ma do powiedzenia psychiatra. Na razie musimy poprosić Amerykanów, by dali nam kilka dni, zanim ta sprawa ujrzy światło dzienne.

Rozległo się pukanie do drzwi i ktoś zajrzał do środka. Osobisty sekretarz.

– Przyszedł amerykański ambasador, pani premier.

– Za pięć minut w gabinecie.

\* \* \*

Amerykanów było trzech. Wstali z miejsc, gdy premier weszła do pokoju ze swoim czteroosobowym zespołem. Sir Adrian szedł na końcu i usiadł z tyłu. Na razie miał słuchać, później poproszą go o radę.

Podobnie jak wielu innych amerykańskich ambasadorów w najatrakcyjniejszych placówkach, Wesley Carter III nie był zawodowym dyplomatą. Wspierał jednak Partię Republikańską hojnymi dotacjami oraz był dziedzicem handlowego imperium z Kansas, działającego w branży paszy dla bydła. Był roslym, prostodusznym i towarzyskim mężczyzną o staroświeckich manierach. Zdawał sobie sprawę, że powodzenie w negocjacjach zależy od jego dwóch towarzyszy. Byli to zastępca sekretarza Departamentu Stanu oraz jego attaché prawny – na tym stanowisku zawsze obsadzano pracownika FBI. Powitania i uściski dłoni zajęły kilka minut. Podano kawę i obsługa w białych marynarkach opuściła gabinet.

– Cieszę się, że zdołała nas pani tak szybko przyjąć, pani premier.

– Ależ, Wesley, przecież pan wie, że zawsze jest pan tutaj mile widziany. A więc w Luton wydarzyło się coś dziwnego. Była tam dwójka pańskich ludzi. Złożyli raport?

– Owszem, pani premier. A „coś dziwnego” to z pewnością przykład słynnej brytyjskiej skłonności do niedomówień. – Ta uwaga padła z ust Graydona Bennetta z Departamentu Stanu. Było oczywiste, że dwaj zawodowcy postanowili przejąć pałeczkę. – Ale nie sposób zaprzeczyć faktom. Ten młody człowiek rozmyślnie wyrządził ogromne szkody naszej bazie danych w Fort Meade. Ich naprawienie będzie kosztowało miliony. Uważamy, że należy bezzwłocznie dokonać ekstradycji, by mógł stanąć przed sądem.

– To zrozumiałe – odrzekła pani Graham. – Ale wasz system prawny w tej kwestii odzwierciedla nasz system. Stan psychiczny oskarżonego może mieć istotny wpływ na przebieg każdej sprawy. Jak dotąd nie mieliśmy okazji zasięgnąć opinii psychiatry ani neurologa. Jednakże pańscy żołnierze widzieli chłopaka w tym domu. Czy nie wspominali, że sprawia wrażenie... jak by to powiedzieć?... słabego na umyśle?

Po minach osób zgromadzonych przy stole można było się zorientować, że dwaj żołnierze, którzy kontaktowali się z ambasadą przez radio z domu w Luton, przekazali dokładnie taką informację.

– Jest jeszcze kwestia mediów, panowie. Na razie nie wiedzą, co się wydarzyło i co odkryliśmy. Chcielibyśmy, aby jak najdłużej tak pozostało. Chyba wszyscy rozumiemy, że kiedy już się dowiedzą, czeka nas medialna burza.

– O co konkretnie nas pani prosi, pani premier? – spytał attaché prawny John Owen.

– Potrzebujemy trzech dni. Jak dotąd ojciec chłopaka nie schował się za murem prawników, ale nie możemy mu tego zakazać. Ma swoje prawa. Jeśli zatrudni adwokata, cała historia wypłynie. Wtedy już nie unikniemy wojny okopowej. Chcielibyśmy dostać trzy dni spokoju.

– Nie możecie trzymać tej rodziny w odosobnieniu? – spytał Carter.

– Nie bez ich zgody. Na dłuższą metę znacznie pogorszyłyby to sytuację. – Pani premier kiedyś była radcą prawnym.

Ze względu na różnicę czasu w Waszyngtonie wciąż była noc. Przedstawiciele ambasady zapewnili, że po naradach i konsultacjach podejmą ostateczne decyzje w kwestii trzydniowej zwłoki i przekażą je na Downing Street jeszcze przed zachodem słońca, według brytyjskiego czasu.

Kiedy wyszli, pani Graham skinęła na sir Adriana, żeby został.

– Co o tym myślisz, Adrianie?

– W Cambridge jest pewien człowiek, profesor Simon Baron-Cohen. Specjalizuje się we wszelkich formach umysłowej słabości. Jest prawdopodobnie najlepszym fachowcem w Europie, może nawet na świecie. Myślę, że powinien obejrzeć chłopaka. A ja chciałbym porozmawiać z jego ojcem. Mam jakiś pomysł. Możliwe, że istnieje lepsze rozwiązanie dla nas wszystkich niż wsadzenie młodego na resztę życia do celi głęboko pod pustynią Arizony.

– Lepsze rozwiązanie? Jakie?

– Jeszcze nie teraz, pani premier. Mógłbym pojechać do Latimer?

– Masz samochód?

– Nie w Londynie. Przyjechałem pociągiem.

Premier podniosła słuchawkę telefonu. Po dziesięciu minutach pod drzwi podjechał jaguar z ministerialnej floty.

\* \* \*

Daleko stąd, nad zamrażającym Morzem Białym, leży rosyjskie miasto Archangielsk. W jego pobliżu znajduje się stocznia Siewmasz w Siewierodwińsku, największa i najlepiej wyposażona w całej Rosji. Tamtego dnia grubo opatuleni robotnicy kończyli najdłuższy i najdroższy remont w historii rosyjskiej marynarki. Przygotowywali do wypłynięcia w morze najpotężniejszy i najbardziej nowoczesny krążownik na świecie, który, nie licząc amerykańskich lotniskowców, miał się stać największym nawodnym okrętem wojennym. Nazwano go *Admirał Nachimow*.

Rosja dysponowała tylko jednym lotniskowcem przy trzynastu amerykańskich. Był to zdezelowany *Admirał Kuzniecowa*, związany z Flotą



Północną stacjonującą w Murmańsku. Kiedyś Rosjanie mieli do dyspozycji cztery potężne krążowniki, na czele z *Piotrem Wielkim*.

Dwa z nich już wycofano ze służby, a *Piotr Wielki* też prawie nie nadawał się do użytku. Obecnie czekał na Morzu Białym, by zająć miejsce *Nachimowa*, kiedy jego dziesięcioletni, kosztujący miliardy rubli remont w Siewmaszu dobiegnie końca.

Tamtego ranka, gdy sir Adrian wygodnie podróżował jaguarem przez rozkwitające wiosenne krajobrazy hrabstwa Hertford, w kajucie kapitańskiej *Admirała Nachimowa* odbywało się przyjęcie. Wznoszono toasty za okręt, za jego nowego kapitana, Piotra Denisowicza, i za triumfalną podróż przez pół świata, do Władywostoku, gdzie mieściła się baza główna Rosyjskiej Floty Pacyficznej.

W następnym miesiącu okręt miał uruchomić dwa potężne silniki atomowe i wypłynąć na Morze Białe.

## Rozdział trzeci

Kiedy o trzeciej nad ranem zatrzymano całą rodzinę Jenningsów, rodzice byli oszołomieni, ale zarazem posłuszni i gotowi do współpracy. Rzadko komu zdarza się zbudzić o tej porze i zobaczyć wokół łóżka ubranych na czarno mężczyzn z bronią maszynową i twarzami zniekształconymi przez noktowizory. Jenningsowie, przestraszeni, wykonywali wszelkie polecenia.

Kiedy nadszedł dzień i przybyli do Latimer, w miejsce strachu pojawił się gniew. Nie mogli temu zaradzić ani dwaj żołnierze, którzy towarzyszyli im w podróży, ani grzeczna, ale niezaangażowana obsługa posiadłości. Kiedy więc sir Adrian przyjechał tam w samo południe, w dniu nalotu na dom w Luton, musiał się zmierzyć z falą nagromadzonej wściekłości. Siedział w milczeniu, dopóki Jenningsowie nie wyrzucili z siebie wszystkich pretensji. W końcu spytał:

– Państwo naprawdę nie wiedzą, tak?

To uciszyło Harolda Jenningsa. Jego żona, Sue, siedziała przy nim; oboje wpatrywali się w przybysza z Londynu.

– O czym nie wiemy?

– Co zrobił państwa syn Luke?

– Luke? – powtórzyła ze zdziwieniem Sue Jennings. – Przecież on jest nieszkodliwy. Ma zespół Aspergera. To forma autyzmu. Wiemy o tym od lat.

– Zatem nie zdają sobie państwo sprawy, czym się zajmował, gdy siedział na poddaszu?

Gniew ustąpił miejsca złym przeczuciom. Dało się to wyczytać z twarzy obojga.

– Stukał w klawiaturę komputera – odrzekł ojciec. – To jedyne, czym się zajmuje.

Sir Adrian wyraźnie dostrzegał kryzys dręczący małżeństwo Jenningsów. Harold Jennings chciał mieć zdrowego, pełnego energii syna, który będzie umawiał się z dziewczynami i da ojcu powody do dumy, gdy zagra z nim partyjkę golfa w klubie albo wystąpi w reprezentacji hrabstwa w piłce nożnej bądź rugby. Tymczasem jego syn był nieśmiałym, wycofanym młodzieńcem, który nie potrafił sprawnie funkcjonować w prawdziwym świecie, a dobrze czuł się tylko przed ekranem w zaciemnionym pokoju.

Sir Adrian jeszcze nie poznał Luke'a Jenningsa, ale krótka rozmowa telefoniczna, którą odbył z doktorem Hendricksem – udającym dekoratora wnętrz, gdy jego oddział patroszył dom w Luton – w czasie podróży limuzyną, przekonała go, że źródłem problemu rzeczywiście jest starszy syn.

Zaczynał teraz rozumieć, że jasnówłosa czterdziestoletnia matka jest nadopiekuńcza wobec delikatnego syna i będzie go broniła za wszelką cenę. Ten zamknięty w sobie nastolatek najwyraźniej był od niej emocjonalnie uzależniony i komunikował się z zewnętrznym światem wyłącznie za jej pośrednictwem. Gdyby ich rozdzielono – na przykład z powodu ekstradycji do Stanów Zjednoczonych – zapewne całkiem by się rozsypał.

– No cóż, obawiam się, że dokonał niemożliwego, zważywszy na sprzęt, jaki miał do dyspozycji. Włamał się do serca amerykańskiego systemu bezpieczeństwa, spowodował wielomilionowe straty i potwornie nas wszystkich wystraszył.

Rodzice wpatrywali się w niego z szeroko otwartymi ustami. W końcu pan Jennings zakrył twarz dłońmi.

– O Boże – wykrztusił.

Był pięćdziesięcioletnim biegłym księgowym, który prowadził własną działalność razem z dwójką wspólników. Zarabiał dobrze, choć nie rewelacyjnie, i w weekendy lubił grać z kolegami w golfa. Najwyraźniej nie rozumiał, czym sobie zasłużył na to, że trafił mu się tak słabowity syn, który na dodatek rozwścieczył głównego sojusznika jego ojczyzny, za co groziły mu ekstradycja i więzienie.

– To niemożliwe! – zaczęła krzyczeć pani Jennings. – Przecież on nigdy nie wyjeżdżał z kraju. Prawie nie opuszczał Luton, a nawet naszego domu, nie

licząc wyjść do szkoły. Przeraza go wizja oddalenia się od jedyne go miejsca, które zna.

– Nie musiał – odrzekł Adrian Weston. – Cyberprzestrzeń nie ma granic. Amerykanie nie są w dobrym nastroju i wygląda na to, że zażądają ekstradycji, by postawić państwa syna przed sądem w Stanach Zjednoczonych. W takim wypadku groziłoby mu wieloletnie więzienie.

– Nie możecie tego zrobić. – Pani Jennings była bliska hysterii. – On by tego nie przeżył. Odebrałby sobie życie.

– Nie pozwolimy na to – dodał ojciec. – Zatrudnię najlepszego londyńskiego adwokata. Będę walczył przed każdym sądem w kraju.

– Nie wątpię – powiedział sir Adrian. – I zapewne pan wygra, ale ogromnym kosztem. Straci pan dom, pieniądze z funduszu emerytalnego, oszczędności... wszystko pochłoną honoraria adwokackie.

– To nieistotne – warknęła Sue Jennings. – Nie możecie odebrać mi dziecka i go zabić, a właśnie tak by się to skończyło. To wyrok śmierci. Będziemy z wami walczyć nawet przed Sądem Najwyższym.

– Proszę zrozumieć, że nie jestem państwa wrogiem. Być może istnieje sposób, by temu zapobiec. Ale będę potrzebował państwa pomocy. Jeśli jej nie otrzymam, niczego nie zdołam zrobić.

Wyjaśnił Jenningsom sytuację prawną, z którą niedawno zapoznał się na tylnym siedzeniu jaguara. Jeszcze kilka lat wcześniej włamania komputerowe nawet nie były wyszczególnione w brytyjskim kodeksie karnym jako przestępstwo.

Potem prawo się zmieniło, gdy jeden z hakerskich ataków zmusił parlament do działania. Obecnie włamania komputerowe były uznawane za przestępstwo, ale zagrożone najwyżej czterema latami pozbawienia wolności, choć oskarżony, jeśli okazał skruchę i skorzystał z pomocy dobrego prawnika, a przy tym trafił na wyrozumiałego sędziego, mógł nawet uniknąć więzienia. W Stanach Zjednoczonych kary były znacznie surowsze.

Z tego powodu ekstradycja mogła się nie powieść – odmówiono jej już w dwóch przypadkach, ku wielkiemu rozgoryczeniu Amerykanów. Poza tym taka sprawa z pewnością odbije się szerokim echem. Ludzie podejną do niej emocjonalnie. Któraś z gazet może zorganizować zbiórkę pieniędzy na

pokrycie kosztów sądowych i ochronić Jenningsów przed czarnym scenariuszem, którym sir Adrian próbował ich nastraszyć.

Ale oznaczałoby to dwuletnią wojnę okopową z rządem Stanów Zjednoczonych, i to w chwili, gdy międzynarodowy handel, walka z terroryzmem, wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej oraz coraz agresywniejsza postawa Rosji wymagały zjednoczonego frontu anglo-amerykańskiego.

Jenningsowie słuchali w milczeniu. W końcu Harold spytał:

– Czego pan od nas chce?

– Raczej czego potrzebuję. Odrobiny czasu. Jak dotąd prasa nie dowiedziała się o uszkodzeniu amerykańskich systemów bezpieczeństwa. Ale Amerykanie mają nieustępliwych dziennikarzy śledczych, którzy wkrótce to wykryją. Jeśli ta sprawa ujrzy światło dzienne, narobi mnóstwo szumu. Nawet tutaj medialna gorączka sprawi, że państwa rodzina nie będzie miała chwili wytchnienia, a wasze życie zmieni się w piekło. Być może uda nam się tego wszystkiego uniknąć. Potrzebuję tygodnia. Może nawet mniej. Są państwo w stanie mi to zapewnić?

– Ale jak? – spytał Harold Jennings. – Ludzie zauważą, że znikliśmy ze swojego domu.

– Na razie państwa sąsiedzi w Luton są przekonani, że Jenningsowie wybrali się na krótkie wakacje. Pani Jennings, czy mógłby pan skontaktować się ze swoimi współnikami i wyjaśnić, że ważne sprawy rodzinne zmusiły pana do natychmiastowego wyjazdu?

Harold skinął głową.

– Pani Jennings, w poniedziałek zaczynają się ferie wielkanocne. Czy może pani skontaktować się ze szkołą i powiedzieć, że Luke się rozchorował, więc on i Marcus opuszczą ostatnie kilka dni przed świętami?

Kolejne skinienie głową.

– A teraz chciałbym porozmawiać z Lukiem.

\* \* \*

Sir Adriana zaprowadzono do innego pokoju, gdzie obaj młodzi Jenningsowie byli pochłonięci graniem na smartfonach, które jakimś cudem pozwolono im zatrzymać.

Gdyby sir Adrian oczekiwał, że nastolatek nazywany cyberprzestępcą lub komputerowym maniakiem zrobi na nim imponujące wrażenie, pewnie by się rozczarował. Ale tak się nie stało. Zaimponowała mu właśnie zwyczajność tego chłopaka.

Luke był wysoki, chudy jak tyka, z bujną rozczochraną blond czupryną nad bladą twarzą, która zbyt rzadko oglądała słońce. Cechowała go skrajna nieśmiałość, jak kogoś, kto wycofał się do swojego wnętrza i stamtąd obserwuje wrogi świat. Trudno było uwierzyć, że naprawdę zrobił to, o co go oskarżano.

Ale już pierwsze testy przeprowadzone przez specjalistów z GCHQ wskazywały, że Luke Jennings potrafi w cyberprzestrzeni robić takie rzeczy i odwiedzać takie miejsca, o jakich im się nie śniło. W ich ocenie był albo najbardziej utalentowanym, albo najbardziej niebezpiecznym nastolatkiem na świecie... a może jedno i drugie.

Luke siedział zgarbiony nad smartfonem, całkowicie pochłonięty przez wirtualny świat. Matka objęła go i wyszeptała mu coś do ucha. Oderwał się od telefonu i popatrzył na sir Adriana. Sprawiał wrażenie częściowo przerażonego, a częściowo zadziornego.

Najwyraźniej miał trudności z utrzymywaniem kontaktu wzrokowego z nieznanymi, a nawet z prowadzeniem z nimi rozmowy. Towarzyskie pogawędki wykraczały poza jego możliwości. Przygotowując się do tego spotkania w drodze z Downing Street do Latimer, Weston wyczytał, że jednym z objawów zespołu Aspergera jest obsesyjna potrzeba porządku, tak by wszystkie przedmioty znajdowały się na ustalonych miejscach, z których nie wolno ich ruszać. Tymczasem w ciągu ostatniego dnia wszystko w świecie Luke'a zmieniło swoje miejsce i patrząc z jego perspektywy, zostało zniszczone. Chłopak przeżył traumę.

Kiedy sir Adrian zaczął rozmawiać z Lukiem, pani Jennings często im przerywała, by wytłumaczyć, co jej syn ma na myśli, i zachęcać go, żeby odpowiadał na pytania. Ale chłopaka interesowało tylko jedno.

W pewnym momencie podniósł wzrok, a wtedy sir Adrian zwrócił uwagę na jego oczy. Były różnego koloru: lewe jasnoorzechowe, a prawe bladoniebieskie. Przypomniał sobie, że podobno to samo miał niedawno zmarły David Bowie.

– Chcę dostać swój komputer – powiedział Luke.

– Luke, jeśli oddam ci twój komputer, będziesz musiał coś mi obiecać. Już nigdy więcej nie włamiesz się do żadnego amerykańskiego systemu. Ani jednego. Obiecasz mi to?

– Ale ich systemy są wadliwe – odrzekł Luke. – Próbowałem im to pokazać.

To był niezwykle ważny aspekt całej sprawy. Chłopak chciał pomóc. Odkrył w cyberprzestrzeni coś, co według niego było niewłaściwe. Coś niedoskonałego. Dlatego przeniknął do samego serca tego czegoś, by ujawnić braki. Tym czymś była baza danych Agencji Bezpieczeństwa Krajowego w Fort Meade w Marylandzie. Luke naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ucierpiały na tym zarówno systemy komputerowe, jak i ego niektórych osób.

– Musisz mi to obiecać, Luke.

– Dobrze, obiecuję. Kiedy mogę go dostać?

– Zobaczę, co da się zrobić.

Weston poszedł do jednego z pustych gabinetów, zamknął za sobą drzwi i skontaktował się z doktorem Hendricksem. Guru z GCHQ już opuścił Luton. Po tym, jak wspólnie ze swoim zespołem dokładnie przetrząsnął poddasze, przewiózł osobisty komputer Luke'a Jenningsa do siedziby Narodowego Centrum Cyberbezpieczeństwa w londyńskiej dzielnicy Victoria. Zawahał się, usłyszawszy prośbę Westona, bo przed sporządzeniem raportu musiał skrupulatnie zbadać komputer i jego zawartość. W końcu powiedział:

– No dobrze. Przerzucę wszystko na inny sprzęt i przekażę komputer...

– Nie, zostań, gdzie jesteś. Przyślę po niego samochód.

\* \* \*

Następnie sir Adrian zadzwonił do pani premier. Siedziała w pierwszej ławce w Izbie Gmin. Osobisty sekretarz szepnął jej coś do ucha. W pierwszej

dogodnej chwili wyszła, udała się do swojego gabinetu w Izbie Gmin i oddzwoniła do sir Adriana. Przekazał jej swoją prośbę. Uważnie go wysłuchała i zadała kilka pytań.

– To bardzo pilna sprawa – powiedziała w końcu. – On może się nie zgodzić. Ale spróbuję. Zostań w Latimer. Oddzwonię.

W Londynie było późne popołudnie, w Waszyngtonie zbliżało się południe. Mężczyzna, z którym zamierzała się skontaktować, przebywał na polu golfowym, ale odebrał telefon. Ku jej zaskoczeniu przystał na prośbę. Poprosiła asystenta, by oddzwonił do sir Adriana.

– Sir Adrianie, jeśli pojedzie pan do Northolt, RAF postara się panu pomóc, i to jak najszybciej. Instrukcja została przekazana.

\* \* \*

Formalnie rzecz biorąc, Northolt, położone na północno-zachodnich obrzeżach Londynu, niedaleko obwodnicy M25, wciąż jest bazą Królewskich Sił Lotniczych, ale od dawna współpracuje z sektorem prywatnym, użyczając przestrzeni firmowym odrzutowcom, należącym do bogatych i uprzywilejowanych.

Sir Adrian spędził sześć godzin w hali odlotów, gdzie zjadł w kawiarni bardzo spóźniony lunch i kupił w kiosku kilka gazet. O północy młody żołnierz RAF-u zawołał go do jednego z wyjść. Na płycie lotniska właśnie tankowano samolot przed podróżą za ocean. Był to dwusilnikowy odrzutowiec BAe125, który mógł dotrzeć do bazy lotniczej Andrews pod Waszyngtonem w ciągu ośmiu godzin, nawet przy przeciwnym wietrze, zyskując pięć godzin dzięki zmianie czasu.

Adrian Weston przywykł do wykorzystywania każdej okazji, by się zdrzemnąć, wziął więc kanapkę i kieliszek słabego czerwonego wina, podane przez stewarda, po czym odchylił do tyłu fotel i zasnął, podczas gdy samolot oddalał się od irlandzkiego wybrzeża.

\* \* \*



Wylądowali w bazie lotniczej Andrews tuż po czwartej nad ranem. Sir Adrian podziękował stewardowi, który podał mu śniadanie, i załodze samolotu. Siedzący na lewym fotelu major lotnictwa oznajmił, że mają rozkaz zaczekać, aż Weston wypełni swoje zadanie, a następnie zabrać go z powrotem do domu.

Sir Adrian musiał poczekać jeszcze kilka godzin w hali przylotów na transport. Jako że cała podróż odbywała się nieoficjalnie, nie powiadomiono brytyjskiej ambasady. Biały Dom wysłał nieoznakowanego forda Crown Victorię, a obok kierowcy zasiadł młody pracownik Zachodniego Skrzydła. Zrezygnowano z formalności paszportowych, chociaż sir Adrian zawsze miał przy sobie dokumenty.

Podróż trwała kolejną godzinę, podczas której wlekli się w strumieniu samochodów przekraczających Potomac i kierujących się do śródmieścia Waszyngtonu. Kierowca znał się na rzeczy. Polecono mu, by unikał dziennikarzy, którzy mogliby zauważyć samochód i pasażera, więc podjechał do Białego Domu od tyłu.

Limuzyna skręciła w prawo, z Constitution Avenue w Siedemnastą Ulicę, a potem znów w prawo, w State Drive, pod osłoną budynku Eisenhowera. Gdy oficer pokazał wartownikowi identyfikator, cztery stalowe słupki sterczące z jezdni schowały się pod asfaltem i ruszyli krótkim podjazdem zwanym West Exec, który prowadzi prosto do Zachodniego Skrzydła, gdzie mieszka i pracuje prezydent.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do Zachodniego Skrzydła i sir Adrian wysiadł. Tutaj przejął go nowy oficer i wprowadził do środka. Skręcili w lewo i wspięli się po schodach, które zawiodły ich przed drzwi gabinetu doradcy do spraw bezpieczeństwa krajowego. W te rejony nie mogą zapuszczać się dziennikarze.

Westona poprowadzono kolejnym korytarzem, do recepcji z dwoma biurkami, gdzie prześwietlono skanerem zawartość jego teczki. Wiedział, że już na lotnisku został przeszukany za pomocą ukrytych kamer. W głębi recepcji znajdowały się ostatnie drzwi – do samego Gabinetu Ovalnego. Jedna z osób siedzących przy biurkach wstała, zapukała w nie, po czym otworzyła je i gestem wskazała, by sir Adrian wszedł. Następnie zamknęła za nim drzwi.

W środku siedziały cztery osoby, a przed biurkiem prezydenta czekało jedno wolne krzesło. Byli tu szef sztabu, sekretarz obrony oraz minister sprawiedliwości. Przed nimi siedział prezydent, zwrócony twarzą w stronę drzwi, zerkając spode łba ponad biurkiem *Resolute* – ten bogato zdobiony dębowy mebel, wykonany z drewna pochodzącego z brytyjskiego okrętu wojennego *Resolute*, ponad sto lat wcześniej królowa Wiktorja podarowała innemu prezydentowi. Obok prawej dłoni prezydenta znajdował się czerwony przycisk, służący nie do rozpoczęcia wojny atomowej, tylko do zamawiania kolejnych puszek dietetycznej coli.

Szef sztabu dokonał całkiem zbędnej prezentacji wszystkich obecnych. Każda z tych osób, poza sir Adrianem, była doskonale znana dzięki wielu zdjęciom. Atmosfera w gabinecie była pełna kurtuazji, ale niezbyt serdeczna.

– Panie prezydencie, przekazuję najserdeczniejsze pozdrowienia od premier Wielkiej Brytanii i dziękuję, że zgodził się pan tak szybko mnie przyjąć.

Wielka, starannie ufryzowana blond głowa pochyliła się z oschłą aprobatą.

– Sir Adrianie, zaznaczam, że zgodziłem się na to tylko z szacunku dla mojej przyjaciółki Marjory Graham. Wygląda na to, że jeden z pańskich rodaków wyrządził nam ogromne szkody, więc uważamy, że powinien stanąć przed obliczem sprawiedliwości w naszym kraju.

Sir Adrian wiedział, że wykrety do niczego go nie doprowadzą.

– Rozbita szyba, panie prezydencie – odrzekł krótko.

– Rozbite co?

– Ten młody cybergeniusz, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia, dostał się do jednej z głównych amerykańskich baz danych jak włamywacz, który rozbija szybę, żeby wejść do środka. Ale kiedy już to zrobił, tylko się rozejrzał. Niczego nie zniszczył, nie dokonał sabotażu, a przede wszystkim niczego nie ukradł. To nie jest drugi Edward Snowden. Nie przekazał niczego naszym wrogom.

Na wzmiankę o Snowdenie czterej Amerykanie zeszywnieli. Doskonale pamiętali, że Edward Snowden, Amerykanin na państwowej posadzie, ukradł ponad milion tajnych dokumentów zapisanych na karcie pamięci i poleciał do Moskwy, gdzie obecnie mieszkał.

– Ale jednak szkody są ogromne – odburknął minister sprawiedliwości.

– Zrobił coś, co uważano za niemożliwe. Co by się stało, gdyby dokonał tego wasz zatwardziały wróg? To tylko rozbita szyba, panowie. Mamy szklarzy. Możemy naprawić szkody. A wszystkie tajemnice są na swoim miejscu. Powtarzam: niczego nie ukradł ani nie zabrał. O ile się nie mylę, piekielny ogień jest zarezerwowany dla zdrajców?

– Więc przyleciał pan z Atlantyku, żeby prosić nas, byśmy naprawili wszystkie szkody i okazali miłosierdzie, sir Adrianie? – spytał prezydent.

– Nie, panie prezydencie. Przyleciałem z Europy z dwóch powodów. Po pierwsze, mam pewną propozycję.

– To znaczy?

Sir Adrian wyjął z kieszeni na piersi kawałek papieru, podszedł do biurka i położył go przed przywódcą zachodniego świata. Następnie wrócił na swoje miejsce. Wszyscy patrzyli, jak jasnowłosa głowa pochyła się nad kartką. Prezydent się nie spieszył. W końcu wyprostował się i popatrzył na Brytyjczyka. Podał kartkę ministrowi sprawiedliwości, który siedział najbliżej. Kolejno zapoznali się z jej treścią dwaj pozostali mężczyźni.

– Czy to zadziała? – spytał prezydent.

– Jak w przypadku wielu życiowych sytuacji, nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

– Wspomniał pan o dwóch powodach tej wizyty – odezwał się sekretarz obrony. – Jaki jest drugi?

– Chcę spróbować zawrzeć układ. Chyba wszyscy czytaliśmy *Sztukę robienia interesów*.

Mówił o książce napisanej przez prezydenta i dotyczącej realiów biznesu. Prezydent się rozpromienił. Nigdy nie miał dość pochwał za coś, co uważał za swoje arcydzieło.

– O jaki układ chodzi? – spytał.

– Jeżeli otrzymamy zgodę na to... – sir Adrian wskazał kartkę – ... postaramy się, żeby dla nas pracował. Oficjalnie zobowiąże się do zachowania tajemnicy państwowej. Będziemy go trzymać w zamkniętym środowisku. Nadzorować jego działania. A jeśli to się sprawdzi i zdołamy pozyskać jakieś informacje, na pewno wam je prześlemy. Wszystkie bez wyjątku.

– Panie prezydencie, nie mamy nawet cienia dowodu, że to może zadziałać  
– wtrącił sekretarz obrony.

Zapadła głucha cisza. Potem potężna blond głowa podniosła się i zwróciła w stronę ministra sprawiedliwości.

– John, zamierzam się na to zgodzić. Wycofaj żądanie ekstradycji. Niekoniecznie na zawsze. Ale spróbujemy.

\* \* \*

Dwie godziny później sir Adrian wrócił na lotnisko. Podróż powrotna była łatwiejsza dzięki wiejącym z zachodu wiatrom. Jego samochód czekał w Northolt. Po drodze Weston zadzwonił do pani premier. Dochodziła północ i Marjory Graham właśnie miała się położyć, nastawiwszy budzik na piątą rano.

Okazało się, że jest wystarczająco rozbudzona, by udzielić mu zezwoleń, jakich potrzebował. Tymczasem gdzieś daleko, w okolicach Archangielska, lód na morzu zaczynał pękać.

## Rozdział czwarty

Po wizycie w Waszyngtonie wszystko poszło jak z płatka. Dla mediów sprawa nigdy nie istniała, dzięki czemu zaangażowane w nią osoby mogły spokojnie naprawiać zniszczenia w Fort Meade i instalować nowy – lepszy – system bezpieczeństwa, podczas gdy Brytyjczycy rozmyślali o przyszłości głęboko zaburzonego chłopca, teraz znanego jako Fox.

Waszyngton dotrzymał słowa i dyskretnie wycofał wniosek o ekstradycję, a ponieważ wcześniej nie ogłaszał swoich zamiarów, nie wywołało to żadnej reakcji. Ale pojawił się pewien kłopot.

W Departamencie Sprawiedliwości działał uśpiony rosyjski agent niskiego szczebla. Była to kobieta, rodowita Amerykanka, gotowa zdradzić swoją ojczyznę dla pieniędzy, podobnie jak siedzący od dawna w więzieniu Aldrich Ames.

Zwróciła uwagę na wycofanie wniosku o ekstradycję młodego Brytyjczyka oskarżonego o atak hakerski i napisała krótki raport dla swoich pracodawców. Nie przywiązywała do tej sprawy dużej wagi, ale kierowała nią chciwość. Dlatego przekazała tę informację swojemu opiekunowi w rosyjskiej ambasadzie, który następnie przesłał ją do Moskwy do Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, czyli SWR. Tam informacja trafiła do akt.

Sir Adrian po raz drugi spotkał się z panią Graham, która nie kryła zadowolenia, że udało się uniknąć długiej wojny sądowej ze Stanami Zjednoczonymi, i zgodziła się na drugą część jego planu. W tym celu sir Adrian musiał przeprowadzić się z Dorset do Londynu, przynajmniej na czas trwania operacji. Umieszczono go w niewielkim rządowym mieszkaniu na tyłach Admiralty Arch i otrzymał całodobowy dostęp do nierzucającego się w oczy samochodu z kierowcą.

Adrian Weston od lat nie mieszkał w Londynie i zdążył przywyknąć do spokoju, ciszy i samotności wiejskiego życia w Dorset. Od dawna także nie prowadził żadnej operacji, ostatnio przeciwko ZSRR i swojemu wrogowi, KGB, na terenie całego imperium radzieckiego oraz wschodnioeuropejskich państw satelickich.

Potem pojawił się Gorbaczow i ZSRR się rozpadł, ale Federacja Rosyjska przetrwała, a tym bardziej Kreml. Aż do rezygnacji ze stanowiska zastępcy szefa służb wywiadowczych Weston bacznie obserwował rozległe tereny na wschód od Polski, Węgier i Słowacji.

Wiedział, że KGB podzielił się pod rządami Gorbaczowa, jednak nie wierzył, że resort przestał istnieć. Drugi Zarząd Główny, wewnętrzna tajna policja, przekształciła się w FSB, ale przeciwnikiem Westona zawsze był walczący z Zachodem Pierwszy Zarząd Główny. Ten zmienił się w SWR, który wciąż miał siedzibę główną w Jasieniewie, na południowy zachód od Moskwy, i sir Adrian wiedział, kto obecnie nim kierował.

Nawet podczas dziesięciu lat spokojnego życia w Dorset utrzymywał rozległe kontakty w brytyjskim establishmencie. Z Downing Street kazał się zawieźć na drugą stronę West Endu, do Klubu Sił Specjalnych, skąd zadzwonił do swojej sąsiadki, która zgodziła się wynająć furgonetkę z kierowcą, by przewiózł z jego domu wszystko, co mogło mu się przydać w rządowym mieszkaniu na tyłach Admiralty Arch. Obiecała, że wyśle dwa duże kufry pełne rzeczy, które miały zmienić funkcjonalne, ale pozbawione serca mieszkanie w namiastkę domu, a także pod nieobecność sir Adriana zajmie się jego psem.

Przede wszystkim potrzebował rodzinnych fotografii. Każdej nocy przed zaśnięciem miał w zwyczaju patrzeć na zdjęcie zmarłej żony, która pięć lat wcześniej przegrała walkę z białaczką i którą wciąż opłakiwał. Wpatrując się w twarz tej spokojnej, mądrej kobiety, wspominał dzień, gdy poznała znerwicowanego młodego oficera z oddziału spadochroniarzy, który właśnie wrócił z Irlandii Północnej, i w ciągu godziny postanowiła, że wyjdzie za niego i poskłada go w całość. I tak też zrobiła.

W ramach rytuału, którego nikt nie mógł być świadkiem, opowiadał jej, jak minął mu dzień, podobnie jak czynił to przez czterdzieści lat, zanim zabrała ją

choroba. Obok jej zdjęcia postawi fotografię ich syna, jedyne go, jakim obdarzył ją Bóg, którego czciła. Syn był komandorem na krążowniku na Dalekim Wschodzie. Kiedy już Weston zgromadzi wokół siebie swoje skarby, będzie mógł znów pokazać światu oblicze twardego jak stal asa wywiadu.

\* \* \*

W pierwszej kolejności odwiedził Latimer, żeby spotkać się z Jenningsami, którzy byli rozdrażnieni przedłużającym się zatrzymaniem.

Harold i Sue Jenningsowie zrobili wszystko, o co ich poproszono. Przekazali przyjaciołom i znajomym w Luton, że ich syn Luke się rozchorował, przez co na czas wiosennych ferii musieli całą rodziną przenieść się do wynajętego domu na wybrzeżu dalekiej Kornwalii. Potem przestali odbierać telefony, więc kilka osób, które próbowały dowiedzieć się, co u nich słychać, musiało się zadowolić pocztą głosową.

Marcus, młodszy z synów, znalazł w składziku sprzęt łuczniczy oraz tarczę i zaczął ćwiczyć strzelanie na trawniku przed domem, pod okiem ogrodnika, który był wytrawnym łucznikiem. Harold czytał gazety, które codziennie dostarczano, rozwiązywał mnóstwo krzyżówek i przesiadywał w bogato wyposażonej bibliotece, choć dziwiło go, że tak wiele jest książek po niemiecku i po rosyjsku, co musiało odzwierciedlać gusta poprzednich gości rezydencji.

Luke był w fatalnym stanie, gdyż usychał z tęsknoty za swoim pokojem na poddaszu domu w Luton i za znajomym otoczeniem. Jego życie skupiało się wokół odzyskanego komputera. Odnalazł i uporządkował wszystkie pliki, zgodnie ze swoim zamysłem i dręczącym go przymusem. Matka stale go pocieszała, obiecując, że wkrótce wróci do swojego pokoju albo do jego dokładnej kopii.

Pojawił się doktor Jeremy Hendricks z NCSC i poprosił, by Luke opowiedział krok po kroku, w jaki sposób ominął wszystkie zabezpieczenia i poradził sobie z pozornie niemożliwymi do złamania kodami broniącymi dostępu do bazy danych w Fort Meade. Gdy przyjechał sir Adrian, doktor Hendricks wciąż tam przebywał, więc mógł mu objaśnić przystępnym

językiem kilka złożonych zagadnień jedyne go świata, w którym funkcjonował Luke, a który dla zdecydowanej większości ludzi był jak odległa galaktyka. Odwiedził ich także profesor Simon Baron-Cohen z Cambridge i odbył czterogodzinną rozmowę z chłopcem. Po powrocie na uniwersytet rozpoczął pracę nad obszernym raportem dotyczącym zespołu Aspergera oraz jego wpływu na Luke'a Jenningsa.

Cała rodzina z ulgą przyjęła wiadomość, że starszemu synowi nie grożą ekstradycja i więzienie w Stanach Zjednoczonych. Ale sir Adrian stwierdził, że Jenningsowie wciąż nie dotrzy mali swojej strony umowy. Wkrótce w posiadłości mieli się pojawić wysoko postawieni przedstawiciele GCHQ, by zwerbować Luke'a, który jako pełnoletni mógł zostać ich pracownikiem i podlegać ich rozkazom.

Nikt jednak nie wiedział, że kartka, którą Adrian Weston poprzedniego dnia podsunął prezydentowi Stanów Zjednoczonych, zawierała kluczowe informacje o tym, jak wcielić w życie jego plan, popierany obecnie przez dwie głowy państw.

Sir Adrian nazwał ten plan operacja Troja, w hołdzie Wergiliuszowi, który w swojej klasycznej *Eneidzie* opisał podstęp starożytnych Greków z użyciem drewnianego konia. Teraz on zamierzał sprokurować największe oszustwo w historii cyberprzestrzeni. Wszystko zależało od niezwykłego mózgu wycofanego brytyjskiego nastolatka o niespotykanych zdolnościach.

\* \* \*

Już po dziesięciu minutach stało się jasne, że jeśli operacja Troja ma odnieść sukces, Weston powinien wkraść się w łaski Sue Jennings, a nie bezradnego ojca rodziny. To ona musiała zaakceptować zwerbowanie Luke'a w szeregi GCHQ, a także służyć praktyczną pomocą, ponieważ bez jej stałego wsparcia ten wrażliwy chłopak nie potrafił funkcjonować w dorosłym świecie. W tym małżeństwie niewątpliwie ona była silniejszą osobowością, ona kierowała rodziną i ją spajała – należała do tych spokojnych, ale zdeterminowanych kobiet, które stanowią sól tej ziemi.



Z materiałów, jakie otrzymał od jednego z pracowników przy Downing Street, Weston wiedział, że Sue Jennings skończyła liceum w Luton i była córką miejscowego drukarza i jego żony. Jako nastolatka poznała i poślubiła Harolda, który wtedy studiował księgowość. Banalna historia. Sue miała dwadzieścia jeden lat, gdy urodziła pierwszego syna.

Nie wyglądała na czterdzieści lat – pewnie chodziła na siłownię, a latem grała w tenisa w miejscowym klubie. Dość typowe. Zresztą w rodzinie Jenningsów nie było nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie, nie licząc chorobliwie nieśmiałego, wycofanego osiemnastolatka, który siedział w kącie, podczas gdy jego rodzice prowadzili negocjacje z przybyszem z Londynu. Ten chłopak, pomimo swoich trudności, a może właśnie dzięki nim, najwyraźniej był geniuszem komputerowym.

Sir Adrian próbował włączyć go do rozmowy, ale na próżno. Luke nie potrafił albo nie chciał nawiązać z nim więzi. Za każdym razem to matka odpowiadała za syna, jak tygrysica chroniąca swoje młode. Sir Adrian nie miał żadnych doświadczeń z zespołem Aspergera, ale z materiałów, które pośpiesznie zebrał po porannym zatrzymaniu rodziny, dowiedział się, że zaburzenie to może mieć różne poziomy nasilenia. W rozmowie telefonicznej profesor Baron-Cohen oznajmił, że Luke to poważny przypadek.

Chwilami Sue Jennings wyczuwała, że syn staje się niespokojny, gdy dorośli mówią o czymś, co zrobił, a z czego nie zdawał sobie sprawy. Wtedy obejmowała go pocieszająco i szeptała mu coś do ucha. Tylko to go uspokajało.

\* \* \*

Kolejnym etapem było znalezienie bezpiecznego miejsca, w którym chłopak i jego rodzina mogliby mieszkać i pracować. Wróciwszy do Whitehall, Weston zrobił przegląd setek rządowych nieruchomości. Przez dwa dni podróżował, oglądając je w terenie. Prawie nie sypiał. Nie licząc przekąsek, prawie nic nie jadł. Nie czuł takiej presji od czasów zimnej wojny, gdy dzięki biegłej znajomości rosyjskiego i bezbłędnej niemieckiego mógł przenikać przez żelazną kurtynę, starając się nie dopuścić, by urojenia Jurija

Andropowa doprowadziły do wojny nuklearnej. Po trzech dniach uznał, że znalazł odpowiednie miejsce.

Wśród przechodniów zagadywanych na brytyjskiej ulicy nie sposób było znaleźć kogoś, kto chociażby słyszał o Chandler's Court. To rzeczywiście był tajny zakątek.

Podczas pierwszej wojny światowej jego właścicielem był producent tkanin, który uzyskał kontrakt na dostawę mundurów khaki dla brytyjskiego wojska. Wtedy jeszcze sądzono, że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem 1914 roku. Wkrótce okazało się, że nie widać końca tej rzezi, a zamówienia na mundury stawały się coraz większe. Producent znacznie się wzbogacił i w 1918 roku, już jako multimilioner, kupił siedemnastowieczną leśną posiadłość w hrabstwie Warwick.

W czasie wielkiego kryzysu, gdy na ulicach ustawiały się kilometrowe kolejki bezrobotnych, tworzył miejsca pracy, zatrudniając ekipy murarzy i robotników do budowy dwuipółmetrowego muru wokół całej osiemdziesięciohektarowej posiadłości. Uważany za spekulanta wojennego, nie był lubiany, więc szukał prywatności. Znalazł ją dzięki murowi, w którym były tylko dwie strzeżone bramy.

Kiedy zmarł w wieku pięćdziesięciu kilku lat jako bezdzietny kawaler, okazało się, że ofiarował Chandler's Court państwu. W posiadłości otwarto dom opieki dla ciężko rannych byłych żołnierzy. Potem przez pewien czas dom stał opuszczony. Pod koniec lat osiemdziesiątych zyskał nowe przeznaczenie. Przekształcono go w laboratorium badawcze, owiane atmosferą tajemnicy i ukryte przed wzrokiem świata, gdyż wytwarzano tam najgroźniejsze toksyny znane ludzkości.

Całkiem niedawno, gdy użyto nowiczoka do otrucia byłego rosyjskiego szpiega, pułkownika Siergieja Skripala, i jego córki Julii, to właśnie w Chandler's Court, a nie w znacznie lepiej znanym Porton Down opracowano odtrutkę, która ocaliła im życie. Z oczywistych powodów w mediach przypisano całą zasługę Porton Down.

Obecnie rozległa posiadłość Chandler's Court była opustoszała. Państwo ją utrzymywało, ale nikt w niej nie mieszkał. Na zalesionym terenie wznosiły się laboratoria badawcze oraz wygodne nowoczesne bloki mieszkalne dla

pracowników niższego szczebla. Tylko starsi rangą naukowcy mieszkali poza posiadłością. Główna brama w murze była przeznaczona dla personelu, druga służyła dla dostaw. Obu pilnowali strażnicy.

W ciągu tygodnia przybyły tu ekipy rzemieślników i dekoratorów, które pracowały na kilka zmian, by przygotować dom do zamieszkania. Jenningsowie wprowadzili się zaledwie trzy tygodnie po zebraniu w Białym Domu. Doktor Hendricks przyznał, że siedziba GCHQ w Cheltenham, przypominająca miniaturowe miasto, nie będzie się nadawała do operacji Troja. Była zbyt rozległa i skomplikowana, zbyt rozpraszająca i zbyt zaludniona dla Luke'a Jenningsa. Chłopak, razem z dwójką współpracowników, również miał zostać przeniesiony do Chandler's Court, gdzie przedstawiciele władz mogli obserwować jego pracę programistyczną i kierować tym młodocianym geniuszem.

Nie obyło się bez kłopotów i w przeddzień wyjazdu rodziny z Latimer sir Adrian był świadkiem nerwowej sytuacji. Od dziesięciu lat małżeństwo Jenningsów przeżywało kryzys. Rodzice starali się ukrywać swoje problemy przed synami, lecz przychodziło im to z coraz większym trudem, aż w końcu nie byli w stanie dalej udawać. Postanowili się rozejść.

Zdecydowano, że Luke zamieszka w Chandler's Court, gdzie będzie pracował nad zadaniami zlecanymi przez GCHQ. Matka miała mu towarzyszyć i wspierać go w kontaktach z innymi ludźmi. Młodszy brat, Marcus, mógł się przenieść do dowolnej z kilku znakomitych lokalnych szkół. Tymczasem Harold, który po rozpadzie małżeństwa nie chciał już mieszkać z rodziną, nie zamierzał też wracać do Luton i dalej pracować jako księgowy.

Jego prośba zaskoczyła sir Adriana. Harold pragnął wyemigrować do Stanów Zjednoczonych i zostać mieszkańcem Nowego Jorku. Marzył o tym od lat, odkąd odwiedził to miasto podczas jakiejś konferencji.

Sir Adrian wspominał mu, że ma kontakty w Stanach Zjednoczonych i mógłby przyśpieszyć formalności związane z uzyskaniem obywatelstwa i pozwolenia na pracę.

Sprawę załatwiono błyskawicznie. Harold Jennings rzucił pracę w Luton i wypisał się z klubu golfowego. Dom przekazano w ręce miejscowego agenta sprzedaży nieruchomości. W Nowym Jorku Harold otrzymał dobrze płatną

pracę w brytyjskiej spółce finansowej z siedzibą niedaleko Wall Street. Po okresie przejściowym, który spędzi w hotelu, miał kupić wygodne mieszkanie i rozpocząć nowe życie.

Nadszedł dzień rozstania. Osoba postronna z pewnością zdziwiłaby się, że przebiegło ono bez emocji. Gdyby Harold Jennings kochał rodzinę i był gotów to okazać, mógłby ocalić swoje małżeństwo wiele lat wcześniej. Ale najwyraźniej dusza tego człowieka była równie pusta i pozbawiona życia jak rachunki i liczby, którymi się zajmował jako księgowy.

Zmusił się, żeby przytulić synów, a w końcu także żonę, chociaż wyglądało to niezręcznie, jakby byli znajomymi na przyjęciu. Synowie już wielokrotnie widywali go w takim nastroju, więc przyjęli to naturalnie.

Marcus, młodszy z chłopców, powiedział: „Do widzenia, tato, i powodzenia w Ameryce”, na co ojciec zareagował nerwowym uśmiechem i zapewnieniem: „Wszystko będzie dobrze”. Brak serdeczności w pożegnaniu rodziców tłumaczył, dlaczego miesiąc wcześniej w sypialni na piętrze domu w Luton żołnierze ujrzeni dwa osobne łóżka.

Na dziedzińcu posiadłości w Latimer czekała taksówka. Harold zostawił rodzinę w holu, wyszedł i odjechał na lotnisko.

Sir Adrian, dowiedziawszy się o tym wieczorem, uznał, że więcej nie usłyszą o Haroldzie Jenningsie. Mylił się.

\* \* \*

Następnego ranka Sue Jennings i jej synowie wprowadzili się do przestronnego apartamentu na pierwszym piętrze posiadłości Chandler's Court. W pokojach wciąż czuło się woń świeżej farby, ale pogoda była ładna jak na początek maja, więc otwarto okna i zapach szybko się ulotnił.

W południowym skrzydle domu zamieszkał samotnie doktor Hendricks, który nadzorował wyposażanie pracowni komputerowej, stanowiącej serce operacji Troja. Cały sprzęt przyjechał z siedziby GCHQ w Cheltenham i był najwyższej jakości. Dwaj pozostali mentorzy wprowadzili się do bloków mieszkalnych w lesie, skąd mogli bez trudu docierać pieszo do pracy. Marcusa

Jenningsa przyjęto do doskonałej szkoły, oddalonej o zaledwie sześć kilometrów.

Luke Jennings otrzymał własny pokój i z zadowoleniem zaczął go przekształcać w dokładną kopię pokoiku na poddaszu w Luton. Odczuwał psychiczną potrzebę, by każdy detal wyglądał znajomo. Do hrabstwa Warwick przewieziono całe wyposażenie jego dawnego pokoju, dzięki czemu wszystkie meble, książki i ozdoby mogły znaleźć się na swoim miejscu. Luke'owi nie spodobało się tykanie zegara. Poprosił o cichy zegar i dostał go.

Wyraźnie poprawił mu się nastrój. Napięcie oraz napady złości i płaczu, które nękały go od czasu nalotu na jego dom, stopniowo ustały. Gdy już odzyskał osobistą przestrzeń i komputer, mógł wrócić do swoich ulubionych zajęć. Siedzieć w półmroku, wędrować po cyberprzestrzeni i obserwować.

\* \* \*

Na dalekiej rosyjskiej północy zrzucono na przystań ostatnie liny cumownicze i potężny *Admirał Nachimow* wypłynął ze stoczni Siewmasz na oczekujące go morze. Z wysoko położonego mostka kapitan Denisowicz i jego oficerowie widzieli w oddali iglice portowego Archangielska, podczas gdy dziób najgroźniejszego nawodnego okrętu wojennego świata zwracał się na północ, a Siewierodwińsk zostawał w tyle. Kapitan i załoga promienieli z dumy i zadowolenia.

Spoglądali z mostka na prawdziwą perłę wśród krążowników rakietowych klasy Orłan, największy okręt wojenny świata, nie licząc lotniskowców, pływającą stalową fortecę uzbrojoną w pociski. *Nachimow* miał dwieście pięćdziesiąt dwa metry długości, trzydzieści metrów szerokości, wyporność dwadzieścia cztery tysiące trzysta ton i załogę liczącą ponad siedmiuset marynarzy.

Rosyjskie krążowniki to uzbrojone po zęby ruchome platformy, które są w stanie zmierzyć się z każdym wrogiem okrętem na świecie. Wypływający ze stoczni *Nachimow* był najnowocześniejszy w swojej klasie, w pełni skomputeryzowany, a obsługiwało się go za pomocą ekranów dotykowych.

Pod powierzchnią wody echosondy odnajdywały linię stu sążni i prowadziły wzdłuż niej okręt, który dzięki temu nie musiał niepotrzebnie zbliżyć się do brzegu. Każdy, nawet najdrobniejszy, odczyt przekazywano do nowoczesnego centrum sterowania na mostku. A to jeszcze nie wszystko.

Wiele lat temu na Zachodzie wydano książkę *Polowanie na Czerwony Październik*. Była to debiutancka powieść Toma Clancy'ego, która zyskała dużą popularność. Opowiadała o radzieckim kapitanie marynarki, który przeszedł na stronę Zachodu i uprowadził atomowy okręt podwodny. Książka natychmiast została zakazana w Związku Radzieckim i przeczytała ją tylko niewielka grupka bardzo wysoko postawionych ludzi, dla których fabuła powieści była realnym scenariuszem katastrofy.

Przechodzenie wysokich radzieckich urzędników, agentów wywiadu i wojskowych na stronę wroga spędzało władzom sen z powiek, a jeszcze bardziej przerażająca była wizja czyjejs ucieczki na Zachód, z najnowocześniejszym sprzętem. Dlatego powieść Clancy'ego została potraktowana przez radziecką marynarkę wojenną i biuro polityczne śmiertelnie poważnie.

W przypadku *Nachimowa* takie zagrożenie było nie tylko niewyobrażalne, ale też natychmiast można by mu zaradzić. Wszystkie funkcje okrętu były skomputeryzowane i dawało się je powielić w głównej bazie danych w siedzibie Floty Północnej w Murmańsku. W razie ataku Murmańsk mógł przejąć kontrolę nad komputerami pokładowymi i odzyskać *Nachimowa*. To zabezpieczało jednostkę przed zdradą.

Wyeliminowano także ryzyko awarii lub zewnętrznych zakłóceń. Do nawigacji wykorzystywano nie ten najpopularniejszy, stworzony przez Amerykanów system nawigacji satelitarnej (GPS), który zna każdy kierowca, ale rosyjski system GLONASS-K2, zaprojektowany jeszcze w czasach radzieckich. Jego właścicielem i operatorem była armia.

GLONASS jest w stanie wskazać pozycję każdego rosyjskiego okrętu w dowolnym miejscu na świecie, z dokładnością do dwudziestu metrów. Opiera się na sygnałach z dwudziestu czterech satelitów krążących po orbicie okołoziemskiej. Haker, który chciałby zakłócić działanie systemu, musiałby

jednocześnie przejąć kontrolę nad pięcioma odrębnymi satelitami, co jest niemożliwe.

*Nachimow* ruszył ustalonym kursem. Miał opuścić Morze Białe i skierować się na północ, na Morze Barentsa, a następnie na północny zachód. Zwróciwszy się bakburtą ku norweskiemu Przylądkowi Północnemu, miał następnie wypłynąć na północny Atlantyk i dalej podążać na południe, wzdłuż wybrzeży Norwegii. Nad kursem czuwał sternik, ale jego udział nie był niezbędny. Komputery utrzymywały okręt na linii stu sążni, pilnując kursu. Tak było przez pięć dni.

Przenikliwie zimno skutego lodem Morza Białego i Przylądka Północnego stopniowo ustępowało, a na niebie mocniej świeciło słońce. W przerwach między wachtami marynarze spacerowali po pokładzie i cieszyli się orzeźwiającym powietrzem. Po stronie bakburty co jakiś czas wyłaniały się z mgły góry otaczające fiordy Tromsø, gdzie w 1944 roku brytyjskie lotnictwo zatopiło potężny niemiecki pancernik *Tirpitz*. Archipeląg Lofoty został w tyle.

W tym momencie *Nachimow* mógłby skrócić na zachód, na otwarte wody północnego Atlantyku, omijając Wyspy Brytyjskie na wschodzie i kierując się na południe, by okrążyć Przylądek Dobrej Nadziei w drodze do krajów Orientu. Ale kurs został wyznaczony kilka tygodni wcześniej w Moskwie przez samego Woźdia.

*Nachimow* miał płynąć dalej na południe przez Morze Północne, pomiędzy Danią a Szkocją, po czym przedostać się na najbardziej zatłoczony morski szlak handlowy świata: kanał La Manche. Wyglądając z okna swojego gabinetu na Ogród Aleksandrowski, rozciągający się poniżej zachodniej ściany Kremla, Woźd' przekazał jednoznaczne rozkazy admirałowi Floty Północnej.

*Admirał Nachimow* miał popłynąć kanałem La Manche aż do Cieśniny Kaletańskiej, wśród uciekających mu z drogi jednostek. Niech ci przekłęci Brytyjczycy zasiądą przy swoich oknach panoramicznych w Ramsgate, Margate, Dover i Folkestone, by podziwiać potęgę nowej Rosji i jej okręt górujący nad nędzną brytyjską flotą, która będzie go eskortowała na południe.

\* \* \*

Ósmego dnia po wypłynięciu ze stoczni Siewmasz marynarze na pokładzie *Nachimowa* wpatrywali się w spienione morze. Daleko na bakburcie Dania przeszła w Niemcy, a Niemcy w Holandię. Po drugiej stronie kryły się we mgle, poza zasięgiem wzroku, płaskie moczary hrabstwa Lincoln.

W niewielkim mieszkaniu na tyłach Admiralty Arch zadzwonił telefon. Sir Adrian odebrał. Usłyszał zdyszany głos doktora Hendricksa.

– Po raz drugi w tym roku nie wierzę własnym oczom – oznajmił Hendricks. – Udało mu się. To niewykonalne, a jednak chłopak tego dokonał. Przedostaliśmy się do środka. Do GLONASS-K2. Pięć satelitów. A najdziwniejsze jest to, że nawet nas nie zauważyli.

– Dobra robota, doktorze. Niech pan się przygotowuje. Proszę przez całą dobę być pod telefonem i czekać na dalsze wiadomości.

Po tej rozmowie sir Adrian zadzwonił do bazy Królewskiej Marynarki Wojennej na obrzeżach dzielnicy Northwood w północno-zachodnim Londynie. Obsługa była już uprzedzona.

– Tak, sir Adrianie.

– Przyjadę z wizytą. Jutro może być pracowity dzień.

\* \* \*

Zmierzając do swojego celu, by zostać flagowym okrętem Rosyjskiej Floty Pacyficznej, *Admirał Nachimow* mógłby bez trudu ominąć Wyspy Brytyjskie, trzymając się na zachód od Irlandii i płynąc poza zasięgiem wzroku, po głębokich opustoszałych wodach. Ale Woźd' postanowił zakpić z Brytyjczyków, dlatego skierował krążownik na sam środek Morza Północnego, a następnie przez Cieśninę Kaletańską, szeroki na trzydzieści trzy kilometry jeden z najbardziej zatłoczonych morskich szlaków na świecie.

Cieśninę przecinają dwa szlaki, jeden biegnący na północ, drugi na południe, a ruch morski podlega tam ścisłym regulacjom, żeby uniknąć kolizji. Jak można było przewidzieć, *Nachimow* mógł się zmieścić, tylko płynąc środkiem. Rosyjskie okręty wojenne już wcześniej uciekały się do takich rozmyślnych prowokacji wobec Zjednoczonego Królestwa.



Admiralicji nie trzeba było informować o położeniu *Nachimowa*. Okręt eskortowały dwie fregaty oraz oddział dronów obserwacyjnych z bazy RAF-u w Waddington. Krążownik znajdował się u wybrzeży Norfolk, ale zwalniał, by przeczekać noc, zanim przeprawi się przez Cieśninę Kaletańską. Pozostawił za sobą mielizny Dogger Bank na Morzu Północnym. Echosondy poinformowały załogę, że okręt ma ponad trzydzieści metrów wody pod kilem. Według ustalonego kursu nie powinien wypływać na wody płytsze niż dwadzieścia pięć metrów.

O świcie znalazł się na wysokości Felixstowe w hrabstwie Suffolk i zwiększył moc silników, uzyskując optymalną prędkość rejsową. Kanał się zwęzał i na bakburcie zamajaczyła Belgia. W radiu trajkotały załogi statków handlowych, a rosyjski olbrzym łamał wszystkie zasady.

Przed nim leżała najwęższa część trasy, Cieśnina Kaletańska. *Nachimow* zbliżył się do wybrzeży Essex i Kent przy mieliznie Goodwin Sands. Mądrzy marynarze unikają jej jak ognia. To straszliwie płytkie miejsce. Ale komputery były niewzruszone. *Nachimow* miał swobodnie pokonać cieśninę i skierować się w stronę Francji.

# Rozdział piąty

Był piękny wiosenny poranek. Słońce wspinało się po bezchmurnym błękitnym niebie. W nadmorskich miasteczkach i wioskach na południowym wschodzie hrabstwa Kent mieszkańcy, ranne ptaszki, spacerowali nad wodą z psami, lornetkami i aparatami fotograficznymi. Od północy nadciągała ogromna szara bryła krążownika sunącego przez Cieśninę Kaletańską. Cały świat obserwował go za pośrednictwem wizualnych środków przekazu.

W uroczym nadmorskim miasteczku Deal, oddzielonym od niewidocznej mielizny Goodwin Sands niewielką żeglowną laguną, w której tutejsi rybacy łowią omułki i kraby, mieszkańcy jedli śniadanie przy oknach wychodzących na morze, nie przeczuwając, jaki potwór się do nich zbliża.

Na mostku kapitan Denisowicz i jego oficerowie stali przy swoich pulpitych sterowniczych i patrzyli z góry na mniejsze jednostki, które usuwały im się z drogi. Daleko w Moskwie Woźd' oglądał na ogromnym ekranie transmisję na żywo, którą prowadził krążący nad wybrzeżem samolot wycarterowany przez RT (kiedyś Russia Today), finansowaną przez państwo stację telewizyjną.

Kiedy *Nachimow* zaczął zbaczać w prawo, sternik natychmiast skorygował kurs, jednak okręt dalej odbijał na sterburtę.

Spoglądając ponad dziobem, oficerowie i załoga widzieli barwną zabudowę miasteczka Deal. Pod nimi, w maszynowni, zasilane energią atomową turbiny zaczęły zwiększać obroty. Główny inżynier zakładał, że rozkaz pochodził z mostka.

– Pięć stopni na bakburtę! – wykrzyknął kapitan Denisowicz do sternika, ale ten już wprowadzał korektę na dotykowym ekranie.

Dziób przesunął się na tle miasteczka i okręt przyspieszył. *Nachimow* nie słuchał poleceń. Nawigator odsunął sternika od przyrządów i przejął kontrolę. Szybko wprowadził niezbędną korektę. Nic się nie wydarzyło.

Na północy, w Murmańsku, admirał dowodzący Flotą Północną z niedowierzaniem wpatrywał się w zajmujący całą ścianę ekran telewizora.

– Odzyskać kontrolę nad okrętem! – zawołał.

Obok niego palce technika tańczyły na pulpicie. Jeśli system sterowania *Nachimowa* miał awarię, Murmańsk przejmie dowodzenie i przywróci ustalony kurs. Rosyjska technologia nie może zawieść.

W Northwood młody oficer Królewskiej Marynarki Wojennej obserwował ekran, jednocześnie wprowadzając do komputera nowe rozkazy dla rosyjskiego krążownika. Krople potu spływały mu po twarzy. Za nim stali czterej admirałowie, którzy śledzili jego poczynania. Jeden z nich mruknął: „Jasna cholera”.

W Moskwie niewysoki mężczyzna o lodowatym spojrzeniu, który kontrolował największy kraj na świecie, jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że coś poszło nie tak. Nie był marynarzem. Jaskrawe fasady domków w Deal powinny się znajdować nie przed dziobem okrętu, tylko po jego prawej stronie. Przed *Nachimowem* powinny rozciągać się całe kilometry pustego, migoczącego w słońcu morza.

W czasie odpływu miękkie i grząskie piaski Goodwin są widoczne pod wodami kanału. W czasie przyływu znajdują się trzy metry pod powierzchnią. Zanurzenie *Admirała Nachimowa* wynosiło niemal dziesięć metrów. O godzinie dziewiątej czasu uniwersalnego napędzany atomowymi silnikami krążownik o długości dwustu pięćdziesięciu dwóch metrów i wadze dwudziestu czterech tysięcy trzystu ton wpadł z zawrotną prędkością, na oczach całego świata, na mieliznę Goodwin Sands.

Nisko pod rufą obracały się dwie potężne śruby, które pchały okręt naprzód, podczas gdy dziób unosił się w powietrze. W maszynowni ustawiono silniki na całą wstecz, ale komenda nie dotarła do celu. Wtedy mężczyzna na Kremlu uzmysłowił sobie, że dzieje się coś bardzo niedobrego. W zaciszu swojego prywatnego gabinetu zaczął wściekle krzyczeć.

Dopiero kiedy *Nachimow* całkowicie się zatrzymał, załoga odzyskała kontrolę nad systemami pokładowymi. Wszystko znów zaczęło idealnie działać. Kapitan nakazał całą wstecz, a śruby zareagowały i zaczęły się obracać w przeciwnym kierunku. Na mieliźnie Goodwin nie ma kamieni, ale piasek jest bardzo grząski. Przednia połowa krążownika znacznie się w niego zagłębiła i nie sposób jej było uwolnić. Po półgodzinie próżnych wysiłków kapitan Denisowicz polecił wyłączyć silniki.

\* \* \*

Setki milionów obserwatorów na całym świecie przyglądały się temu z zadziwieniem. Mieszkańcy Zachodu obudzili się, włączyli telewizory i zobaczyli na ekranach nieruchomą sylwetkę *Admirała Nachimowa*. Ludzie na Wschodzie usłyszeli wieści i odeszli od swoich biur, by zgromadzić się przed telewizorami i z przejęciem wymieniać komentarze. Nikt nie rozumiał, jak to możliwe. A jednak to właśnie się stało.

W Rosji po kilku minutach wszczęto dochodzenie. Strumienie pytań popłynęły z gabinetu Woźdźdź do Murmańska, ale baza główna Floty Północnej nie miała logicznego wytłumaczenia.

W Waszyngtonie zbudzony prezydent zaczął śledzić transmisje telewizyjne na wszystkich możliwych kanałach. Potem zabrał się do tweetowania. Zadzwoił także do Marjory Graham w Londynie.

Pani premier próbowała dotrzeć do sir Adriana. Był w swoim samochodzie, właśnie jechał z Northwood do mieszkania na tyłach Admiralty Arch. Przez całą noc doglądał przejmowania kontroli nad rosyjskim krążownikiem. W Chandler's Court doktor Jeremy Hendricks cicho zaklął, patrząc na ekrany w pracowni komputerowej.

W innym skrzydle budynku nastolatek, który dostarczył szyfry umożliwiające przeniknięcie do systemów okrętu, smacznie spał. Nie interesowało go całe zamieszanie.

\* \* \*

Specjaliści komputerowi w Murmańsku potrzebowali zaledwie doby, by przygotować raport dla Kremla. To nie była awaria. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu ktoś włamał się do systemu i przez kilka kluczowych minut *Nachimowem* kierowali wrogo nastawieni ludzie z zewnątrz.

W głosie dobiegającym z prywatnego gabinetu na Kremlu nie było wyrozumiałości. Zapewniano Woźdia, że ich technologia jest niepokonana, a ryzyko infiltracji wynosi jeden do biliona. Szykowały się liczne zwolnienia, a nawet zarzuty karne w związku z zaniedbaniem obowiązków.

Technicy w Murmańsku zaczęli planować potężną operację ruszenia stalowego olbrzyma z mielizny. Pracownicy państwowych stacji telewizyjnych i radiowych, które do południa w ogóle nie informowały o wydarzeniach w cieśninie, zastanawiali się, jak wytłumaczyć to, co się stało, uległemu rosyjskiemu społeczeństwu. Wieści szybko się rozchodziły; nawet w dyktaturze nie da się zbyt długo powstrzymać siły internetu.

W swoim gabinecie na siódmym piętrze w Jasieniewie człowiek stojący na czele wywiadu zagranicznego Federacji Rosyjskiej patrzył przez wielkie okno panoramiczne na brzozowy las w dole. W oddali widział migotanie wiosennego słońca na cebulastych kopułach soboru Wasyla Błogosławionego na Placu Czerwonym. Był pewien, że wkrótce zadzwoni telefon. Stało się to w południe następnego dnia po ugrzęźnięciu okrętu. Jewgienij Kryłow wiedział, kto jest po drugiej stronie linii. To był czerwony telefon. Podeszedł i odebrał po drugim dzwonku. Przez chwilę słuchał instrukcji, po czym nakazał przygotować samochód.

\* \* \*

Tak samo jak skromny Anglik wprowadzający się właśnie do małego mieszkania w Londynie, Kryłow poświęcił całe życie pracy w wywiadzie, do którego trafił jeszcze w czasach komunistycznych. On także został zauważony na studiach przez łowców talentów i po intensywnych testach zwerbowano go w szeregi KGB.

W tym samym naborze przyjęto też mężczyznę, z którym teraz rozmawiał, byłego członka tajnej policji, który został władcą całej Rosji. Ale podczas gdy

Woźdia przydzielono do Drugiego Zarządu Głównego (wywiad wewnętrzny) i wysłano do Drezna w kontrolowanych przez Rosjan Niemczech Wschodnich, Jewgienij Kryłow dzięki talentowi do języków zapewnił sobie miejsce w Pierwszym Zarządzie Głównym (szpiegostwo zagraniczne), który uważano za najbardziej prestiżowy.

Służył w trzech zagranicznych ambasadach, w tym dwóch uznawanych za wrogie: w Rzymie i Londynie. Potrafił się porozumieć po włosku i znakomicie mówił po angielsku. Podobnie jak Woźd', gdy nadeszła właściwa pora, bez wahania porzucił komunizm, ponieważ od dawna dostrzegał jego liczne wady. Ale nigdy nie stracił miłości do Mateczki Rosji.

Chociaż w tej chwili nie miał pojęcia, jak doszło do katastrofy na Goodwin Sands ani kto za nią odpowiada, w czasie swoich długich szpiegowskich karier on i Anglik już kiedyś skrzyżowali miecze.

Limuzyna marki ZiŁ wjechała na teren Kremla, jak zwykle przez bramę Borowicką, z której mogli korzystać tylko wysocy rangą urzędnicy. Chociaż żaden pionek nie mógłby jechać ziłem, fanatycznie lojalni strażnicy zatrzymali samochód Kryłowa i zajrzeli przez szyby, by sprawdzić, kto siedzi w środku. Potem podnieśli szlaban i gestem nakazali szoferowi ruszać.

Woźd' ma trzy gabinety. Duży zewnętrzny gabinet służy do przyjmowania delegacji, a wewnętrzny, nieco mniejszy, to funkcjonalne miejsce codziennej pracy przy biurku, za którym stoją skrzyżowane flagi, rosyjska flaga narodowa oraz sztandar z czarnym dwugłowym orłem. Niemal nikt nie ma wstępu do najmniejszego gabinetu, znajdującego się w samym sercu Kremla, gdzie wiszą osobiste rodzinne portrety. A jednak właśnie tam Kryłow został przyjęty.

Człowiek, który sprawował kontrolę nad przeżartym korupcją reżimem nowej Rosji, był błady z wściekłości. Tak rozsierdzony, że z trudem mówił.

Kryłow dobrze go znał. Nie tylko byli w zbliżonym wieku, ale też ich kariery rozwijały się podobnie. Miał świadomość, że Woźd' nigdy do końca nie pogodził się z rozpadem rosyjskiego imperium, Związku Radzieckiego, do czego doszło pod rządami Michaiła Gorbaczowa, któremu nigdy nie wybaczył. Kryłow widział, jak Woźd' kipi ze złości, patrząc na upadek ZSRR i kolejne upokorzenia spadające na jego ukochaną Mateczkę Rosję. Nigdy nie zdradził

komunizmu; było odwrotnie: to komunizm zdradził jego ojczyznę. Woźd' wrócił z Niemiec tuż przed tym, jak Niemiecka Republika Demokratyczna zniknęła i połączyła się z Niemcami Zachodnimi. Wspiął się w hierarchii biurokratycznych struktur, które rządziły jego rodzinnym Petersburgiem, a następnie przeniósł się do Moskwy. W stolicy robił karierę u boku Borysa Jelcyna, trzymając się tego starego pijaka, aż stał się niezastąpiony.

Nie było tajemnicą, że nigdy nie szanował starzejącego się alkoholika, lecz potrafił nim manipulować, dzięki czemu Jelcyn, odchodząc na emeryturę, by umrzeć w spokoju, namaścił go na swojego następcę.

W czasach prezydentury Jelcyna obecny przywódca zgrzytał zębami ze złości, patrząc, jak jego kraj jest systematycznie ograbiany ze wszystkich bogactw mineralnych i naturalnych, które skorumpowani urzędnicy oddawali w ręce oportunistów i gangsterów. Ale wtedy nie mógł tego w żaden sposób powstrzymać. Zanim sam został prezydentem, poznał i zrozumiał trzy filary władzy w Rosji. Nie zmieniły się od czasów carskich.

Zapomnijcie o demokracji. To pozory i oszustwo, a Rosjanie tak naprawdę wcale jej nie chcą. Trzy filary władzy to rząd z tajną policją, wielkie pieniądze oraz świat przestępczy. Ten, komu uda się zawrzeć sojusz z całą trójką, może rządzić Rosją na wieki. Tak więc zrobił.

Za pośrednictwem FSB, przemianowanej tajnej policji, można aresztować, oskarżyć, osądzić i skazać każdego, kto stanie nam na drodze. Dzięki takiej władzy można wygrać każde wybory, fałszując wyniki, jeśli trzeba; można zmusić media, by robiły i publikowały to, co rozkażemy; można wreszcie skłonić Dumę, parlament, do przegłosowania dowolnego prawa. Wystarczy dodać do tego siły zbrojne, policję i system sądowniczy, a kraj jest w naszych rękach.

Co do drugiego filaru, okazało się, że wielkie pieniądze to żaden problem. Były funkcjonariusz tajnej policji kipiał wprawdzie ze złości, widząc, jak jego ojczyzna jest okradana z bogactw naturalnych, a rosną fortuny pięciuset najzamożniejszych oligarchów, ale nie miał oporów, by do nich dołączyć. Jewgienij Kryłow wiedział, że znajduje się teraz w jednym pomieszczeniu z najbogatszym człowiekiem w Rosji, a może na całym świecie. Żaden biznesmen nie mógł zarobić nawet rubla bez zapłacenia podatku przywódcy,

oczywiście za pośrednictwem złożonej sieci spółek holdingowych i figurantów.

Co do trzeciego filaru, bezlitosnych „honorowych złodziei”, ta podziemna społeczność istniała już za czasów carskich, a potem kontrolowała obozy pracy, przerażające gułagi. W czasach postkomunistycznych „wory w zakonie” rozrosli się i założyli lukratywne filie w większości krajów rozwiniętego świata, przede wszystkim w Nowym Jorku i Londynie. Byli bardzo użyteczni, jeśli chodziło o „mokrą robotę”; stanowili posłuszne narzędzie przemocy.

Woźd' nie przedłużał rozmowy. Nie musiał wspominać o *Admirale Nachimowie*.

– To żaden wypadek ani awaria, tylko sabotaż. Nie ma co do tego wątpliwości. Ktokolwiek to zrobił, a podejrzewam naszych wrogów w Wielkiej Brytanii, straszliwie upokorzył naszą ojczyznę. Cały świat widzi nasz okręt uwięziony na angielskiej mieliźnie. Musimy podjąć kroki odwetowe. Zostawiam to w pańskich rękach. Ma pan następujące trzy rozkazy. Odkryć, kto to zrobił. Namierzyć tę osobę bądź osoby. Wyeliminować je. Może pan odejść.

Kryłow otrzymał rozkazy. Kiedy największe holowniki w rosyjskiej marynarce i całym morskim świecie wyruszyły w stronę kanału La Manche, on wrócił do Jasieniewa, by rozpocząć polowanie.

\* \* \*

W branży szpiegowskiej nic nie jest proste, ale Kryłowowi dopisało szczęście. Podczas gdy do Jasieniewa napływały nowe rozkazy, jeden z bystrych archiwistów przypomniał sobie pozornie mało znaczący raport z Waszyngtonu. Z nieznanego powodu amerykański rząd przed kilkoma tygodniami zażądał ekstradycji pewnego hakera z Wielkiej Brytanii. Parę dni później, również z nieustalonych przyczyn, Amerykanie wycofali ten wniosek. Może to bez znaczenia, pomyślał Kryłow, ale nawet w świecie wywiadu, który weteran CIA James Angleton kiedyś nazwał dziczą pełną luster, dwa i dwa to



cztery. Dwaj wybitni hakerzy w ciągu jednego miesiąca? Kryłow posłał po akta.

Nie znalazł zbyt wielu informacji poza krótką notką z Ministerstwa Sprawiedliwości, ale dowiedział się, że ten wcześniej poszukiwany przestępca nazywa się Luke Jennings i pochodzi z Luton.

Jewgienij Kryłow dysponował dwiema siatkami agentów w Wielkiej Brytanii. Oficjalna działała w rosyjskiej ambasadzie, a raczej w tym, co z niej zostało po czystkach, do jakich doszło po aferze Skripala. Jej odbudowa jeszcze się nie zakończyła. Na czele tej siatki stał niedawno mianowany Stiepan Kukuszkin, który oficjalnie sprawował funkcję asystenta doradcy handlowego, choć zapewne nikt w to nie wierzył.

Druga siatka Kryłowa składała się z agentów „nielegalnych”, czyli uśpionych, którzy udawali brytyjskich obywateli i doskonale mówili po angielsku. Ich przywódca odgrywał rolę sklepikarza w londyńskiej dzielnicy West End i nosił brytyjskie nazwisko Burke. Naprawdę nazywał się Dmitrij Wołkow.

Ogólnie rzecz biorąc, uśpieni agenci dzielą się na dwie kategorie. Niektórzy rodzą się i wychowują w kraju, który mają zdradzić. Bez trudu uchodzą za rdzennych mieszkańców, ponieważ rzeczywiście nimi są. Mogą kierować się różnymi pobudkami.

W czasach zimnej wojny dużą część mieszkańców Zachodu, którzy zdradzali ojczyznę, stanowili zagorzali komuniści – ich pragnienie, by ujrzeć triumf tego ustroju, przeważało nad lojalnością wobec własnego kraju. Po drugiej stronie żelaznej kurtyny ci, którzy byli gotowi pracować na rzecz Zachodu, prawie zawsze podejmowali taką decyzję wskutek rozczarowania komunistyczną dyktaturą, z czasem zmieniającego się w odrazę. Zdarzały się także inne motywy – chciwość, pretensje o to, jak potraktowały ich władze, chęć ucieczki do lepszego życia na Zachodzie. Jednak głównym powodem było dążenie do obalenia znienawidzonego reżimu. Te osoby zazwyczaj zgłaszały się na ochotnika do pojedynczych akcji w zamian za pomoc w ucieczce, ale dawały się przekonać do pozostania w roli agentów, co pozwalało im zapracować na wolność.

Druga kategoria szpiegów to innego rodzaju patrioci, którzy zostali umieszczeni w danym kraju i podejmując olbrzymie ryzyko, wykorzystują biegłą znajomość języka oraz miejscowej kultury, by udawać rdzennych mieszkańców, podczas gdy tak naprawdę pracują dla swojej prawdziwej ojczyzny. Takich agentów nazywa się „nielegalnymi” lub „uśpionymi”, „śpiochami”.

Można ich wykorzystywać na dwa sposoby. Niektórzy po prostu regularnie przekazują informacje, jakie zdobywają dzięki wykonywanej pracy. Zazwyczaj chodzi o mało istotne dane, których pozyskiwanie nie wiąże się z ryzykiem. Ale tacy agenci muszą mieć „opiekunów” – i to oni przesyłają informacje wywiadowcze do kraju, któremu służą.

Właśnie taką funkcję pełniła uśpiona agentka w amerykańskim Ministerstwie Sprawiedliwości, która zauważyła, że Stany Zjednoczone bez słowa wyjaśnienia wycofały wniosek o ekstradycję brytyjskiego nastolatka z miasteczka Luton, Luke’a Jenningsa, oskarżonego o włamanie do tajnych amerykańskich systemów komputerowych.

Drugim sposobem wykorzystania agenta jest trzymanie go w całkowitym ukryciu i powierzanie mu jednorazowych zleceń, na wzór prywatnego detektywa. Właśnie takie zlecenie otrzymał rosyjski agent Dmitrij Wołkow w ramach misji Kryłowa.

\* \* \*

Dwa dni później Wołkow, czyli pan Burke, zauważył drobne ogłoszenie w nietypowym miejscu w nietypowej gazecie. Zawierało całkiem niewinne słowa, które oznaczały, że zostaje wezwany do Moskwy. Zamknął swój sklep i ruszył na wschód, przemierzając kolejno trzy kraje należące do Unii Europejskiej i strefy Schengen, a więc bez żadnych kontroli granicznych. Dotarł na lotnisko Szeremietiewo jako turysta, po dwudziestu godzinach podróży. W taksówce wiozącej go do centrum Moskwy wydobył swój rosyjski paszport.

Odprawa była krótka i konkretna. Nawet nie pojechał do Jasieniewa. Spotkanie odbyło się w mieście, by uniknąć rozpoznania w siedzibie głównej.

Kiedyś tam pracował i mógłby spotkać swoich dawnych kolegów. Zawsze warto zachować ostrożność.

Kryłow przekazał swojemu agentowi wszystkie informacje. Celem było miasteczko Luton, rodzina nosiła nazwisko Jennings, a jeden z jej członków był uzależniony od komputerów. Gdzie on się teraz znajduje? Przed upływem dwudziestu czterech godzin Dmitrij Wołkow ruszył w podróż powrotną do Londynu. Nie zapisał niczego na papierze, nie skontaktował się z nikim przez radio ani przez internet.

W drodze do Wielkiej Brytanii Wołkow, kolejny weteran szpiegowskiego fachu, z rozbawieniem myślał o tym, że wskutek rozwoju nowoczesnej technologii bezpieczeństwo wymaga uciekania się do staroświeckich metod i osobistych spotkań. Zastanawiał się także, kogo spośród znanej mu dwudziestki śpiochów zwerbuje do tego zadania. Ostatecznie wybrał cztery osoby.

Zależało mu na tym, by żaden z agentów nie wiedział o pozostałej trójce. Wszyscy mieli się z nim kontaktować za pośrednictwem niewinnych wiadomości telefonicznych.

Pierwszy miał ustalić, w której rodzinie Jenningsów jest jakiś Luke i gdzie ta rodzina mieszka – albo mieszkała, jeśli się przeprowadziła – a następnie przekazać tę informację agentowi B. Na tym kończyła się jego rola. Drugi agent zbada namierzony dom. Jeśli ten okaże się pusty, będzie udawał zainteresowanego kupnem i przepytą sprzedawcę nieruchomości oraz pogada z sąsiadami. Trzeci agent sprawdzi życie towarzyskie celu. Czwarty ma czekać w pokoju hotelowym jako rezerwa.

Wołkow zdecydował się wybrać czterech agentów ze względów bezpieczeństwa. Jeden człowiek zadający pytania w różnych punktach miasta mógłby zwrócić na siebie uwagę, zwłaszcza jeśli Luke Jennings jest obiektem zainteresowania także brytyjskiego kontrwywiadu.

\* \* \*

Czterech agentów wyjechało osobnymi samochodami z niewielkich hoteli, w których się zatrzymali, i po dwóch dniach dotarło do Luton. Otrzymali

instrukcje, które można by streścić słowami: działajcie szybko.

Agent A miał przejrzeć rejestr wyborczy. W Wielkiej Brytanii jest to publicznie dostępny dokument, do którego zazwyczaj zaglądają urzędnicy danego okręgu wyborczego. Są w nim także adresy. Agent A zrobił to jeszcze tego samego dnia. W Luton mieszkało dziewięć rodzin o nazwisku Jennings, ale tylko w jednej był syn Luke. Według dokumentu miał osiemnaście lat i dopiero co został wciągnięty do rejestru uprawnionych do głosowania. Wciąż mieszkał z rodzicami, a adres całej trójki znajdował się w papierach. Rodzice, Harold i Sue, oraz nastolatek.

Agent B otrzymał adres i wybrał się na przejażdżkę po wskazanej okolicy. Tabliczka stojąca w ogrodzie informowała, że dom jest na sprzedaż. Umieszczono na niej nazwę agencji nieruchomości. Agent B umówił się na oględziny jeszcze tego popołudnia.

Podczas wizyty zauważył, że dom został dokładnie przeszukany i wysprzątnięty. Nie było żadnych starych kopert, faktur ani rachunków, które mogłyby wskazywać, dokąd udała się rodzina. Ale w końcu natrafił na schowek pod schodami. Koniecznie chciał zajrzeć w każdy zakamarek i w tym niewielkim pomieszczeniu znalazł porzucony kij do golfa. Niewykluczone, że w ciemnym schowku kiedyś trzymano cały zestaw kijów, a golf był pasją ojca rodziny.

Następnego dnia do akcji wkroczył agent C. W okolicach Luton są trzy kluby golfowe. Rosjanin zaczął dzwonić ze swojego pokoju hotelowego i już za drugim podejściem trafił w dziesiątkę. Jego sposób mówienia wzbudzał sympatię.

– Zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc. Właśnie przeprowadziłem się w okolice Luton i chciałbym nawiązać kontakt z moim starym znajomym, który tutaj mieszka. Wysłał mi swoją wizytówkę, ale ją zgubiłem. Osioł ze mnie. Wspominał, że zapisał się do fantastycznego klubu golfowego. Czy chodziło o państwa klub? Facet nazywa się Harold Jennings.

Rozmawiał z nim asystent sekretarza klubu.

– Owszem, mamy na liście członków Harolda Jenningsa. Czy to o niego panu chodzi?

– Właśnie tak. Mają państwo jego numer?

W rejestrze był numer telefonu stacjonarnego, który został odłączony. Niemal na pewno chodziło o numer w pustym domu. Ale to już nie miało znaczenia. Agent C odwiedził klub golfowy.

Wybrał porę lunchu, poprosił o spotkanie z sekretarzem i wyraził zainteresowanie wstąpieniem do klubu.

– Chyba dopisało panu szczęście – odrzekł sympatyczny urzędnik. – Zazwyczaj mamy komplet, ale ostatnio straciliśmy dwóch członków. Jeden już gra na dziewiętnastym dołku w niebie, a drugi chyba wyemigrował. Zaprowadzę pana do baru i pójdę to sprawdzić.

W barze było tłoczno i panowała wesoła atmosfera. Członkowie klubu, którzy skończyli grę, przychodzili dwójkami i czwórkami, zostawiali sprzęt w przebieralni i zamawiali drinka przed lunchem. Agent C zaczął krążyć między ludźmi. Używał tej samej gadki co przez telefon.

– Właśnie przeprowadziłem się tutaj z Londynu. Mój dobry kolega był członkiem klubu. Harold Jennings. Nadal tu przychodzi?

Przy barze stał Toby Wilson, a po jego wielkim przekrwionym nochału widać było, że jest tu częstym gościem.

– Przychodził do zeszłego miesiąca. Chce się pan zapisać? Brawo. Tak, Harold wyemigrował... Och, chętnie. Gin z tonikiem. Bardzo dziękuję.

Barman znał tego człowieka. Na barze pojawiła się kolejna szklaneczka, zanim jeszcze poprzednia została opróżniona. Sekretarz wrócił z formularzami. Agent C je wypełnił. I tak go nie namierzą; podał fałszywy adres. To tylko formalność, wyjaśnił sekretarz. Komisja musi się zapoznać z dokumentami, ale na pewno nie będzie robiła kłopotów kumpłowi Harolda Jenningsa. A na razie proszę się rozgościć w barze. Sekretarz musiał odejść, a agent C znów podszedł do Toby'ego Wilsona.

– Tak, to naprawdę smutne. Rozpadło mu się małżeństwo. Prawdę mówiąc, nie wygoniłbym jego żony z łóżka. Niezła szprycha.

– Sue, prawda?

– Zgadza się. Cudowna dziewczyna. W każdym razie rozstali się, a on wyjechał do Nowego Jorku. Ma dobrą robotę, ładne mieszkanie, nowe życie, przynajmniej tak słyszałem.

– Odzywał się od tamtej pory?

– Któregoś dnia do mnie zadzwonił.

\* \* \*

Godzinę później agent C odprowadził Toby'ego Wilsona do samochodu, a po drodze telefon Wilsona przeniósł się z kieszeni właściciela do kieszeni agenta.

Kiedy agent C złożył raport Dmitrijowi Wołkowowi, mógł mu przekazać wiele użytecznych informacji. Jeśli hakerem był ten nastolatek, to on i jego matka z pewnością zniknęli z Luton. Ojciec niewątpliwie wie, gdzie się przeprowadzili. Jest w Nowym Jorku, ale agent zdobył numer jego komórki.

SWR dysponuje kolejną siatką agentów w Nowym Jorku, a dzięki nowoczesnym metodom namierzania numer komórki jest równie użyteczny jak adres. Czym prędzej skontaktowano się z kolonią rosyjskich gangsterów w Nowym Jorku.

## Rozdział szósty

Kontener na śmieci, który tamtego majowego poranka stał w jednej z obskurnych nowojorskich uliczek, nie zwracał na siebie uwagi niczym poza wystającą z niego ludzką nogą.

Gdyby był pusty, ciało wpadłoby na dno i nikt by go nie zauważył przez wiele dni, może nawet tygodni. Ale nie był. Gdyby właściciel mieszkania powyżej spojrział w dół, mógłby dostrzec kończynę trupa przewieszoną przez krawędź pojemnika, ale nie było tam żadnych mieszkań.

Kontener stał na śmietniku przy obskurnej uliczce w Brownsville, niedaleko Jamaica Bay na Brooklynie. Wznosiły się tam stare opustoszałe magazyny; cała okolica była przemysłowym slumsem. Policjant zauważył nogę tylko dlatego, że wszedł na śmietnisko, żeby się wysikać.

Zapiął rozporek i zawołał swojego partnera. Dwaj młodzi mężczyźni przez chwilę przyglądali się nodze, a następnie zajrzeli do kontenera. Trup leżał na plecach: biały mężczyzna w średnim wieku, z otwartymi niewidzącymi oczami. Partner skontaktował się z miejscowym posterunkiem policji i machina ruszyła.

Stwierdziwszy, że mężczyzna nie żyje, policjanci zostawili ciało w spokoju. To było zadanie dla detektywów i lekarza sądowego. Czekając na ich przybycie, przeszukali najbliższą okolicę i w pobliskim magazynie, cuchnącym i pustym, jeśli nie liczyć rozrzuconych śmieci, jeden z nich znalazł sznury przywiązane do rur grzewczych. Wyglądało na to – co lekarz sądowy potwierdził, badając otarcia na nadgarstkach – że ofiarę przywiązano do rur i najwyraźniej pobito.

Pojawił się nieoznakowany sedan; ostrożnie przemierzał uliczkę zasypaną odpadkami. Wysiedli z niego dwaj detektywi i dołączyli do mundurowych,

żeby obejrzyć ciało. Ekipa techników odgrodziła kontener i otaczający go teren taśmą, żeby nie podchodzili ludzie, ale i tak nikt się tutaj nie zapuszczał. Bandyci, którzy dokonali morderstwa, dobrze wybrali miejsce.

Następnie pojawił się lekarz sądowy. Szybko orzekł zgon, zapewne na skutek zabójstwa, i wydał zgodę na usunięcie ciała. Jego ekipa wyciągnęła je z kontenera i na noszach przeniosła do swojej furgonetki, po czym odwiozła do kostnicy. Na tym etapie lekarz sądowy zdołał ustalić jedynie, że zwłoki są w pełni ubrane, lecz ogołoczone z wartościowych przedmiotów. Po obu stronach nosa widniały odcisnięte ślady, ale nie było okularów. Później znaleziono je w magazynie, niedaleko sznurów. Podobnie jak porzuconą chustkę.

Na jednym z palców pozostał ślad po sygnecie. Wszystkie kieszenie były puste. Żadnego portfela ani dokumentów. W kostnicy miało zostać przeprowadzone bardziej szczegółowe badanie.

Przy zdejmowaniu ubrań z trupa lekarz zauważył dwie ciekawe rzeczy. Na lewym nadgarstku widniał ślad po nieobecny zegarku. I co gorsza, metki na ubraniu wskazywały, że nic z tego nie kupiono w Stanach Zjednoczonych. Ciuchy wyglądały na brytyjskie. Lekarz się przeraził. Martwy turysta, porwany i zamordowany w slumsach, to złe wieści. Zadzwoił do starszego detektywa.

Udało mu się ustalić przyczynę śmierci. Było nią zatrzymanie akcji serca. Ofiarę mocno uderzono pięścią w twarz, łamiąc jej nos. Krew zakrzepła w nozdrzach i wokół ust. Kolejny cios trafił w splot słoneczny. Po otwarciu klatki piersiowej stało się jasne, że mężczyzna miał słabe serce, chociaż mógł sobie z tego nie zdawać sprawy, a psychiczne i fizyczne urazy, których doznał – strach, ból, pobicie – spowodowały zatrzymanie akcji serca.

Do lekarza dołączył wezwany detektyw. On także przyjrzał się metkom na ubraniach. Jermyn Street. Czy to nie w Londynie? Zamordowany mężczyzna był w średnim wieku. Z lekką nadwagą, ale nie otyły. Miał delikatne dłonie. Detektyw polecił umyć i sfotografować twarz trupa. Pobrano także odciski palców oraz próbkę DNA. Jeśli to Brytyjczyk, który niedawno przybył do Ameryki, musiał przejść kontrolę graniczną, zapewne na lotnisku Kennedy'ego.



Detektyw Sean Devlin chciał poznać nazwisko zabitego. Czy miał mieszkanie w Nowym Jorku? A może zatrzymał się w hotelu? Podróżował ze znajomymi? Oprócz brytyjskich ubrań uwagę zwracały też inne sprawy. To nie była uliczna kradzież, która wymknęła się spod kontroli. Złodzieje ogłuszają ofiarę, okradają ją i uciekają. Ten człowiek został porwany wiele kilometrów stąd, przywieziony na to pustkowie, przywiązany do metalowych rur i pobity. Dlaczego? Chodziło o jakieś porachunki? O zdobycie informacji?

Po otrzymaniu zdjęć detektyw Devlin przesłał je do trzech stanowych agencji: Służb Imigracyjnych i Celnych (ICE), wszechobecnego Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego oraz, oczywiście, do FBI. Poszukiwania trwały cały dzień, a pomogło użycie technologii rozpoznawania twarzy. Na posterunku w Brownsville, gdzie pracował detektyw Devlin, nagle zaroilo się od agentów FBI. Zabity mężczyzna od niedawna mieszkał w Stanach Zjednoczonych i znajdował się pod ochroną Biura. Kłopotliwa sprawa, ale to już nie był problem detektywa Devlina. Dochodzenie przekazano na znacznie wyższy szczebel, do nowojorskiej siedziby FBI.

Z dokumentacji wynikało, że pan Harold Jennings otrzymał zgodę na przeniesienie się do Nowego Jorku, a Biuro błyskawicznie załatwiło niezbędne formalności w ramach przysługi dla brytyjskiej premier, za pośrednictwem Scotland Yardu, który teraz należało poinformować i przeprosić.

\* \* \*

W Londynie wieści dotarły także do sir Adriana Westona. Czym prędzej pojechał do Chandler's Court i przekazał smutną wiadomość pani Sue Jennings i jej dwóm synom. Młodszy z nich, Marcus, zareagował płaczem; starszy po prostu przyjął do wiadomości śmierć ojca, podobnie jak inne fakty, które przechowywał w pamięci.

Sue Jennings spytała, czy jej mąż może zostać pochowany w Anglii. Wyrażono zgodę na transport ciała. Brytyjski konsulat w Nowym Jorku otrzymał polecenie ścisłej współpracy z FBI, żeby jak najszybciej odebrać i przewieźć zwłoki. Sue wspomniała o zegarku, który miał sentymentalną wartość i który chciałyby odzyskać.

Wyjaśniła, że chodzi o złotego rolexa oystera. Podarowała go mężowi w dziesiątą rocznicę ślubu, a na spodzie kazała wygrawerować słowa: *Haroldowi z wyrazami miłości Sue, na naszą 10. rocznicę.*

Z Nowego Jorku nadeszła odpowiedź, że zegarek zniknął, lecz trwa oblawa na zabójców, a nowojorska policja przekaże funkcjonariuszom opis poszukiwanego rolexa. Sprawdzano lombardy i sklepy jubilerskie, ale jak dotąd bezskutecznie.

Sir Adriana zmartwiły wydarzenia w Nowym Jorku. Nie wyglądały na zbieg okoliczności. Jeśli Moskwa skojarzyła katastrofę *Admirała Nachimowa* z działaniami Wielkiej Brytanii, to dokonała tego zatrważająco szybko. Zadzwoił do biura FBI w Nowym Jorku i poprosił, by skontaktowano go z detektywem, którego przydzielono do tej sprawy.

Dzięki pomocy Biura odbył długą rozmowę z detektywem Devlinem, który bardzo starał się mu pomóc, chociaż niewiele mógł zdziałać. A potem na cały tydzień stracili trop.

\* \* \*

Tego samego dnia, kiedy w Nowym Jorku zidentyfikowano zwłoki znalezione w kontenerze na śmieci, w Cieśninie Kaletańskiej zebrano osiem najpotężniejszych zachodnich holowników oceanicznych i przypięto do nich uwięziony krążownik. Stalowe kable grubości człowieka prowadziły od ich ruf do unieruchomionego olbrzyma. W szczytowym momencie wiosennego przypływu holowniki jednocześnie zaczęły ciągnąć. Dwie potężne śruby *Nachimowa* miały tony drobnego piasku pod rufą. Centymetr po centymetrze, metr po metrze okręt zsuwał się z mielizny na głęboką wodę.

Przez dziesięć dni *Admirał Nachimow* stanowił atrakcję turystyczną. Przedsiębiorczy właściciele motorówek z wybrzeża hrabstwa Kent organizowali wycieczki na bezpieczny pas wodny rozciągający się pomiędzy mielizną Goodwins a brzegiem, znanym jako Downs. Goście robili miliony zdjęć, na których zazwyczaj stali uśmiechnięci na tle krążownika.

Kiedy okręt został uwolniony, osiem holowników odczepiło liny i wróciło do swoich baz. Rosjanie ruszyli na Morze Bałtyckie, a wezwani do pomocy

Holendrzy i Francuzi do swoich macierzystych portów. *Nachimow* nie dotarł daleko w swojej podróży na rosyjski Bliski Wschód. Teraz należało dokładnie sprawdzić jego kadłub. Okręt skręcił na północ i skierował się z powrotem do stoczni Siewmasz. Dla mieszkańców hrabstwa Kent przedstawienie się skończyło. Ale nie dla Kremla.

\* \* \*

Jak to się często zdarza w policyjnych dochodzeniach, przełom nastąpił przypadkiem. Aresztowano ulicznego złodzieja, który miał na ręce opisanego rolexa. Zatrzymany był Rosjaninem.

W Nowym Jorku jest sześćset tysięcy Rosjan, z czego połowa mieszka i pracuje w południowej części Brooklynu, w dzielnicy Brighton Beach, rozciągającej się wzdłuż wybrzeża półwyspu Coney Island. Funkcjonuje tam prężny i brutalny świat przestępczy, składający się z kilku znanych gangów. Nowojorska policja zatrudnia liczną ekipę rosyjskojęzycznych funkcjonariuszy, którzy skupiają się jedynie na Brighton Beach i tamtejszych gangach.

Zatrzymany mężczyzna nazywał się Wiktor Uljanow i dał jasno do zrozumienia, że nie zamierza niczego powiedzieć. Najwyraźniej był gangsterem, ale o marginalnym znaczeniu, do tego niezwykle tępym.

Postanowił samotnie okraść kogoś na ulicy w zadrzewionym Queens, wiele kilometrów od domu. Wypatrzył eleganckiego biznesmena w średnim wieku, idącego ulicą niedaleko swojego miejsca zamieszkania. Ale to nie był dzień Wiktora. Biznesmen okazał się bokserem wagi półciężkiej, który walczył w reprezentacji Stanów Zjednoczonych na igrzyskach olimpijskich w Atlancie, a jego umiejętność prawa pięści wciąż robiła duże wrażenie.

Zanim Uljanow zdążył użyć noża, pięść tamtego spotkała się z jego szczęką; kiedy ocknął się na chodniku, otaczało go kilka par nóg w niebieskich spodniach. Na posterunku stał się obiektem kpin i pogrążył się w ponurym milczeniu. Zarekwirowano mu wszystkie przedmioty osobiste i zamknięto go w celi.

Na jednym z wyższych pięter pewien spostrzegawczy młody rekrut przyjrzał się zegarkowi Wiktora i przypomniał sobie o rozesłanym tydzień wcześniej opisie złotego grawerowanego rolexa, który należał do zabitego Brytyjczyka. Powiadomił sierżanta i otrzymał pochwałę za bystrość umysłu. Sprawą zajęli się detektywi i zaalarmowali FBI.

Zdjęcie zegarka pokazano pani Sue Jennings, gdy wróciła do Chandler's Court po pogrzebie męża w pobliskim kościele. Potwierdziła, że to jego rolex. W Nowym Jorku poinformowano Uljanowa, że zarzuty wobec niego zmieniono z napaści na zabójstwo z premedytacją.

Wiktor Uljanow doskonale pamiętał, co się stało. Zwerbowano go do gangu, który miał porwać brytyjskiego księgowego, w ostatniej chwili, jako zastępstwo za sprytniejszego kolegę. Była ich piątka i zostali przez kogoś wynajęci. Nic nie wiedzieli o tym, że zleceniodawcą jest rosyjski agent pracujący dla SWR w Moskwie.

Mieli podjechać do pewnego mieszkania w Queens, zadzwonić do drzwi, a gdy samotny lokator otworzy, wyprowadzić go pod bronią na ulicę i do furgonetki. Tak się stało, a przerażony jeniec wykonywał wszystkie polecenia. Było ciemno, zbliżała się północ i nikt niczego nie zauważył.

Zgodnie z rozkazem pojechali do pustego magazynu w obskurnej dzielnicy niedaleko Jamaica Bay, przywiązali szlochającego cudzoziemca do rur grzewczych i przygotowali się do dokończenia roboty. Zlecenie było bardzo proste – mieli trochę faceta poobijać i zadać mu jedno krótkie pytanie: gdzie jest twój syn?

Potem wszystko się posypało. Po drugim ciosie przywódca gangu mężczyzna dostał konwulsji, wytrzeszczył oczy i jego przywiązane ciało obwisło bezwładnie. Sądźili, że stracił przytomność, i próbowali go ocucić. Ale okazało się, że umarł. Nie powiedział im niczego, tylko raz po raz powtarzał słowo „Proszę”. Bardziej niż sztywniakiem przejmowali się reakcją swojego szefa.

Trzej z nich wyszli poszukać jakiegoś miejsca do porzucenia ciała. Czwarty i Uljanow zostali, żeby rozwiązać trupa i sprawdzić, czy ma przy sobie coś, co warto by zabrać. Ten drugi przywłaszczył sobie sygnet i portfel, a Uljanow

zgarnął zegarek i wepchnął go do kieszeni spodni. Później założył go na rękę w miejsce swojego taniego timexa.

Siedząc naprzeciwko dwóch detektywów o stalowych spojrzeniach, rosyjski bandzior zdawał sobie sprawę, że jeśli poda nazwiska pozostałych zabójców, będzie trupem. Dlatego nie mógł uwierzyć własnym uszom, gdy zaproponowano mu zupełnie inny układ. Chociaż detektywi wiedzieli, że nie uda im się oskarżyć Uljanowa o morderstwo, oznajmili mu, że interesuje ich tylko jedna informacja, a jeśli ją uzyskają, być może wycofają zarzuty. Co Angol powiedział przed śmiercią?

Wiktor Uljanow przemyślał sprawę. Wydawało się, że odpowiedź niczym mu nie grozi. Zwłaszcza wobec wizji dwudziestu lat odsiadki.

– Nic nie powiedział.

– Nic? Zupełnie nic?

– Ani słowa. Po drugim ciosie zakrztusił się i umarł.

Detektywi otrzymali swoją odpowiedź. Przekazali ją do siedziby głównej FBI w Waszyngtonie, skąd przesłano ją do Londynu.

\* \* \*

Sir Adrianowi nagła śmierć Harolda Jenningsa w Nowym Jorku oraz zapewnienie tamtejszej policji, że mężczyzna nie powiedział ani słowa o swoim synu, a przede wszystkim o jego obecnym miejscu zamieszkania, przyniosły częściową ulgę. Ale tylko częściową.

Nie dawało mu spokoju, skąd Rosjanie znali nazwisko Jenningsów i w jaki sposób znaleźli odpowiedniego Harolda Jenningsa w nowojorskim mieszkaniu, oddalonym o ponad pięć i pół tysiąca kilometrów. Gdzieś – nie miał pojęcia gdzie – doszło do wycieku informacji.

Było oczywiste, że Moskwa nie uzna poniżającego unieruchomienia swojego krążownika za pechowy wypadek. Nawet gdyby nie ulegli tradycyjnej rosyjskiej paranoi, i tak by się zorientowali, że ktoś włamał się do ich komputerów. Analiza systemów na pokładzie *Nachimowa* oraz w bazie w Murmańsku pozwoliła wykazać, że doszło do bardzo skutecznego ataku, tak

sprytnego, że nikt go nie zauważył, dopóki nie było za późno. Rozpoczęło się potężne dochodzenie. Sir Adrian domyślał się, komu je powierzono.

To jedna z charakterystycznych cech asów wywiadu. Podobnie jak wytrawni szachiści, studiują ruchy przeciwnika. Chcą się nawzajem przechytrzyć, nie powystrzelać. Strzelanie pozostawiają żołnierzom w maskujących mundurach. Danie mata sprawia większą satysfakcję. Sir Adrian nosił mundur w jednostce spadochroniarzy i ciemny garnitur w agencji wywiadowczej.

Chociaż był ponad dziesięć lat starszy od człowieka w Jasieniewie, zwrócił uwagę na tę wschodzącą gwiazdę SWR, gdy pełnił funkcję zastępcy szefa MI6. Jewgienij Kryłow kiedyś z wyczuciem i nieustępliwością dowodził wydziałem zajmującym się Europą Zachodnią, a jego dalsza kariera również była pasmem sukcesów. Wspiął się w hierarchii, aż trafił do gabinetu na siódmym piętrze.

Podobno brytyjski generał Bernard Montgomery, dowodzący podczas drugiej wojny światowej pustynną kampanią w Afryce Północnej, godzinami przesiadywał w przyczepie, wpatrując się w zdjęcie swego przeciwnika, Niemca Erwina Rommla. Usiłował przewidzieć, jaki będzie kolejny krok jego wroga. Sir Adrian miał teczkę Jewgienija Kryłowa. W niej również znajdowało się zdjęcie portretowe. Odwiedził swoich dawnych kolegów w Vauxhall Cross, którzy pozwolili mu, ze względu na stare czasy, usiąść w zamkniętym pokoju i przestudiować akta Kryłowa.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Kryłow przez dwa lata pełnił funkcję rezydenta w jednostce SWR w rosyjskiej ambasadzie w Londynie. Oficjalnie pracował jako młodszy attaché kulturalny, ale Brytyjczycy doskonale wiedzieli, kim jest.

W ramach dziwnego *danse macabre*, jakim jest szpiegostwo, agenci przeciwnych stron często pojawiają się na przyjęciach w ambasadzie, gdzie rozmawiają ze sobą, uśmiechają się, stukają kieliszkami i udają miłych dyplomatów, podczas gdy tak naprawdę szukają sposobów, jak przechytrzyć i zniszczyć przeciwnika. Sir Adrian przypuszczał, że na jednym z takich przyjęć w ambasadzie miał okazję spotkać wtedy jeszcze młodego rosyjskiego szpiega.

Nie mógł wiedzieć, że o mały włos nie doszło między nimi do kolejnego spotkania. Mogłoby się to zdarzyć w Budapeszcie, tamtego dnia, gdy zrezygnował ze spotkania z rosyjskim pułkownikiem, który zamierzał przejść na stronę Zachodu – bo czuł, że pułkownik został zdemaskowany. Później okazało się, że miał rację. Pułkownik wyznał wszystko na torturach, po czym go stracono. Jako że zdrajca był Rosjaninem, węgierska tajna policja, ÁVO, zaprosiła przedstawiciela rosyjskiej ambasady, żeby uczestniczył w schwytaniu brytyjskiego agenta. Budapeszt był trzecią zagraniczną placówką Kryłowa. W pułapce zastawionej przez ÁVO czekał na brytyjskiego szpiega, który ostatecznie się nie pojawił.

Po zamknięciu teczki i opuszczeniu Vauxhall sir Adrian nabrał jeszcze silniejszych podejrzeń. Kryłow nieprzypadkowo przebył drogę od posady gońca w ambasadzie do gabinetu na siódmym piętrze w Jasieniewie. Na pewno to jemu zlecono namierzenie superhakera.

Weston wiedział także, że Moskwa odkryła nazwisko Jenningsów oraz ich miejsce zamieszkania: Luton. Nie miał pojęcia, w jaki sposób, ale teraz to było bez znaczenia. Jenningsowie wyjechali i należało raczej przypuszczać, że Rosjanie nigdy nie słyszeli o Chandler's Court. A jednak... a jednak. Znów miał to przeczucie. Dlatego chciał, żeby chłopaka pilnował niewielki, lecz doskonale wyszkolony oddział żołnierzy. Umieszczenie ich w Chandler's Court nie było złym pomysłem.

Co prawda w obskurnej uliczce Brownsville ludzie Kryłowa zawiedli, ale jeśli Rosjanie naprawdę uznali, że osoby odpowiedzialne za upokarzającą przygodę *Admirała Nachimowa* mieszkają na tej zniechęconej przez Woźdia niedużej wyspie u północno-zachodnich wybrzeży Europy, to nic ich nie powstrzyma. Spróbują ponownie.

Sir Adrian byłby jeszcze bardziej zaniepokojony, gdyby mógł pojawić się, niczym duch, w gabinecie swojego przeciwnika ponad brzozowymi lasami Jasieniewa.

\* \* \*

Na biurku Kryłowa leżał duży wydruk zdjęcia wykonanego przez rosyjskiego satelitę, który na jego rozkaz zboczył z kursu i dyskretnie przeleciał nad środkową Anglią. Satelita podążył zaprogramowaną trasą, zrobił zdjęcie i powrócił na swoją pierwotną orbitę. Kiedy znów znalazł się nad Rosją, przesłał na Ziemię żądany obraz.

Jewgienij Kryłow wziął do ręki duże szkło powiększające i przyjrzał się obiektowi na środku mapy. Była to ogrodzona murem zalesiona posiadłość, znana jako Chandler's Court.



# Rozdział siódmy

Jewgienij Kryłow nie pracował dla bojaźliwej organizacji. Zarówno w dawniejszych czasach, jak i ostatnio pod jego kierownictwem Służba Wywiadu Zagranicznego wielokrotnie organizowała zamachy w różnych krajach, ale gdy chodziło o mokrą robotę, Kryłow zawsze wolał korzystać z usług innych podmiotów.

Wpatrując się w wydruk zdjęcia satelitarnego, uświadomił sobie, że rozwiązał pierwsze dwa problemy, które postawił przed nim Woźd'. Przeczucie nie myliło prezydenta. To Brytyjczycy, a nie Amerykanie upokorzyli Mateczkę Rosję, w odwecie za sprawę Skripała.

Wczesną wiosną 2018 roku pewien Rosjanin, który wiódł spokojny żywot w brytyjskim mieście katedralnym Salisbury, niemal padł ofiarą zamachu z rąk rosyjskich agentów. Siergiej Skripal kiedyś szpiegował dla Wielkiej Brytanii przeciwko Rosji. Został wykryty, skazany i osadzony w Rosji. Kiedy wypuszczono go z więzienia, otrzymał zgodę na emigrację i osiedlenie się w Zjednoczonym Królestwie.

Żył tam w spokoju, nie rzucając się w oczy, aż pewnego dnia rosyjski agent posmarował klamkę jego domu paraliżującą trucizną – nowiczokiem. Skripal i przebywająca u niego z wizytą córka, Julia, dotknęli klamki i niemal zmarli na skutek zatrucia. Ocaliło ich dotychczas nieznanne antidotum brytyjskiej produkcji. Zaslugę przypisano wojskowemu tajnemu ośrodkowi Porton Down.

Jewgienij Kryłow sprzeciwiał się tej akcji, ale ostateczną decyzję podjął Woźd'. Okazało się, że Kryłow miał rację. Po zamachu wydalono z Wielkiej Brytanii trzydziestu sześciu starannie wybranych rosyjskich dyplomatów. Wszyscy byli szpiegami działającymi przy ambasadzie, a ich odejście zniszczyło siatkę wywiadowczą Kryłowa na Wyspach Brytyjskich.

To był katastrofalny błąd, lecz Kryłow wiedział, że nie warto ryzykować posady i o tym wspominać. Teraz wydarzyła się nowa katastrofa, gdy duma Floty Północnej utknęła na mieliźnie, a Rosja znów nie zamierzała rezygnować z odwetu. Przynajmniej Kryłow miał już za sobą dwie trzecie roboty.

Brytyjczycy odkryli jakąś tajną broń i byli gotowi jej użyć z całą bezwzględnością, a on postanowił dotrzymać im kroku. To nie była maszyna. To był mózg autystycznego młodzieńca, który potrafił dokonać niemożliwego. Podobnie jak specjaliści w Fort Meade, Rosjanie w Murmańsku uważali, że zabezpieczenia ich bazy danych są niemożliwe do sforsowania, i srodze się zawiedli.

Dzięki agentowi w Waszyngtonie młodzieniec zyskał nazwisko. Dzięki śledztwu przeprowadzonemu w Luton Kryłow namierzył ojca geniusza, ale ten okazał się bezużyteczny. Teraz nowe źródło przekazało informację, gdzie Brytyjczycy ukryli swoją tajną broń, by nie zaprzętać sobie nią głowy. Kryłow musiał spełnić trzecie żądanie Woźdia. Wyeliminować chłopaka; pomścić zniewagę.

W Rosji miał do dyspozycji pięć grup wyszkolonych zabójców. Pytanie brzmiało, z której skorzystać.

Dwie są finansowane przez rząd. Pierwsza to Specnaz – żołnierze sił specjalnych, dorównujący brytyjskim służbom SAS, SBS i najbardziej tajnym SRR albo amerykańskim Zielonym Beretom, Delta Force czy SEALs. Wszyscy żołnierze są doskonale wyszkoleni i tylko nieznacznie różnią się między sobą poziomem umiejętności, zależnie od osobistych predyspozycji i specjalizacji.

Wewnątrz Specnazu działa tajna jednostka wyszkolona do akcji poza granicami kraju. Jej członkowie ukończyli niejawną szkołę, gdzie nauczono ich, jak w cywilnych strojach niepostrzeżenie przenikać do rozmaitych środowisk, jak pozyskiwać broń z potajemnych „zrzutów” dokonywanych przez ambasadę – która importuje sprzęt w nietykalnym bagażu dyplomatycznym – a po ukończeniu zadania spokojnie wracać do zwykłego życia. Oprócz tego biegle opanowali obce języki, zwłaszcza najpopularniejszy na świecie angielski.

W służbie rządu i pod kontrolą Kryłowa działał także Departament 13, obecnie rozszerzony i przemianowany na Departament V, „wydział od mokrej roboty”, relik z czasów KGB, który nie przestał istnieć, gdy za Gorbaczowa organizację tę podzielono.

To właśnie dwaj agenci Departamentu V, dowódca zespołu oraz jego ochroniarz i zarazem kierowca, przyjechali do Salisbury i posmarowali nowiczokiem klamkę w domu zdrajcy. Nawet śmiechu wart rosyjski ambasador w Wielkiej Brytanii, Jakowienko, nic o nich nie wiedział, dzięki czemu mógł bez zażenowania oświadczyć brytyjskiej prasie, że Rosja nie miała nic wspólnego z zamachem.

Poza tym Kryłow mógł się też skontaktować ze zorganizowanym światem przestępczym. „Wory w zakonie” zawsze chętnie wyświadczają przysługi rządowi, gdyż wiedzą, że w zamian otrzymają lukratywne kontrakty i zezwolenia, by mogli rozbudowywać swoje biznesowe imperia.

Na Zachodzie mało kto wie o Nocnych Wilkach, gangu motocyklistów tak brutalnych, że kalifornijscy Hells Angels są przy nich jak ministranci. Wyznające dziki patriotyzm Nocne Wilki specjalizują się w atakowaniu i okaleczaniu zagranicznych kibiców piłkarskich, którzy podróżują po Europie za swoimi drużynami. W ich szeregach działa garstka anglojęzycznych weteranów Specnazu.

Są wreszcie dwie nierosyjskie grupy, które wykonują „zlecenia” dla Moskwy i posiadają siatki gangów słynących z ekstremalnego okrucieństwa – Czeczeni i Albańczycy.

Wynajęcie grupy pozarządowej wymaga dodatkowych funduszy, ale to nie stanowiło problemu. Kreml miał bliskie kontakty z miliarderami ze świata przemysłu i handlu, którzy niewyobrażalnie się wzbogacili, ogołacając swoją ojczyznę, a następnie wyjechali za granicę, by żyć w luksusie. Niektórzy z nich, ci niespełna rozumu, zerwali więzy z tym największym gangsterem, co doprowadziło ich do zajadłych wojen odwetowych z Kremlem. Teraz muszą stale żyć w otoczeniu ochroniarzy, choć i tak nie zawsze ich to ratuje. Każdy, kto wie, co dla niego dobre, bez sprzeciwu dostarcza potrzebne środki.

Po dwóch dniach namysłu Jewgienij Kryłow postanowił skorzystać z usług motocyklistów, elitarnego oddziału obytych w świecie, anglojęzycznych

Nocnych Wilków.

Jego wybór był podyktowany logiką. Winą za zamach na Skripala bez wahania obarczono Rosję, ponieważ nowiczok był rosyjskim wynalazkiem. Ale przestępczość nie ma narodowości. Motocyklistów mógłby wynająć każdy. Po śmierci hakera brytyjskie władze będą wiedziały, kto posłał zabójców, ale – inaczej niż w sprawie z nowiczokiem – nie zdołają niczego udowodnić.

\* \* \*

Sir Adrian lubił się uważać za pragmatyka, który jest gotów zaakceptować fakty i stawić im czoło, niezależnie od tego, jak bardzo są nieprzyjemne. Ale jednocześnie nie lekcewał intuicji.

Dwa razy w życiu postanowił posłuchać przecucia, że coś jest nie w porządku; dwukrotnie wyczuł woń niebezpieczeństwa i jak najszybciej się ulotnił. W pierwszym przypadku, pod koniec lat siedemdziesiątych, w ostatniej chwili wyślizgnął się z pułapki zastawionej przez enerdowskie Stasi i czmychnął za granicę. W drugim przypadku, na początku lat osiemdziesiątych w Budapeszcie, na kilka minut przed nalotem KGB wymknął się z kawiarni, w której miał się spotkać ze swoim „kontaktem”. Później okazało się, że kontakt już wcześniej został zatrzymany i spędził resztę życia na Syberii.

Lata nadstawiania karku dla ojczyzny nauczyły Adriana Westona, by nie lekceważyć przecuć ani nie mylić ich z tchórzliwą nerwowością.

Po wydarzeniach w Budapeszcie jeden z agentów ÁVO przeszedł na stronę Zachodu, a Weston rozmawiał z nim w bezpiecznym miejscu niedaleko Londynu. Okazało się, że Węgier był w grupie ludzi, którzy wtedy bezskutecznie czekali na brytyjskiego szpiega. Potwierdził, że ponieważ aresztowany zdrajca był Rosjaninem, w akcji brał udział także członek KGB, niejaki Jewgienij Kryłow. Od tamtej pory Weston z daleka obserwował rozwijającą się karierę Kryłowa, a po przejściu na emeryturę dowiedział się, że Rosjanin objął szefostwo w Jasieniewie.

Jako zawodowiec sir Adrian domyślał się, że masowe wydalenia agentów SWR z ambasady w Londynie po zamachu na Skripala podcięły skrzydła

człowiekowi, który kiedyś niemal stał się jego zgubą. Właśnie dlatego trzymał przy łóżku ten portret – pozyskany z archiwum dotyczącego dawnych przyjęć w ambasadach – portret człowieka, który obecnie dowodził SWR.

Przeczytawszy raporty FBI z Nowego Jorku, Weston poczuł tę samą woń.

Coś było nie w porządku. Moskwa działała za szybko. Sir Adrian nie wiedział o rosyjskim szpiegu w Ministerstwie Sprawiedliwości w Waszyngtonie, ale Kryłow jakimś sposobem zdobył właściwe nazwisko. Ponadto według FBI ludzie wynajęci przez SWR zawiedli w Nowym Jorku tylko przypadkiem – z powodu słabego serca Harolda Jenningsa.

Weston był coraz bardziej pewien, że Kryłow spróbuje ponownie. Nad całą tą sprawą unosił się zapach obłędu. Rozkazy niewątpliwie pochodziły z samego serca Kremla i nie podlegały dyskusji. Podrażnili niedźwiedzia, a ten wpadł we wściekłość. Dlatego stary wyga z Vauxhall Cross poprosił o kolejne prywatne spotkanie z panią premier i przekazał jej swoją prośbę. Kiedy wyjaśnił, co podejrzewa i czego by oczekiwał, zamknęła oczy.

– To naprawdę może okazać się konieczne?

– Mam nadzieję, że nie, ale wolę dmuchać na zimne, pani premier.

Polityków zazwyczaj nie trzeba namawiać do ostrożności. Próżno ich szukać na ceremoniach wręczania medali w pałacu Buckingham.

– Tylko jeśli uda ci się przekonać dyrektora Sił Specjalnych. Ale jeżeli się sprzeciwi, posłucham jego rady – odrzekła.

\* \* \*

Dyrektor Sił Specjalnych to wysoki rangą wojskowy, zazwyczaj generał brygady, który ma biuro przy Albany Street, niedaleko Regent's Park. Tego popołudnia bezzwłocznie przyjął sir Adriana, na polecenie pani premier. Sir Adrian stwierdził, że dyrektor jest bardzo młody, ale obecnie myślał tak o wszystkich. Wyjaśnił, na czym polega problem, a generał natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Przed awansem służył w Special Air Service.

SAS nie ma oporów przed zapewnianiem osobistej ochrony i podejmuje się takich misji na całym świecie, pomagając sojusznikom Wielkiej Brytanii, a nierzadko także szkoląc obywateli zaprzyjaźnionych krajów. Dobrze zarabia

na podnoszeniu poziomu bezpieczeństwa swoich klientów, których często znajduje wśród potentatów naftowych z rejonu Zatoki Perskiej. To może jedyny oddział sił zbrojnych, który przynosi państwu zysk.

– Spodziewa się pan ataku, sir Adrianie? – spytał generał.

– Nie spodziewam się, ale wolę dmuchać na zimne.

– Rzadko zapewniamy osobistą ochronę na terenie kraju.

Obaj wiedzieli, że chociaż Policja Metropolitalna dysponuje bardzo skutecznymi jednostkami, w otoczeniu królowej czasami pojawiają się przedstawiciele sił specjalnych. Nie wspomnieli o tym na głos.

– Chyba moglibyśmy to potraktować w kategoriach misji – powiedział z namysłem generał. – Ilu ludzi będzie pan potrzebował?

– Myślę, że tuzin wystarczy. W dawnych kwaterach pracowniczych jest sporo miejsca. Obsługa kuchni zapewni posiłki. Do tego pokój telewizyjny po służbie.

Generał się uśmiechnął.

– Jak na wakacjach. Zobaczę, co się da zrobić.

\* \* \*

Dwa dni później do Chandler's Court przyjechał oddział złożony z dwunastu ludzi – trzech sierżantów i dziewięciu żołnierzy – dowodzony przez trzydziestodwuletniego kapitana Harry'ego Williamsa. Przydzielono mu pokój na pierwszym piętrze oraz miejsce przy stole razem z Jenningsami i ekipą z GCHQ.

Sir Adrian koniecznie chciał osobiście ich powitać i przy okazji sprawdzić, jakie robią wrażenie. Spodobało mu się to, co zobaczył. Nie trzeba było mu wyjaśniać, że Siły Specjalne nieprzypadkowo noszą taką nazwę. Mówiąc ogólnie, są to ludzie o bardzo wysokim poziomie inteligencji i licznych zdolnościach. Nie wspominając już o ich ekstremalnej sprawności fizycznej i biegłości w posługiwaniu się różnego rodzaju bronią. W skład czteroosobowych oddziałów, które tworzą Pułk, zazwyczaj wchodzi jeden albo dwóch lingwistów, specjalista od pierwszej pomocy, inżynier mechanik oraz spec od broni.

Przed przyjazdem do Chandler's Court sir Adrian zapoznał się z informacjami o dowódcy oddziału, które otrzymał od dyrektora Sił Specjalnych. Harry Williams nosił mundur od dwudziestu lat, zgłosił się do wojska na ochotnika jako nastolatek i podobnie jak Adrian Weston wiele lat wcześniej, „pochodził z dobrej rodziny, skończył dobrą szkołę, uzyskał dobre wyniki egzaminów i był znakomitym materiałem na oficera”.

Ukończył Sandhurst i dostał przydział do pułku Coldstream Guards, ale w wieku dwudziestu pięciu lat zapragnął walki i wziął udział w testach do SAS. Testy te, które odbywają się głównie w Brecon Beacons w południowej Walii, są tak wyczerpujące, że przechodzi je tylko niewielki odsetek kandydatów. Harry Williams był jednym z nich.

W Pułku są na stałe zatrudnieni podoficerowie i żołnierze. Oficerowie, nazywani Rupertami, ciągle się zmieniają. Kapitan Williams służył po raz trzeci. Brał udział w dwóch tajnych misjach na tyłach wroga w Afganistanie i Syrii, gdzie, według naocznych świadków, zabił sześciu terrorystów i uszedł z życiem, odnosząc tylko niegroźną ranę postrzałową w lewe udo.

Sir Adrian przypomniał sobie uwagę generała brygady: „Jak na wakacjach”. Dla takiego wojownika Chandler's Court z pewnością będzie jak kurort. Przed wyjściem mózg operacji Troja zadbał, by dowódca oddziału poznał rodzinę Jenningsów. Zjedli razem podwieczorek u nich w salonie.

Chłopcy odmiennie zareagowali na kapitana Williamsa. Luke jak zwykle był nieśmiały i wycofany, ale Marcus wypytywał kapitana o szczegóły bojowych akcji, w których ten brał udział. Kapitan Williams tylko się uśmiechnął i mruknął:

– Może później.

Sir Adrian był wytrawnym obserwatorem. Z uznaniem zauważył, jak delikatnie kapitan odnosi się do starszego z chłopców, i nie uszła jego uwadze reakcja bardzo atrakcyjnej Sue Jennings. Jego ukochana Fiona z pewnością uśmiechnęłaby się dyskretnie i szepnęła: „Nieźle ciacho”. Niewątpliwie właśnie tak pomyślała niedawno owdowiała pani Jennings. Sir Adrian wyczuwał to w powietrzu, gdy pili herbatę. Wiedział, że Williams także jest wdowcem, i podejrzewał, że ten temat pojawi się w rozmowie, gdy on już wyjdzie.

\* \* \*

Żołnierze, przywykli do pustyń, wrzosowisk, dżungli, Arktyki i bagien, szybko zadomowili się w dawnych kwaterach pracowniczych. Jako że mieli być stale widywani przez obsługę mieszkającą poza bazą, a wieści szybko się rozchodzą, zamiast odzieży maskującej nosili T-shirty, polary i sportowe obuwie.

Poświęcili dwa dni na to, by przekształcić otoczenie domu zgodnie z wytycznymi kapitana Williamsa. Wyrwali z korzeniami krzewy i zarośla, tworząc równy trawnik wokół budynku, dzięki czemu uzyskali pięćdziesięciometrowe pole ostrzału. W wąskim pasie drzew, położonym najbliżej otwartego trawiastego terenu, zawiesili czujniki ciepła. Za dnia były wyłączone, ale w nocy konsola w pokoju dowodzenia na poddaszu jaśniała światłami. Ich intensywność wskazywała na rozmiar źródła ciepła. Żołnierze przez całą dobę obserwowali, słuchali i czekali, zmieniając się na posterunku. Nie mieli pojęcia, co się dzieje w pracowni komputerowej. Wiedzieli tylko tyle, ile musieli wiedzieć.

\* \* \*

Rosjanie przedostali się do kraju następnego dnia. Było ich sześciu i należeli do gangu Nocnych Wilków. Wszyscy potężni i silni, wywodzili się z wojskowych oddziałów bojowych, które walczyły z Afgańczykami i czeczeńskimi buntownikami. Otrzymali dokładne instrukcje co do czekającego ich zadania i działali pod zdalnym kierownictwem Jewgienija Kryłowa.

Mieli fałszywe, profesjonalnie podrobione paszporty, według których pochodzili ze słowiańskich krajów Europy Wschodniej. Wszyscy mówili po angielsku, jedni kiepsko i z wyraźnym akcentem, a drudzy płynnie, zwłaszcza dwaj byli agenci Specnazu. Przylecieli różnymi samolotami z różnych stolic w obrębie Unii Europejskiej.

Po wylądowaniu na Heathrow spotkali się w wyznaczonej kawiarni na terenie lotniska – niegroźnie wyglądająca grupka turystów – gdzie zaczekali,



aż ktoś ich odbierze. Kierowca zawiózł ich do dużego wynajętego mieszkania na przedmieściach, po czym odjechał, na zawsze znikając z ich życia.

Broń, o którą prosili, znajdowała się w walizkach w drugiej sypialni. Do mieszkania dostarczył ją albański gang działający w Londynie. Szafki i lodówka były pełne jedzenia. Zgodnie z planem, drugiego dnia na parkingu pojawił się ford minivan z kluczykiem pod gumową wycieraczką po stronie kierowcy.

Wszystkie przygotowania w Wielkiej Brytanii zostały sfinansowane przez rosyjskiego miliardera, który pracował dla Kremla. Zadomowiwszy się w Londynie, szóstka agentów pod dowództwem Antona przystąpiła do planowania ataku.

Wybrali się na zwiad do wioski sąsiadującej z Chandler's Court, po czym zaczęli krążyć wokół posiadłości. Zatrzymali się na opuszczonej wąskiej drodze i dwaj z nich przeszli przez mur. Ruszyli przez las, aż ujrzeli ściany i okna domu, w którym znajdował się ich cel. Anton obmyślał plan, a kiedy zwiadowcy wrócili, cała szóstka odjechała. Był środek nocy. Naukowcy smacznie spali.

\* \* \*

W domu, który badali Rosjanie, na konsolecie lśniło czerwone światło. W Londynie samotny starszy mężczyzna jadł kolację w mieszkaniu na tyłach Admiralty Arch.

Smartfon w kieszeni na jego piersi lekko zawibrował. Sir Adrian zerknął na ekran.

– Tak, panie kapitanie?

– Mieliśmy gości. Dwie osoby. W lesie. Tylko obserwowali. Potem odeszli.

– Wrócą. Pojawi się ich więcej. Obawiam się, że będą ciężko uzbrojeni. Wyjdą z ukrycia. Niemal na pewno zaatakują pod osłoną nocy.

– Jakie rozkazy?

Zazwyczaj na takie pytanie mógłby odpowiedzieć tylko starszy rangą oficer. Ale kapitan Williams został poinformowany, że ma wykonywać polecenia, jakie otrzyma od człowieka pod tym numerem telefonu.

– Pamięta pan Loughgall?

To niewielka wioska w hrabstwie Armagh w Irlandii Północnej. Ósmego maja 1987 roku oddział złożony z ośmiu czołowych zabójców IRA zaatakował znajdujące się tam niewielkie koszary Królewskiej Policji Ulsteru. Napastnicy pojawili się pod osłoną ciemności i mieli ze sobą koparkę, która na łyżce wiozła bombę. Bomba zniszczyła główną bramę, a kierowca dołączył do pozostałej siódemki i wspólnie zaatakowali bazę. Otrzymali rozkaz zabicia całej obsady placówki. Ale doszło do przecieku. Któryś z wysoko postawionych informatorów zadzwonił z ostrzeżeniem. W koszarach i otaczającym je lesie czekało dwudziestu czterech żołnierzy SAS. Wyszli z ukrycia i otworzyli ogień. Cała ósemka członków IRA zginęła. Od tamtej pory słowo Loughgall oznacza to, co Lawrence wykrzyknął do swoich ludzi w drodze do Damaszku: „Nie brać jeńców”.

– Tak jest.

– A więc, panie kapitanie, zna pan rozkazy.

Weston rozłączył się, a sommelier dolał mu bordo.

Kelner nie zauważył, by jego klient choćby mrugnął okiem, ale sir Adrian aż kipiał ze złości. Skoro jego wróg, Kryłow, wie o Chandler’s Court, w ich szeregach musi działać szpieg.

# Rozdział ósmy

Wrócili. Nocne Wilki przyjechały ponownie następnego wieczoru, każdy uzbrojony po zęby. Napastnicy sądzili, że atakują niechroniony cel. Ich zadanie polegało na wtargnięciu do rozległego domostwa i wyeliminowaniu śpiącego w jednym z pokoi nastolatka. Wszystkie inne osoby na tym piętrze również musiały zostać usunięte.

Mieli na sobie czarne kombinezony i czarne kominiarki. Zaparkowali na uboczu przy murze, wspięli się na dach swojego samochodu i przeskoczyli do lasu. Ruszyli naprzód gęsiego, aż w blasku księżyca ujrzeli przed sobą posiadłość Chandler's Court. Nie wiedzieli, że wewnątrz na konsoli wściekle migają czerwone światła. Nie wiedzieli także, że wpatruje się w nich trzynaście par oczu w okularach z noktowizorem. A przede wszystkim nie wiedzieli, że noktowizory są także w celownikach optycznych karabinów. Co gorsza, nigdy nie słyszeli o Loughgall.

SAS cieszy się przywilejem, na który mogą liczyć wyłącznie pułki sił specjalnych. Wolno im używać broni pochodzącej z całego świata, nie tylko z puli udostępnionej przez Ministerstwo Obrony.

Najchętniej sięgają po karabin automatyczny C8 firmy Diemaco, przemianowanej obecnie na Colt Canada. Jego lufa ma długość niespełna czterdziestu centymetrów, ale ta kuta na zimno broń jest bardzo precyzyjna. Snajperzy wybierają AX50 produkowane przez Accuracy International, z celownikiem optycznym Schmidt & Bender. Sześć takich karabinów kryło się za zasłonami w oknach Chandler's Court. Celowniki z noktowizorem oświetlały sylwetki intruzów na zielono. Wycelowana w nich broń miała tłumiki.

Anton szedł na czele swoich kompanów, gdy wynurzyli się spomiędzy drzew. Nie była mu obca przemoc – posłał już na wózek inwalidzki trzech angielskich kibiców na ulicach Marsylii. Ale i tak był zaskoczony, gdy pocisk grzybujący trafił go w klatkę piersiową. Pół sekundy później przestał się dziwić, ponieważ już nie żył.

Widząc, że upadł, jego kompani unieśli karabiny, ale było za późno. Pociski grzybujące nie dają szansy ratunku na stole chirurgicznym. Dwaj z pozostałej piątki zdali sobie sprawę, że są w zasięgu strzału, więc zawrócili, próbując się ukryć między drzewami. Upadli twarzą na ziemię i już się nie poruszyli.

\* \* \*

Po pięciu minutach zaciągnięto sześć trupów do budynku gospodarczego na terenie posiadłości. Później miały zostać odwiezione furgonetką bez okien do kostnicy przy Stirling Lines i poczekać tam na dalsze decyzje. Matka natura i długie polewanie wodą z węża powinny usunąć czerwone rozbryzgi na trawniku.

W świetle dnia namierzono samochód napastników, uruchomiono go poprzez spięcie kabli, odprowadzono sto pięćdziesiąt kilometrów dalej i spalono. Lokalna policja ustaliła, że auto pochodziło z londyńskiego komisju, gdzie kupił je za gotówkę nieistniejący człowiek. Spalony wrak trafił do zgniatarki. Rzeź w Chandler's Court po prostu nie miała miejsca.

W Jasieniewie Jewgienij Kryłow próżno czekał na wieści. Po dwóch dniach zrozumiał, że zabójcy nie wrócą. Ale wciąż miał asa w rękawie. Spróbuje ponownie. Musi. Woźd' będzie nalegał.

W Londynie sir Adriana obudził przed świtem kolejny telefon ze zwięzłą informacją, która nic nie znaczyła dla przypadkowego słuchacza. Wiadomość dotyczyła skutecznego usunięcia chwastów z ogrodu.

Siedział w swoim mieszkaniu, gdy wschodzące czerwcowe słońce wychyliło się zza iglicy Big Bena nad pałacem Westminsterskim na końcu ulicy Whitehall i oświetliło portret człowieka o słowiańskich rysach, którego ostatnio widział dwadzieścia lat wcześniej na nieistotnym przyjęciu

w ambasadzie. Brytyjski as wywiadu rzadko przeklinał, ale teraz to zrobił. Z wściekłością. Jego największe obawy się ziściły.

Nazwa Chandler's Court nigdy nie trafiła na drugą stronę Atlantyku. Musiał przeszukać wszystkie archiwa, przyrzeć się wszystkim sytuacjom, w których jej użyto, sprawdzić, gdzie i kto ją wymienił. Kto ją usłyszał? Jakim sposobem dotarła do uszu Jewgienija Kryłowa?

Szpieg, ukryty informator, musi działać w Londynie, w samym sercu państwowych instytucji. Moskwa za dużo wie. FBI uparcie twierdziło, że nieżyjący Harold Jennings, ojciec autystycznego geniusza, nie mógł nikomu powiedzieć o Chandler's Court. Ale ktoś musiał zdradzić. W Adrianie Westonie znów odezwała się myśliwska natura.

\* \* \*

W czasach zimnej wojny, nawet po zdławieniu węgierskiego powstania w 1956 roku i brutalnej interwencji w Czechosłowacji w 1968 roku, gdy wielu zachodnich komunistów, oburzonych bezwzględnością Moskwy, porzuciło swoją obłąkaną wiarę, wciąż nie brakowało zatwardziałych fanatyków, którzy do końca kurczowo trzymali się wizji Karola Marksa.

Ale to już minęło. Nawet Moskwa i człowiek, który obecnie kontrolował Rosję, porzucili komunizm na rzecz radykalnego nacjonalizmu. Nawet najbardziej zaślepiony intelektualista – a sir Adrian nie miał wątpliwości, że także najwybitniejszy intelektualista może być głupi jak but – nie szpiegowałby na rzecz komunistów. Zdrajca musi mieć jakiś potężny motyw. Ale jaki?

Urażona duma, pretensje z powodu lekceważącego potraktowania, zarozumiałość? Sir Adrian, zajmując się werbowaniem ludzi w czasach zimnej wojny, poznał wszystkie te postawy.

Swoboda życia na Zachodzie skutecznie motywowała więźniów komunistycznego świata, ale za tym przeciekiem tkwiło coś innego. W jakich dokumentach pojawiała się nazwa Chandler's Court? W bardzo niewielu, co oznaczało, że przeciek musiał pochodzić od kogoś wysoko postawionego, kogoś, kto był dobrze opłacany, uprzywilejowany, chroniony. Weston brał

pod uwagę dwa motywy. Szantaż – być może w celu ukrycia prywatnego skandalu, który mógł zrujnować karierę? Niewykluczone. A może staroświecka chciwość. Łapówki są stare jak ludzkość. Sir Adrian rozpoczął łowy. Wykorzystał swoje wpływy, by zdobyć transkrypty wszystkich zebrzań dotyczących relokacji Jenningsów.

Jedno z tych zebrzań odbyło się w rządowej sali odpraw COBR, Cabinet Office Briefing Room, dla efektu medialnego nazywanej COBRA. Weston pamiętał długi owalny stół stojący w wyciszonym pomieszczeniu w piwnicy pod siedzibą rządu. Pod ziemią nie słychać było dudnienia samochodów na Whitehall. W zebraniu brało udział tylko pięć najwyższej postawionych osób. W notatce z zebrania nie pojawiała się żadna wzmianka o Chandler's Court. Sir Adrian jako jedyny z uczestników wiedział, że posiadłość ma się stać nową siedzibą ultratajnej jednostki cybernetycznej, i nie wspomniał o tym ani słowem.

Odbyło się także zebranie przy Downing Street 10, w tym samym pomieszczeniu, w którym Weston i pani premier rozmawiali z amerykańskim ambasadorem. Uczestniczyli w nim pani Marjory Graham, ministrowie spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych i obrony, sekretarz rządu – najwyższy postawiony urzędnik państwowy – oraz dwóch protokolantów. Także tym razem nie wspomniano o Chandler's Court.

Pozostawało więc zebranie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w którym sir Adrian uczestniczył jako gość. Owszem, wspomniano tam raz o Chandler's Court. W spotkaniu brali udział ministrowie spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych, dowódcy GCHQ, MI6, MI5 oraz Połączonej Komisji Wywiadowczej. A także wicesekretarz rządu, ponieważ sekretarz przebywał tamtego dnia za granicą z panią premier.

Sir Adrian postanowił skupić się właśnie na tym zebraniu. Wszyscy mieli dostęp do najtajniejszych informacji. Ale to samo dotyczyło Kima Philby'ego. W historii nie było nieomylnego człowieka. W Firmie mawiano: jeśli chcesz zachować w tajemnicy coś, o czym wiedzą trzy osoby, musisz zastrzelić dwie z nich. Weston rozważył dwa ewentualne motywy.

Szantaż? Popatrzył na siedem twarzy. Czy jedna z tych osób mogła paść ofiarą szantażu? Czy był wśród nich wielbiciel potajemnych orgii? Pedofil?

Czy ktoś w początkach swojej kariery dopuścił się defraudacji? Wszystko było możliwe.

A może łapówka? W czasach zimnej wojny słabością Brytyjczyków była podatność na komunistyczną ideologię. W przypadku Amerykanów zawsze chodziło o pieniądze. Przypomniawszy sobie rodzinę Walkerów, Aldricha Amesa – wszyscy zdradzali dla zysku.

Londyn od wieków jest światowym centrum bankowości. Do tego dochodzą ubezpieczenia, zarządzanie pieniędzmi, międzynarodowe finanse. Londyn wypuszcza macki sięgające tysiąca banków w setce krajów, tkając sieć osobistych przyjaźni i powiązań. Adrian Weston miał kontakty w tym świecie, który skupiał się na paru kilometrach kwadratowych w centrum Londynu, nazywanych The City. Znał kilku byłych szpiegów, którzy po odejściu ze służby znaleźli ciepłe posady w bankowych radach nadzorczych. Postanowił trochę podzwonić. Po paru dniach miał odpowiedź.

Zadawał proste pytania. Czy Rosjanie ostatnio otworzyli nowy rachunek depozytowy – na przykład w którymś z rajów podatkowych, co sugerowałoby podejrzaną transakcję – czy zasilili go znaczną sumą, a następnie szybko opróżnili i zamknęli?

Pracownik jednego z banków handlowych zadzwonił z informacją, że dotarła do niego pewna plotka. Liechtenstein. Bank Vaduz. Niedawna obficie zakrapiana kolacja w Davos i niejaki Herr Ludwig Fritsch, który za wiele mówił.

\* \* \*

W Vaduz nie ma międzynarodowego portu lotniczego. Liechtenstein to małe państwo położone w głębi Alp, które proporcjonalnie do liczby ludności jest najzamożniejsze na świecie. W stolicy znajduje się dwanaście dużych banków, zapewniających swoim klientom pełną dyskrecję. Sir Adrian umówił się telefonicznie na rozmowę z Herr Fritschem. Pomógł mu tytuł szlachecki, który sugerował, że może chodzić o zdeponowanie pieniędzy.

Poleciał do Zurychu w sąsiedniej Szwajcarii i wynajął samochód. Zawsze podróżował tylko z bagażem podręcznym, latał klasą ekonomiczną, a w

paszporcie nie miał tytułu „sir”. Trudno wyzbyć się dawnych przyzwyczajęń. W pracy starał się pozostawać niewidoczny, co wychodziło mu na dobre.

Dzięki nawigacji satelitarnej dotarł do banku godzinę przed czasem, więc wstąpił do kawiarni po drugiej stronie ulicy. Vaduz to niewielkie spokojne miasteczko. Siedząc przy oknie, zobaczył co najwyżej kilkunastu przechodniów. W Vaduz ludzie przemieszczają się samochodami. Bardzo ostrożnie.

W budynku banku poprowadzono go przez hol i zawieziono windą na drugie piętro, do gabinetu Herr Ludwiga Fritscha. Sir Adrian musiał przede wszystkim od razu pozbawić bankiera złudzeń, że przybył tu, by otworzyć lukratywny rachunek.

– To delikatna sprawa – zaznaczył na wstępie.

Fritsch był bardzo grzeczny, ale niezbyt komunikatywny. Odpowiedział, że rzadko zajmuje się innymi sprawami. Popijali wodę źródlaną z kryształowych szklanek.

– Jak mogę panu pomóc, sir Adrianie?

– W moim kraju skradziono bardzo dużą sumę pieniędzy. Jedną z obrabowanych osób jest Jej Królewska Wysokość.

To wstrząsnęło eleganckim Herr Fritschem. W erze komputerów przestępstwa finansowe stanowiły prawdziwą plagę i Londyn nie był na nie odporny. Ale Vaduz nie chciał stać się składnicą złodziejskich łupów – przynajmniej takich, których nielegalne pochodzenie dało się udowodnić. Poza tym sprawa dotycząca brytyjskiej królowej mogła sięgnąć księcia Liechtensteinu Jana Adama II. Sytuacja była poważna.

– Oburzające.

– Oczywiście chodzi o oszustwo finansowe na gigantyczną skalę, w tym pranie brudnych pieniędzy.

– To prawdziwe utrapienie, sir Adrianie. Dotyka wszystkich. Jak zatem mogę pomóc? – Tym razem pytał szczerze.

– Znamy sprawcę. Pracownicy Scotland Yardu tropiący przestępstwa bankowe nie są głupcami.

– Uważa pan, że sprawca mieszka w Liechtensteinie? Boże uchowaj.



– Ależ nie. Jest Rosjaninem. Wiemy, że skradzione pieniądze trafiły do Rosji. To bardzo podejrzany miliarder, jeden ze zbyt licznej grupy, której pozwala się mieszkać w Londynie.

Herr Fritsch ze zrozumieniem pokiwał głową. W tej kwestii byli całkowicie zgodni.

– Wy, Brytyjczycy, jesteście bardzo tolerancyjni, sir Adrianie.

– Może nawet za bardzo.

– Otóż to. Ale jaki to ma związek z Liechtensteinem i bankiem Vaduz?

– W każdej skrzynce jablek może się znaleźć jedna zgniła sztuka. Uważamy, że oszustowi ktoś pomagał. Ktoś wewnątrz skrzynki. Tak naprawdę jesteśmy tego pewni. Ten łotr zażądał bardzo znacznej nagrody finansowej. Wiem, że mogę polegać na pańskiej dyskrecji...

– Ten bank z niej słynie.

– ...kiedy zdradzę panu, że użyliśmy podsłuchów telefonicznych, żeby poznać treść rozmów.

Ludwiga Fritscha nie trzeba było przekonywać. Brytyjczycy udowodnili, że znają się na rzeczy, gdy sir Francis Walsingham, łowca szpiegów pracujący dla królowej Elżbiety I, ocalił życie monarchini dzięki przechwyceniu tajnej korespondencji spiskowców.

– Istnieje możliwość... – ciągnął sir Adrian.

Herr Fritsch wiedział, że to więcej niż możliwość. Cholerni Brytyjczycy mieli dowody, w przeciwnym razie co ten szpieg robiłby w jego gabinecie? A pałac księcia znajdował się w odległości zaledwie kilometra.

– ...że w ostatnim czasie jakaś osoba rosyjskiego pochodzenia otworzyła rachunek depozytowy. Następnie rachunek ten został szybko zasilony dużą sumą. Potem inny człowiek wypłacił wszystkie pieniądze, zapewne gotówką. Bylibyśmy niezmiernie wdzięczni...

Herr Fritsch przeprosił i opuścił gabinet. Kiedy wrócił, trzymał w dłoni cienką teczkę.

– Naradziłem się ze swoimi współpracownikami, sir Adrianie – zaczął. Weston nie dał po sobie niczego poznać, ale wiedział, że to kłamstwo. A zatem grzeczny Herr Fritsch jest częścią oszustwa. To opłacony człowiek. – Miesiąc temu pojawił się tutaj pewien dżentelmen i usiadł na tym samym miejscu co

pan. Przyjechał z rosyjskiej ambasady w szwajcarskim Bernie. Otworzył rachunek depozytowy, wpłacając minimalną sumę. Tydzień później dokonano na ten rachunek internetowego przelewu w euro kwoty o równowartości pięciu milionów dolarów. Nie było danych zleceniodawcy.

– Niezła sumka. A co z beneficjentem?

– Tydzień później pojawił się kolejny mężczyzna. Nie podał nazwiska. Nie było to konieczne. Zgodnie z warunkami rachunku, aby pobrać pieniądze, wystarczyło podać określony ciąg liczb i liter, a ten człowiek to zrobił. Ale z całą pewnością był to pański rodak.

– Wypłacił całą sumę w gotówce?

– Owszem. Mogę to panu zdradzić tylko pod warunkiem, że ta informacja nie wyjdzie poza ten gabinet.

– Ma pan moje słowo, Herr Fritsch. Ale skoro przeszedł przez hol, kamera monitoringu, którą tam widziałem, z pewnością go zarejestrowała.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy, sir Adrianie.

– Staram się, Herr Fritsch.

– Rozumie pan, że nie mogę pozwolić, by pan zabrał tę teczkę. Ale gdyby chciał pan do niej zajrzeć, nie mógłbym panu przeszkodzić.

Herr Fritsch wstał, podszedł do okna i odwrócił się, by popatrzeć na leżące w dole miasteczko. Adrian Weston otworzył teczkę. Był w niej wydruk zdjęcia, które ukazywało hol i przechodzącego nim mężczyznę. Przyjrzał się, zamknął teczkę i odsunął ją od siebie. Herr Fritsch wrócił na swoje miejsce.

– Herr Fritsch, ja i moja ojczyzna jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni. Zapewniam pana, że nikt nie dowie się o tym, co tutaj dziś widziałem. Podejmiemy odpowiednie kroki, ale nikt nie powiąże tej sprawy z pańskim bankiem.

Uścisnęli sobie dłonie z udawanym koleżeństwem. Wezwano człowieka, który odprowadził Brytyjczyka do wyjścia. Weston podniósł wzrok na kamerę, która sfotografowała mężczyznę z pękatą torbą podróżną, zawierającą pięć milionów euro w banknotach wysokich nominałów.

Wynajęty samochód czekał na bankowym parkingu. Sir Adrian ruszył w długą podróż na lotnisko w Zurychu. Herr Ludwig Fritsch, który obserwował go ze swojego gabinetu na drugim piętrze, sięgnął po telefon.

\* \* \*

W drodze sir Adrian rozmyślał o tym, co zobaczył. Zdjęcie zrobione w holu, w którym sam dopiero co był, przedstawiało wysokiego rangą urzędnika państwowego w średnim wieku. Tej twarzy nie mógł pomylić z żadną inną. To był Julian Marshall, wicesekretarz rządu w Londynie.

Sir Adrian już dawno stwierdził, że winowajca musiał opuścić Londyn i udać się do Vaduz, żeby odebrać swoje judaszowe srebrniki. Ale to przypominało szukanie igły w stogu siana. Praktycznie każdy z wysokich urzędników miał dom na wsi, który regularnie odwiedzał w weekendy. Każdy mógł się niepostrzeżenie wymknąć, wsiąść na pokład prywatnego odrzutowca, odbyć podróż w obie strony i dyskretnie wrócić. Dotychczasowe dochodzenie nie przyniosło żadnych rezultatów. Znów przywołał w myślach to zdjęcie. Coś było z nim nie w porządku, jakiś drobny szczegół. W końcu go dostrzegł.

Rosjanin w Jasieniewie, który sfabrykował zdjęcie, spisał się doskonale. Buty zapewne pochodziły ze sklepu Lobb's w St James's, a pięknie skrojony garnitur niewątpliwie zakupiono przy Savile Row. Twarz dodana do tułowia za pomocą Photoshopa należała do urzędnika administracji państwowej przewodzącego zebraniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego, na którym wspomniano o Chandler's Court.

Twórca tego obrazu znał się na rzeczy, ale popełnił jeden błąd. Spreparowana postać nosiła niewłaściwy krawat.

# Rozdział dziewiąty

Dla większości mężczyzn na świecie krawat, jeśli w ogóle go noszą, to tylko pasek materiału, który zakłada się pod kołnierzyk, zawiązuje z przodu i opuszcza na pierś. Zdobiający go wzór lub motyw jest wyłącznie kwestią gustu. Ale w Anglii może on być czymś więcej.

Ułożenie i kolory pasków lub wzór wpleciony w materiał mogą od razu wskazać, do jakiej szkoły chodził właściciel krawata, w której jednostce wojskowej służył albo do jakiego należy klubu. To rodzaj kodu, klucza identyfikacyjnego.

Julian Marshall niewątpliwie uczęszczał do Eton College, jednej z najbardziej ekskluzywnych prywatnych uczelni. Jej uczniowie mają prawo nosić krawat Old Etonian. Tak naprawdę krawaty są trzy: standardowy OE, z ukośnymi błękitnymi paskami na czarnym tle, oraz dwa jeszcze bardziej ekskluzywne, które świadczą o osiągnięciach sportowych.

Pierwszym z nich jest krawat Eton Ramblers: w kolorze magenta, z fioletowymi i zielonymi paskami oraz cienkimi złotymi prążkami, które tak ze sobą kontrastują, że musi to być zaplanowane. Przysługuje on osobom, które reprezentowały swoją uczelnię w krykiecie. I taki właśnie krawat miała postać na zdjęciu.

Drugim krawatem jest Eton Vikings w ciemnoczerwone i czarne paski z cienkimi niebieskimi prążkami, przeznaczony dla wioślarzy. Obie te dyscypliny sportowe uprawia się w semestrze letnim, więc wzajemnie się wykluczają.

Sir Adrian przypomniał sobie, jak wiele lat temu stał na brzegu Tamizy w Henley, gdzie spędzał weekend z kolegą z MI6, który miał domek nad rzeką,

i patrzył, jak Eton zdobywa Puchar Księżniczki Elżbiety. W ósemce z Eton wiosłował bardzo młody Julian Marshall.

Zanim Weston dotarł na lotnisko w Zurychu, uświadomił sobie, że szukał w niewłaściwym miejscu. Zakładał, że judaszem jest jeden z wysokich rangą urzędników. To chciał mu wmówić Kryłow i właśnie dlatego zadał sobie trud, by przekupić Herr Fritscha, który miał opowiedzieć o fikcyjnym rachunku bankowym i fikcyjnej wizycie brytyjskiego urzędnika państwowego. Sir Adrian niemal dał się zwieść. Zapomniał, że w sercu brytyjskiego systemu działa jeszcze jedna kategoria ludzi – niewidoczni podwładni.

Jako nałogowy obserwator zwrócił uwagę na to, że osoby, które uważają się za wybitne i ważne, często nie dostrzegają całej armii dobrych i lojalnych ludzi napędzających maszynę handlu, życia zawodowego i polityki: kierowców, sekretarek, protokolantów, kopistów, archiwistów, tłumaczy, a nawet kelnerów w białych marynarkach.

Pojawiają się i znikają, czekają i usługują, przeważnie całkowicie ignorowani. Ale nie są drewnianymi posągami. Mają oczy i uszy oraz mózgi, dzięki czemu mogą zapamiętywać, dedukować, a także czuć się urażeni, pomijani i lekceważeni przez aroganckich snobów.

Nie było wątpliwości, że nazwa Chandler's Court została przekazana Rosjanom. Ale który z podwładnych zdradził? Co do przyczyn Weston wciąż podejrzewał łapówkę, i to znacznie skromniejszą niż pięć milionów dolarów. Tylko gdzie w stogu Whitehall należało szukać tej niewidzialnej igły? W czasach swojej kariery w MI6 również musiał ujawnić przeciek i doskonale pamiętał podstęp, jaki wtedy zastosował, by wywabić kryjącego się w ciemności zdrajcę na światło dnia. Teraz musiał to powtórzyć.

Podczas lotu do Londynu wrócił myślami do tego jedyne go zebrania, na którym wspomniano o Chandler's Court. Ktoś z obecnych usłyszał to i pewnie zanotował nazwę miejsca, gdzie ulokowano młodzieńca nazywanego Foxem.

Kto uczestniczył w tym zebraniu? No cóż, dyrektorzy czterech służb wywiadowczych: MI6, MI5, GCHQ i Połączonej Komisji Wywiadowczej. Wszyscy mieli dostęp do najtajniejszych informacji. Ale kto siedział z tyłu, dyskretnie notując?

Byli tam również ministrowie spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych, którym towarzyszyły niewielkie grupy podwładnych.

Minęły cztery dni od nalotu na Chandler's Court. Kryłow na pewno już zrozumiał, że zbrojny atak okazał się katastrofą. Rosjanie najwyraźniej nie docenili Westona. Być może uda się ich ponownie przechytrzyć. Logika nakazywała, by przeniósł gdzieś swojego genialnego hakera. Dlatego zamierzał postąpić odwrotnie.

Po strzelaninie naradził się z doktorem Hendricksem. Komputerowy czarodziej z Cheltenham błagał go, by nie przenosił tej rodziny, jeśli to tylko możliwe. W ciągu tych kilku tygodni uczony stał się dla nastolatka niczym przybrany ojciec. Każde przenosiny lub zaburzenia rytmu życia wywoływały u Luke'a Jenningsa psychiczny kryzys. A przecież właśnie otrzymał zadanie spenetrowania kolejnej bazy danych.

Podczas jednej ze swoich wizyt sir Adrian z zadowoleniem zauważył tę rozwijającą się relację. Doktor Hendricks poświęcił całe życie komputerom i pod względem wiedzy technicznej znacznie przewyższał chłopca. Jednak ani on, ani nikt inny z GCHQ nie miał szóstego zmysłu Luke'a, który potrafił intuicyjnie przedrzeć się przez niewyobrażalnie złożone zabezpieczenia dostępu do tajemnic światowych potęg. To mogło wzbudzić niechęć doktora Hendricksa. Inni zapewne tak by się czuli, ale Jeremy Hendricks był człowiekiem wielkodusznym i po ojcowsku traktował młodego geniusza, nad którym sprawował pieczę. A Luke Jennings pozytywnie na to reagował. Codziennie czuł wsparcie, na jakie nigdy nie mógł liczyć ze strony ojca. Odrzucony, dotychczas żył w swoim własnym świecie. Matka osłaniała jego kruchą naturę niczym kwoka chroniąca kurczęta, ale nie mogła go wspierać, ponieważ nie rozumiała jego świata, podobnie jak sir Adrian i wszyscy szkolni nauczyciele chłopca. Dopiero z doktorem Hendricksem Luke znalazł wspólny język. Dlatego sir Adrian liczył się ze zdaniem doktora. Skoro przeniesienie bazy z Chandler's Court gdzieś indziej wpędziłoby nastolatka w depresję, należało temu zapobiec. Luke Jennings musiał pozostać na miejscu.

Pamiętając o radzie Hendricksa, sir Adrian zaczął obmyślać sposób na zmylenie Kryłowa. Uda, że przenosi chłopaka, i postara się, by wszyscy o tym usłyszeli. Wybierze cztery cele. Ale najpierw musi sprawdzić kilka rzeczy.

Zaczął od swojej długiej listy kontaktów. Szukał czterech wiejskich posiadłości.

W czasach, gdy miał dwie dubeltówki i przyjmował zaproszenia, by zapolować na bażanty i przepiórki, poznał kilkunastu właścicieli takich nieruchomości. Zadzwoił do czterech i poprosił ich o przysługę. Wszyscy się zgodzili. Jeden nawet stwierdził, że „to może być niezła zabawa”. Można by i tak powiedzieć, ale sir Adrian wątpił, czy tę opinię podzielały Nocne Wilki leżące w kostnicy w hrabstwie Hereford.

Kolejnym wyzwaniem była ponowna wizyta u dyrektora Sił Specjalnych.

\* \* \*

Generał był grzeczny, ale nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

– Dowódca SAS nie jest zadowolony – oświadczył. – Sądził, że jego ludzie uczestniczą w misji szkoleniowej, która polega na ochronie trzyosobowej rodziny oraz trzech jajogłowych. Tymczasem musieli zrobić powtórkę ze Stalingradu.

– Tam siły były wyrównane – odparł sir Adrian. – Starcie w Chandler's Court było wybitnie jednostronne. Ale proszę przekazać dowództwu moje przeprosiny. Nie miałem pojęcia, że zabójcy namierzili cel. Gdybym o tym wiedział, na pewno by go tam nie zastali. Dom byłby pusty. Nasz dalszy plan wygląda zupełnie inaczej.

Przedstawił swoją propozycję. Dyrektor ją przemyślał.

– Polecam SRR. Oni także stacjonują w hrabstwie Hereford, dokładnie w Credenhill. Proponuję po dwóch ludzi na dom. Mogą na zmianę stać na warcie.

SRR, Specjalny Pułk Zwiadowczy, jest, obok SAS i SBS, jedną z trzech bojowych jednostek brytyjskich służb specjalnych. Słynie z niewidoczności i ukradkowego przenikania za linie wroga oraz specjalizuje się w dyskretnej ochronie osobistej. Jego członkowie zazwyczaj unikają konfrontacji, lecz w razie potrzeby potrafią być równie śmiercionośni jak żołnierze z pozostałych dwóch jednostek.

Dyrektor odbył kolejną szyfrowaną rozmowę z dowódcą SRR, przebywającym w bazie w Credenhill. Tym razem także powołał się na słowa pani premier, która prosiła o wsparcie dla swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa.

W ciągu doby cztery pary niespodziewanych gości przybyły do wskazanych rezydencji – dworu, folwarku i dwóch farm – gdzie zostali serdecznie powitani.

Wszystkie domy imponowały rozmiarami i znajdowały się w odległej wiejskiej okolicy, gdzie łatwo zauważyć włóczącego się nieznajomego, a tym bardziej cudzoziemca na zwiadach. Żołnierze rozlokowali się w swoich kwaterach, po czym wyruszyli na patrol i wybrali punkty obserwacyjne. We wszystkich przypadkach zdecydowali się na wysoko położone orle gniazda, z których mieli dobry widok na cały teren posiadłości. Potem stanęli na straży.

Sir Adrian wybrał cztery osoby spośród uczestników kluczowego zebrania Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Byli to całkowicie niewinny Julian Marshall, minister spraw wewnętrznych, minister spraw zagranicznych oraz przewodniczący Połączonej Komisji Wywiadowczej. Znał ich wszystkich, chociaż obu ministrów nieco gorzej.

Napisał do każdego z nich prywatny list, zaznaczając na kopercie, że wolno go otworzyć wyłącznie adresatowi, a później z treścią listu może się zapoznać jeszcze tylko jedna osoba, zaufany sekretarz, który na co dzień zajmuje się tajną korespondencją.

Wyjaśnił, że w Chandler's Court doszło do incydentu, w związku z czym uznał, że należy przenieść młodego hakera, stanowiącego serce operacji Troja, do nowej kryjówki. Następnie ujawnił jej położenie, ale w każdym liście wymienił inną lokalizację. Na własne potrzeby oznaczył je literami A, B, C i D.

Potrafił być cierpliwy. Misje szpiegowskie często wymagają czekania, a on wykonywał je przez całe życie. Każdy wędkarz zna to uczucie: godziny odpędzania snu i obserwowania spławika, ucho bacznie nasłuchujące dźwięku dzwoneczka na końcu wędki. Kiedy zastawia się pułapkę, wygląda to podobnie, tyle że ciągle zdarzają się fałszywe alarmy. Każdym telefonem należy się zająć, choć zwykle to nie ten, na który tak naprawdę czeka konstruktor pułapki.



Nie musiał czekać długo. Zgodnie z ustaleniami zadzwonił dowódca SAS z Credenhill.

– Moi chłopcy donieśli, że są obserwowani. Ktoś patroluje lasy i patrzy na dom przez polową lornetkę. Oczywiście nie widział moich ludzi. Mamy przechwycić intruza? Wystarczy słowo.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Mam to, czego potrzebuję. Myślę, że intruz niedługo zniknie.

Pułkownik mówił o domu C, który znajdował się w Persimmon Grange w hrabstwie Wilt. Wiele lat temu, podczas jednodniowego polowania wraz z siódmką innych myśliwych, sir Adrian ustrzelił tam pięćdziesiąt bażantów. Po przejściu na emeryturę były ambasador w kraju zza żelaznej kurtyny osiadł w tej rezydencji, razem z cierpiącą na artretyzm żoną i niezbyt urodziwą córką.

O Persimmon Grange wspomniano w liście do ministra spraw wewnętrznych. Weston musiał z nim porozmawiać.

\* \* \*

Ucieli sobie pogawędkę, gdy minister dokończył lunch w klubie Brooks's. Przenieśli się do biblioteki, gdzie ze ścian spoglądały na nich portrety członków Towarzystwa Dyletantów.

– Muszę się dowiedzieć, panie ministrze, kto widział ten list po tym, jak pan go przeczytał.

Mężczyzna, młodszy od Westona o dwadzieścia lat, był jednym z ambitnych młodych wilków, którym premier powierzyła wysokie stanowiska i którzy dowodzili, że pomimo swojego wieku zasługują na nie.

To nie była długa rozmowa. Nie musieli marnować czasu.

– Po tym, jak go przeczytałem, został złożony w archiwum – odrzekł minister. – Nie wykonano kopii, a oryginał trafił pod klucz. Zajął się tym mój osobisty sekretarz, Robert Thompson.

Jeśli nie doszło do jakiejś katastrofy, sir Adrian właśnie namierzył zdrajcę.

\* \* \*

Robert Thompson był urzędnikiem państwowym i otrzymywał urzędnicze wynagrodzenie. Mieszkał nie w Chelsea, Knightsbridge czy Belgravii, ale na południe od rzeki, w Battersea. Według akt był wdowcem i miał dziesięcioletnią córkę. Sir Adrian zapukał do jego drzwi tuż po dwudziestej. Otworzył mu mężczyzna, którego teczkę przestudiował.

Czterdziestoletni Thompson sprawiał wrażenie zmęczonego i spiętego. W mieszkaniu nie było córki. Możliwe, że Jessica nocowała u koleżanki. Kiedy tylko zobaczył sir Adriana, w jego oczach coś rozbłysło. Nie zaskoczenie ani poczucie winy, tylko rezygnacja. Czymkolwiek się zajmował, zdał sobie sprawę, że to już koniec.

Zachowali pozory uprzejmości. Thompson zaprosił Adriana Westona do salonu. Nie usiedli. Oni również nie musieli marnować czasu.

– Dlaczego pan to zrobił? Za mało panu płaciliśmy?

Thompson opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

– Jessica – wykrztusił.

Aha, córka. Może chodziło o lepszą szkołę. Bardziej egzotyczne wakacje. Tropiki. Nadążanie za bogatszymi koleżankami. Zauważył na stoliku zdjęcie w ramce. Nastolatka: piegi, kucyki, ufny uśmiech. Córeczka tatusia.

Ramiona Thompsona zaczęły drżeć. Sir Adrian się odwrócił. Zdrajca szlochał jak dziecko, a on nie lubił płaczących mężczyzn. Wychował się w wojskowej tradycji i w czasach, w których było to niedopuszczalne.

W zwycięstwie skromność. W cierpieniu spokój. W porażce godność pod ostrzałem. Jednak prawie żadnych łez. Winston Churchill często płakał, ale on był szczególnie pod wieloma względami.

Sir Adrian dwukrotnie widział dorosłych mężczyzn, którzy zalewali się łzami. Pierwszym był pewien agent w NRD, który przedostał się przez Checkpoint Charlie na Zachód i nie posiadał się ze szczęścia, że żyje i jest wolny. Drugim był jego własny syn, gdy stał na sali poporodowej i wpatrywał się w pomarszczoną i oburzoną buzię swojego pierworodnego, jedyne wnuka sir Adriana, a obecnie studenta Cambridge. Ale zdrajca złapany na gorącym uczynku? Niech sobie płacze. Lecz nagle wszystko się zmieniło.

– Porwali ją – wyszlochał mężczyzna. – W drodze ze szkoły. Ktoś rozmawiał ze mną przez telefon. Groził, że ją zgwałcą, uduszą... jeśli nie...

Po godzinie sir Adrian znalazł wszystkie szczegóły. Dziecko samo wracało do domu po próbie chóru. Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Jedynym świadkiem była koleżanka, która widziała to z odległości pięćdziesięciu metrów. Jessica wsiadła do samochodu – na wpół wciągnięta, na wpół wepchnięta przez człowieka stojącego na chodniku. Auto odjechało.

Potem telefon. A zatem znali jego numer komórki, ale pewnie to dziewczynka im go podała. Zwraçała się do taty specjalnym słowem. Dzwoniący również je znał.

Co to był za głos? Ten ktoś mówił płynnie po angielsku, ale z akcentem. Rosyjskim? Możliwe. Numer zapisał się w telefonie Thompsona, choć pewnie była to jednorazowa komórka, która już dawno wyłądownała w Tamizie.

Sir Adrian przekazał załamanemu mężczyźnie ostatnie polecenie. Jak tylko ten człowiek znów zadzwoni, Thompson miał mu powiedzieć, że wysłano kolejny list. Weston zmienił zdanie. Młodzieniec zostanie przeniesiony, ale do obozu wojskowego, a nie do prywatnego domu.

\* \* \*

Wszedł z mieszkania Thompsona w Battersea i pieszo ruszył do domu, wzdłuż Tamizy, do Whitehall i Admiralty Arch. Przez całe życie starał się unikać wpadania w gniew. Złość mąci rozsadek, burzy logikę i zakłóca jasność widzenia, a gdy sytuacja przybiera zły obrót, inteligentny człowiek potrzebuje tych wszystkich trzech rzeczy. Ale teraz był rozgniewany.

Zdarzyło mu się tracić agentów i tęsknił za towarzyszymi, którzy już nigdy nie wrócą do domu. Bywał w surowych, bezlitosnych miejscach, ale nawet tam obowiązywały pewne zasady. Dzieci były nietykalne. Teraz Moskwa znów postanowiła złamać wszelkie reguły gry, tak jak w przypadku zamachu na emerytowanego pułkownika Skripala.

Adrian Weston nie miał złudzeń co do szpiegowskiej profesji, której poświęcił większość życia. Wiedział, że ma ona także ciemną stronę. Wielokrotnie kładł na szali swoją wolność i swoje życie, ponieważ doświadczenie nauczyło go, że w niedoskonałym świecie konieczne jest, by ci, którzy są bezpieczni i wolni, mogli tacy pozostać. Wierzył w swoją ojczyznę

i stosowane przez nią standardy. Wierzył, że opierają się na przyzwoitości, ale zarazem zdawał sobie sprawę, że współcześnie tylko nieliczna mniejszość wciąż jej przestrzega.

Przez lata walczył głównie z KGB, a od czasu rozpadu Związku Radzieckiego z jego następcami. Wiedział, że normą po obu stronach są morderstwa, tortury i okrucieństwo. Z całych sił bronił się przed pokusą chodzenia na skróty dla uzyskiwania lepszych wyników. Z żalem uświadamiał sobie, że niektórzy z jego sojuszników nie mają takich oporów.

Zawsze starał się raczej oszukać wroga, przechytrzyć go i wymanewrować. Owszem, stosował brudne sztuczki, ale miał zasady. Nakłaniał wrogów do przestępstwa, do zdrady własnej ojczyzny i szpiegowania na rzecz Zachodu. Kiedy było trzeba, uciekał się do szantażu. Szantażował złodziei, cudzołóżników, zboczeńców na najwyższych szczeblach władzy. Było to odrażające, ale czasami konieczne, ponieważ jego wróg, od Stalina po ISIS, był znacznie okrutniejszy i nie mógł zatriumfować. Weston wiedział, że człowiek w Jasieniewie, któremu władca Kremla nakazał pomścić upokorzenie *Nachimowa*, podjął działania, do których on sam nigdy nie przyłożyłby ręki.

Ale to była inna sytuacja. Porwano dziecko i zagrożono grupowym gwałtem, by zaszantażować urzędnika państwowego i zmusić go do zdrady. Kryłow korzystał z usług wynajętych zabójców, którzy nie byli wiele lepsi od zwierząt. Nie obędzie się bez odwetu. Nie obędzie się bez rozlewu krwi. Zamierzał o to zadbać.

# Rozdział dziesiąty

Para, która w środku nocy obściskowała się w samochodzie zaparkowanym w zatoczce, nie zauważyła, jak obok nich przemknął sedan, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość.

Ale odskoczyli od siebie z okrzykiem przerażenia, gdy sto metrów dalej sedan wypadł z drogi i wbił się w drzewo. Patrzyli przez przednią szybę, jak pierwsze płomienie liżą roztrzaskany wrak.

Kiedy pożar rozświetlił ciemność, ujrzeli na tle ognia pojedynczą sylwetkę. Potem zapłonęło paliwo w baku i samochód wybuchł. Młodzieniec czym prędzej zadzwonił pod numer alarmowy.

Wkrótce pojawiły się dwa wozy strażackie oraz karetka. Strażacy ugasili płonące auto białą pianą, ale sanitariusze nie mogli nic zrobić dla skulonej, pochłoniętej przez ogień postaci na przednim siedzeniu. Zabrano szczątki nieszczęśnika, który wzbogacił statystykę wypadków na wiejskich drogach.

Pracownicy kostnicy uporali się z nieprzyjemnym zadaniem identyfikacji zwłok. Tylne kieszenie spodni ofiary były częściowo osłonięte przed ogniem. Znalaziono w nich mniej lub bardziej uszkodzone karty kredytowe oraz prawo jazdy. Pechowcem lubiącym za dużą prędkość był Robert Thompson, urzędnik państwowy, który mieszkał i pracował w Londynie.

Bez dyskretnych nacisków wypadek mógłby nie zainteresować mediów, jednak w kolejnych dwóch dniach napisały o nim wszystkie gazety. Mówiono o tej sprawie także w radiu i telewizji, poświęcając jej zaskakująco dużo uwagi. Takie dyskretny naciski, kształtujące obraz brytyjskiego życia publicznego, są niczym góra lodowa, która odsłania tylko swój wierzchołek.

\* \* \*

Po ukazaniu się porannych gazet ktoś sięgnął po telefon. Sir Adrian wcześniej zagwarantował sobie pełną współpracę MI5 oraz GCHQ w Cheltenham. W MI5 dostarczono mu numery telefonów, co z pewnością zdziwiłoby ich właścicieli, przekonanych, że nie da się ich namierzyć.

Thames House, siedziba główna służb bezpieczeństwa, leży nad rzeką w odległości zaledwie stu metrów od matki wszystkich parlamentów, ale na jej progu kończy się demokracja. Masowe wydalenia rosyjskich szpiegów udających dyplomatów, do jakich doszło po bezczelnym użyciu nowiczoka w Salisbury, wywołały chaos w dotychczas prężnie działającym szpiegowskim systemie, który Moskwa zbudowała w Londynie.

Zerwane powiązania, zaprzepaszczone operacje, zakończone znajomości. Nowo przybyły Stiepan Kukuszkin dopiero niedawno został rezydentem w rosyjskiej ambasadzie i potrzebował więcej czasu, by się zadomowić. To samo dotyczyło jego nowego zastępcy, Olega Politowskiego, który udawał rzecznika prasowego. Obaj uważali, że ich telefony są bezpieczne. Nie były; założono w nich podsłuchy.

Poza ambasadą działali kontraktowi śludzy Kryłowa, wśród nich Władimir Winogradow, szef gangu i zawodowy przestępca, a zarazem oligarcha i miliarder, który przeprowadził się do Londynu, kupił klub piłkarski i zamieszkał w wartym dziesięć milionów funtów apartamencie w Belgravii. To właśnie on sięgnął po telefon, a GCHQ postarało się o założenie podsłuchu. Sir Adrian nie był zaskoczony. Wiedział, że pod maską dobrodusznego wielbiciela piłki nożnej kryje się paskudny człowiek.

W Rosji za czasów Jelcyna Winogradow należał do świata przestępczego i otrzymywał wyroki za wymuszanie haraczy, oszustwa, gwałty, zabójstwa i napady z bronią w ręku. Siedział w moskiewskim więzieniu Lefortowo. Kiedy rozpoczęło się grabienie naturalnych bogactw Rosji, był na wolności i zarobił miliony dolarów. Dzięki pomocy skorumpowanych biurokratów zdołał kupić za bezcen niewielkie pole naftowe na Syberii. To uczyniło go miliarderem. Potem związał swój los z rosnącym w siłę Woźdiem. W tajemniczy sposób wymazano z akt jego kryminalną przeszłość. Jako szanowany obywatel wyjechał do Londynu i stał się hojnym gospodarzem.

Chociaż Winogradow wierzył, że jego telefon jest bezpieczny, w swoich rozmowach i tak zachowywał ostrożność. Zadzwoił do niesławnego albańskiego gangstera, który działał w południowym Londynie, gdzie kiedyś rządził gang Richardsona, rywale braci Krayów. Bujar Zogu już kiedyś dla niego pracował. Zawsze na zlecenie i zawsze z użyciem przemocy. Sir Adrian po godzinie miał przed sobą transkrypt ich rozmowy.

Winogradow wydał proste rozkazy. Operacja zakończona, odwołana. Przekaż wiadomość swoim przyjaciołom. Nie kontaktuj się z nimi przez telefon. Osobiście do nich pojedź. Pozbądź się wszystkich dowodów – dosłownie wszystkich – nie zostawiaj żadnych śladów i wróć do domu.

Liczyła się każda chwila. Kiedy Zogu dotrze do miejsca, w którym jego zbiry przetrzymują dziewczynkę, ona zginie.

\* \* \*

Agencja rejestracji kierowców i pojazdów w Swansea po kilku sekundach dostarczyła dane samochodu Zogu. Skromny granatowy sedan volvo o numerze takim a takim. Weston zatelefonował następnie do komisarz Policji Metropolitalnej, Lucindy Berry.

– Lucy, możesz mi pomóc?

– Jeśli to legalne i możliwe. O co chodzi?

– Pewien albański gangster właśnie wyjeżdża ze swojej bazy w południowym Londynie. Cel podróży nieznany. – Podał dane samochodu. – Mam powody podejrzewać, że kiedy dotrze na miejsce, zginie dziecko. Możemy go przechwycić?

– Dobry Boże, musimy.

\* \* \*

Londyn otacza długa na sto osiemdziesiąt osiem kilometrów obwodnica M25. Stale patrolują ją radiowozy, ale przede wszystkim pozostaje ona pod kontrolą tysięcy kamer pomiaru prędkości HADECS-3, które są połączone ze wspólną bazą i sterowane komputerowo. Jedna z nich zarejestrowała

poszukiwane volvo, jadące południową nitką autostrady w stronę tunelu Dartford pod Tamizą.

Znajdują się tam budki poboru opłat i kamery. Odnotowano przejazd volvo tunelem na północną stronę rzeki. Szesnaście kilometrów dalej z wjazdu numer 29 wyłonił się radiowóz i zaczął podążać za namierzonym celem. Policyjne auto miało się wycofać na następnym zjeździe.

Bujar Zogu zobaczył w lusterku wstecznym radiowóz, który jednak opuścił autostradę zjazdem numer 28. Wtedy policyjny śmigłowiec odnalazł mknące w dole niebieskie volvo. Towarzyszył mu, dopóki nie wyjechało z hrabstwa Essex, wciąż poruszając się obwodnicą.

Nieoznakowany radiowóz pilnował Bujara aż do zjazdu numer 16, gdzie Albańczyk skręcił w drogę M40 i skierował się na północny zachód, w stronę środkowej Anglii i Walii. Wtedy przejęła go policja terytorialna Thames Valley, a potem kolejny śmigłowiec.

Po dwóch godzinach jazdy stało się jasne, że Albańczyk zmierza do Walii, a dokładnie do północnej części kraju, jednego z najmniej zaludnionych rejonów Wielkiej Brytanii.

Najprościej byłoby przechwycić Zogu i go zatrzymać. Ale Scotland Yard ściągnął jego akta, z których wynikało, że to sprytny przeciwnik. Albańczyk przez całą drogę nie przekraczał prędkości, żeby policja nie miała powodu go zatrzymać, a władze wciąż nie wiedziały, dokąd się kieruje, w jakim odizolowanym miejscu on i jego ekipa ukryli porwaną dziewczynkę. Możliwe, że zapisał cel podróży w nawigacji, lecz mógłby go wykasować, widząc zbliżających się funkcjonariuszy. Nawet miesiące przesłuchań nie wydobyłyby z niego tej informacji.

Sir Adrian nie miał miesięcy. Na szczęście Bujar Zogu posłusznie wykonywał rozkazy. Nie próbował dzwonić do swoich ludzi, by ich uprzedzić, że już jedzie. Tak czy owak, trzeba było go zatrzymać, zanim dotrze do celu. Możliwe, że pozostało na to tylko kilka chwil. Sir Adrian wezwał na pomoc Specjalny Pułk Zwiadowczy z Credenhill.

Późnym popołudniem Albańczyk zjechał na węższe i mniej uczęszczane drogi. Podążał szosą A5 w stronę Bangor. Właśnie z niej zjeżdżał, kierując się wskazaniem nawigacji i zmierzając ku wrzosowiskom Denbigh, gdy pojawił



się za nim śmigłowiec SRR. Lecieli wysoko, poza polem widzenia Zogu. On ich nie widział, ale sześciu żołnierzy na pokładzie nie spuszczało z niego wzroku.

Żołnierzom przekazano tylko, że porwana dziewczynka jest przetrzymywana wbrew swojej woli, a jeśli mężczyzna w niebieskim volvo dotrze do kryjówki, dziecko zostanie zamordowane. To wystarczyło. Żołnierze bardzo nie lubią, gdy ktoś grozi dzieciom.

\* \* \*

Wrzosowiska Denbigh to pustkowie, na którym znajduje się tylko kilka rozproszonych gospodarstw. Volvo skręciło w wąski szlak prowadzący do jednego z nich, oddalonego o trzy kilometry. Przy tej drodze nie było żadnych innych zabudowań.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na wysokości trzystu metrów pilot za sterami dauphina, który ściągnięto z oddziału lotniczego Połączonych Sił Specjalnych, zobaczył, że szlak urywa się tuż za gospodarstwem. Sprawiało wrażenie opuszczonego, na podwórzu stała tylko jedna furgonetka. Gdyby ktoś tutaj pracował, pojazdów byłoby więcej.

Bujar Zogu dostrzegł przez przednią szybę nieoznakowany śmigłowiec, który przeleciał nad nim, kierując się w tę samą stronę co on, a następnie zniknął za wzniesieniem. Nie widział jednak, że maszyna opadła w głąb doliny i wyskoczyło z niej dwóch ludzi w maskujących mundurach, z pistoletami maszynowymi w dłoniach.

Zobaczył ich dopiero, gdy znalazł się na szczycie wzniesienia. Śmigłowiec już odleciał, ale żołnierze stali na drodze. Nie zauważył, że mają tłumiki na lufach swoich MP5. Nie mógł natomiast nie zauważyć, że machają rękami, by go zatrzymać. Zwolnił i stanął. Mężczyźni podeszli do jego auta z dwóch stron. Na siedzeniu obok miał złożoną kurtkę, a pod nią pistolet.

Nie powinien po niego sięgać. To był głupi błąd. Okazało się, że jego ostatni. Żołnierze działali w ramach obrony koniecznej. Czekający w gospodarstwie kompani Bujara Zogu nie otrzymali wiadomości od Rosjan.

\* \* \*

Jeden z żołnierzy stojących przy podziurawionym pociskami samochodzie przekazał krótki komunikat czterem towarzyszom w dolinie.

Oni również przemieszczali się pieszo, zmierzając w stronę gospodarstwa. Zanim znalazło się w ich polu widzenia, zniknęli w wysokich do pasa wrzosach.

Ważną umiejętnością żołnierzy SRR jest „zwiad blisko celu”. Polega on na takim podkradaniu się do budynku, żeby jego mieszkańcy niczego nie zauważyli. Wykorzystując osłonę szop i zabudowań gospodarczych, w zapadającej ciemności sześciu mężczyzn niepostrzeżenie zbliżyło się do okien.

Jedna z szyb była strzaskana, a okno zabite deskami, między którymi ziały szczeliny. Żołnierz zajrzał do środka.

– Trzech ludzi – szepnął do mikrofonu w klapie munduru. Usłyszała go pozostała piątka. – Na parterze. W salonie połączonym z kuchnią. Jedzą. Wszyscy uzbrojeni.

Kolejną umiejętnością SRR jest tak zwana „metoda wejścia”. Nie było potrzeby dalej się skradać. Żołnierzy czekała wymiana ognia. Jeden podszedł do drzwi wejściowych i zdecydowanie zapukał, po czym się odsunął.

Trzej jedzący zerwali się od stołu, pokrzykując coś po albańsku. Po chwili cztery pociski przebiły drzwi od wewnątrz. Teraz żołnierze mieli wolną rękę. Dotychczas niewidoczne postacie pojawiły się we wszystkich oknach. Dwaj porywacze, którzy wciąż stali przy stole, nie mieli szansy strzelić ani się poddać. Trzymali broń i to wystarczyło. Drzwi wejściowe wypadły z ram i trzeci Albańczyk zginął w przedpokoju.

W ciągu kilku sekund sprawdzono parter, który składał się z czterech niewielkich pomieszczeń. Było w nich ledwie kilka mebli, a teraz także trzy cuchnące ciała, z których wyciekała czerwona ciecz. Dowódca oddziału wbiegł na górę. Dwa pokoje, bez łazienki. Gwałtownie otworzył drzwi jednego z nich. Smród niemytych ciał. Trzy zatechłe śpiwory. Żołnierz nie wiedział, ilu Albańczyków pilnowało dziewczynki. Możliwe, że czwarty przystawia jej pistolet do głowy. Ostrożnie otworzył drzwi po przeciwnej stronie półpiętra, trzymając MP5 w pogotowiu.

# Rozdział jedenasty

Siedziała na krześle w kącie, sama. Pokój był mały i ciemny. Z sufitu zwisała goła żarówka niewielkiej mocy.

Cienki śpiwór i śmierdzące wiadro służące za toaletę. Miska z zaschniętym jedzeniem i butelka wody z podwórza. Oraz jedno krzesło.

Pojedyncze okno kiedyś wychodziło na pofałdowane wzgórza, ale zabito je deskami, między którymi przedostawały się tylko cienkie promienie światła. Największe wrażenie na żołnierzu zrobił smród. To nigdy nie był elegancki pokój, ale zmieniono go w koszmarną norę.

Tłuste czarne muchy z brzękiem krążyły wokół żarówki. Kolejne pełzały po krawędzi wiadra, zwabione jego zawartością. Dziewczynka musiała jeść z miski i leżeć na cuchnącym sienniku na podłodze. Albo siedzieć na krześle, tak jak siedziała teraz, wciąż ubrana w szkolny mundurek, brudna, z potarganymi włosami, pośród panującego tu smrodu. Kurczowo obejmowała się rękami, a w jej wytrzeszczonych oczach kryły się ból i strach. Nic nie mówiła.

Żołnierz powoli odłożył broń i zdjął czarną kominiarkę. Jego nagłe pojawienie się mogło jeszcze bardziej wystraszyć małą. Chciał jej tego oszczędzić, dlatego nie próbował podejść, tylko usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę.

– Cześć – odezwał się z uśmiechem.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego.

– Ciekawe, czy możesz mi pomóc. Szukam dziewczynki o imieniu Jessica. Jej tata poprosił mnie, żebym przywiózł ją do domu.

Poruszyła ustami. Rozległ się cichy pisk.

– To ja.

Żołnierz udał radosne zaskoczenie.

– Naprawdę? To wspaniale. Znalazłem cię. Twój tata za tobą tęskni. Prosił, żebym odwiózł cię do domu. Chciałabyś tam wrócić?

Pokiwała głową. Mężczyzna się rozejrzył.

– Co za paskudne miejsce. Twój pokój w Londynie na pewno jest ładniejszy.

Rozplakała się. Łzy popłynęły z jej biednych wystraszonych oczu i stoczyły się po brudnych policzkach.

– Chcę wrócić do domu. Zobaczyć tatusia.

– Cudownie się składa, Jessico, bo ja też tego chcę. Na dole czekają moi przyjaciele. Mamy helikopter. Leciałaś kiedyś helikopterem?

Pokręciła głową. Żołnierz powoli wstał i przeszedł przez pokój. Wyciągnął rękę. Chwyciła ją i wstała z krzesła. Nagle się posusiała i ze wstydu zaczęła jeszcze mocniej płakać. Poważne urazy niosą ze sobą wiele nieprzyjemnych skutków. Żołnierz zbliżył się do drzwi.

– Schodzę! – zawołał. – Oczyszćcie przedpokój.

Nie było potrzeby, żeby oglądała to, co leżało przy drzwiach albo w kuchni. Na zewnątrz zobaczył światła śmigłowca i usłyszał ryk dwóch silników. Maszyna usiadła na wrzosowisku za stodołami.

Pozostali żołnierze czekali na dole. Przeciągnęli ciała do kuchni i zamknęli drzwi. Zobaczyli dziewczynkę, która trzymała ich kolegę za rękę i ostrożnie schodziła po schodach, stopień za stopniem. Podnieśli na nią wzrok, a jeden szepnął: „Jezu”. Jeśli do tej pory choć trochę żalowali zabitych mężczyzn, teraz to uczucie się ulotniło.

\* \* \*

Dowódca oddziału pomógł Jessice Thompson wsiąść do śmigłowca, który miał ją zabrać do Credenhill.

Chciał skorzystać ze swojej komórki i wtedy odkrył, że Zogu nie mógłby skontaktować się ze swoimi ludźmi, nawet gdyby próbował. W tej części wrzosowisk Denbigh nie było zasięgu. Usiadł obok dziewczynki i skinął głową do pilota.

Inni żołnierze mieli zostać zabrani później. Na razie czekało ich sprzątanie. Wcześniej na drodze nie zgasili silnika volvo i ten wciąż pracował. Jeden z mężczyzn poszedł po auto. W gospodarstwie było teraz pięciu żołnierzy i czterech martwych gangsterów. Pomocna, ale niewątpliwie zaskoczona policja hrabstwa Conwy usłyszy prośbę o zniszczenie podziurawionego samochodu w zgniatarce.

W Credenhill Jessica trafiła prosto na oddział szpitalny. Tam zajęły się nią dwie funkcjonariuszki, które z przejęciem patrzyły, jak mała kąpie się i myje włosy. Jedna zameldowała dowódcy:

– Nie tknęli jej. Grozili, że to zrobią, i patrzyli na nią pożądliwie za każdym razem, gdy przynosili jej jedzenie. Zdążyliście w samą porę. To mądra dziewczynka. Ma głowę na karku. Będzie potrzebowała pomocy psychologa, ale wyjdzie z tego.

Dowódca zadzwonił do sir Adriana, a on powiadomił Roberta Thompsona, który był jak najbardziej żywy. Sir Adrian o świcie wysłał go samochodem z kierowcą w długą podróż do Hereford – i tam miał się spotkać z córką.

Po powrocie do Londynu sir Adrian ponownie odwiedził Thompsona w jego mieszkaniu w Battersea.

– Wątpię, aby po tym wszystkim dalej mógł pan pracować jako urzędnik państwowy. Zresztą pewnie nawet by pan nie chciał. Proponuję zmianę scenerii i gwarancję bezpieczeństwa dla was obojga. Znam pewne piękne miejsce. Ciepły klimat, błękitne roziskrzone morze. Wellington w Nowej Zelandii. Dobre szkoły, gościnni mieszkańcy. Jeśli pan chce, mogę to załatwić. Znam ich wysokiego komisarza w Londynie. Dobra praca w nowozelandzkim rządzie. Ładny dom. Łatwe dojazdy, bo to niewielki kraj. Całkiem nowe życie. Myślę, że można by to zorganizować. Proszę dać mi znać.

Miesiąc później Robert Thompson i Jessica rozpoczęli nowe życie nad wodami Cieśniny Cooka.

\* \* \*

Adrian Weston kierował się w życiu przyzwoitością, dlatego chciał poznać prawdziwą tożsamość mężczyzny, którego zwęglone szczątki znalazły się

w zdalnie sterowanym, jadącym zbyt szybko samochodzie.

W 1943 roku alianci przygotowywali się do inwazji na południową Europę. Chodziło o to, by przechytryć nazistowskie dowództwo, dostarczając im fałszywe informacje o miejscu inwazji. Brytyjczycy użyli zwłok niezidentyfikowanego kloszarda, ubrali je w mundur majora Królewskiej Marynarki Wojennej i wyrzucili za burtę u wybrzeży południowej Hiszpanii.

Do jednego z nadgarstków trupa przykuto teczkę z rzekomo ściśle tajnymi dokumentami, które wskazywały na to, że inwazja nastąpi w rejonie Grecji. Ciało znaleziono na plaży i oddano do dyspozycji Gwardii Cywilnej. Hiszpania pod rządami generała Franco, choć oficjalnie neutralna, tak naprawdę sprzyjała państwowi Osi. Dokumenty przekazano niemieckiemu wywiadowi, który przesłał je do Berlina.

Skierowano potężne siły do Grecji, gdy tymczasem alianci, pod wodzą Pattona i Montgomery'ego, zaatakowali od strony Sycylii i Włoch. Ocalono tysiące istnień. Później napisano o tych wydarzeniach książkę i nakręcono film pod tytułem *Człowiek, którego nie było*. Właśnie stąd sir Adrian zaczerpnął swój pomysł.

W pędzącym samochodzie znajdowały się zwłoki niezidentyfikowanego włóczęgi. Cekał go pochówek w nieoznaczonym grobie komunalnym. Sekcja zwłok wykazała, że mężczyzna zmarł na zapalenie płuc, którego zapewne nabawił się, sypiając na deszczu. Badania ujawniły, że zmarły był nieuleczalnym alkoholikiem i miał całkowicie zrujnowany organizm. Jedynym osobistym przedmiotem, którego jeszcze nie zastawił w lombardzie, by zdobyć pieniądze na alkohol, był sygnet.

Ale kiedyś przecież był kimś, może kogoś kochał i był kochany, miał pracę, rodzinę i życie, rozmyślał sir Adrian. Jak to się stało, że wylądował i skonał w rynsztoku? Weston postanowił, że przynajmniej spróbuje się tego dowiedzieć.

Opóźnił pochówek włóczęgi. Wykorzystał kilka zaległych przysług, skopał kilka tyłków, wkurzył kilka osób. W końcu udało mu się zdobyć próbkę DNA. Skontaktował się z państwową bazą DNA, jednak niczego w niej nie odkryto. Gdyby mężczyzna był notowany, jego próbka powinna trafić do bazy. Ale nie trafiła.

Weston już miał zostawić sprawę w rękach urzędników, gdy zadzwonił do niego jeden z naukowców zatrudnionych w bazie danych.

– Możliwe, że znaleźliśmy jego brata – oznajmił.

Pasująca próbka pochodziła od człowieka, który kilka lat wcześniej uczestniczył w barowej bójce, został oskarżony o napaść i uszkodzenie ciała, a następnie skazany. W bazie było jego nazwisko. Drake. Philip Drake. Policjantom udało się go znaleźć, chociaż trzykrotnie się przeprowadzał. Mężczyzna rozpoznał sygnet i potwierdził, że należał on do jego brata Benjamina, zwanego Bennym.

Nie widział starszego brata od dwudziestu lat, od czasu gdy ten, wyniszczony z powodu zespołu stresu pourazowego, prześlizgnął się przez sito pomocy społecznej i rozmaitych organizacji charytatywnych, popadł w alkoholizm i zamieszkał na ulicy. Ale Philip pamiętał, że źródłem problemów Benny'ego była służba w Afganistanie, gdzie walczył w mundurze swojej ojczyzny.

Benny służył w pułku mercjańskich, jednym z tych, który składał się z żołnierzy zwerbowanych we wschodniej części środkowej Anglii i stacjonował w Lichfield. Weston zadzwonił do dowódcy i przekazał mu wieści, a ten uznał, że chociaż kapral Benny Drake nisko upadł, zasługuje na żołnierski pochówek. Sięgnął do rezerwy budżetowej pułku i znalazł potrzebne fundusze.

Tydzień później kondukt pogrzebowy wyjechał przez główną bramę koszar Whittington i ruszył uliczkami Lichfield. Okryty brytyjską flagą karawan wiózł trumnę, a za nim jechała limuzyna z obojgiem rodziców. Mieszkańcy miasta zdejmowali czapki i odprowadzali karawan wzrokiem. Z tyłu konduktu szli wolnym krokiem tragarze i chorążowie.

Kondukt skręcił na wiejski cmentarz w Whittington, gdzie skierowano go w stronę przygotowanego grobu. Tragarze przejęli trumnę, sześciu wojskowych poniosło ją obok kościoła Świętego Idziego. Ceremonię poprowadził kapelan pułku. Po jej zakończeniu flagę zdjęto z trumny, złożono i przekazano rodzicom.

Kiedy opuszczono trumnę do grobu, z szeregu wystąpili żołnierze oddający salwę honorową oraz trębacz. Grabarze z łopatami czekali. Strzelcy oddali

trzy salwy nad grobem, a trębacz zagrał żałobny hejnał. Państwo Drake'owie stali wyprostowani, bardzo dumni, gdy ich syn, kapral Benny Drake, został odesłany na wieczny spoczynek. Chociaż umarł w rynsztoku, pochowano go obok innych żołnierzy.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, samotny mężczyzna, stojący na drugim końcu cmentarza, schował połowę lornetkę. Sir Adrian wsiadł do auta, które odwiozło go do Londynu. Miał rachunki do wyrównania.

\* \* \*

Następnego ranka zablokowano rachunki bankowe Władimira Winogradowa i nakazano mu opuścić kraj. Oficjalną przyczyną, która nie miała – bo zgodnie z prawem nie musiała mieć – żadnego uzasadnienia, było przekonanie brytyjskiego rządu, że jego dalsza obecność „nie służy publicznemu dobru”.

Winogradow protestował, grożąc długotrwałymi procesami apelacyjnymi. Wtedy na jego biurku wylądowało zdjęcie. Przedstawiało twarz martwego gangstera, któremu zlecił porwanie dziecka. Rosjanin zamilkł, a następnie zadzwonił do swojego osobistego pilota w Northolt i polecił przygotować samolot.

\* \* \*

W ciemnej pracowni komputerowej w Chandler's Court Luke Jennings pochylił się nad konsolą, popatrzył na wyświetlacz, dotknął kilku symboli na ekranie i znów wbił w niego wzrok, zamknięty w swoim prywatnym świecie. Obok siedział doktor Hendricks. Wiedział, co robi chłopak, ale nie miał pojęcia, jak mu się to udaje. Są chwile, gdy instynkt przeczy logice. Mężczyzna z GCHQ wyznaczył chłopakowi niewykonalne zadanie... a jednak.

Był środek nocy i na zewnątrz panowały całkowite ciemności. Ci dwaj przy komputerze nie zdawali sobie z tego sprawy ani o to nie dbali. W cyberprzestrzeni czas nie istnieje. Wiele kilometrów dalej baza danych



bezglśnie stawiała opór, próbując bronić swoich tajemnic. Przegrała tuż przed świtem.

Doktor Hendricks patrzył na to z niedowierzaniem. Nie wiedział, jak to się stało, ale cel został osiągnięty: Luke Jennings dostał się do systemu i wprowadził właściwe algorytmy. Zabezpieczenia ustąpiły, daleka baza danych skapitulowała. Nie było potrzeby tego przeciągać. Zdobyli kody. Poklepał chłopaka po ramieniu.

– Możesz kończyć. Wracamy. Zapewniłeś nam dostęp. Dobra robota.

Włamując się do bazy danych w Fort Meade w Marylandzie, Luke Jennings nieświadomie naraził się na wieloletni pobyt w amerykańskim więzieniu. Tutaj czekały go tylko pochwały. Tak czy inaczej, nic go to nie obchodziło. Staął przed wyzwaniem i sprostał mu. Tylko to się liczyło. Teraz inni mogą przedostać się do obcej bazy danych i umieścić tam złośliwe oprogramowanie, konie trojańskie lub instrukcje samozniszczenia.

Zagraniczna baza danych znajdowała się pod pustynią w teokratycznej republice Iranu, która wykorzystywała i wspierała terroryzm oraz chciała zbudować własną bombę atomową. Gdyby się to udało, innemu krajowi groziłaby zagłada. Jeśli sir Adrian zdoła przekonać panią premier, kody dostępu do irańskiej bazy danych zostaną przekazane władzom Izraela.

Ale niekoniecznie za darmo. Obiektem negocjacji mogą się stać rozległe złoża gazu ziemnego, które niedawno odkryto u zachodnich wybrzeży Izraela.

\* \* \*

Sue Jennings podniosła wzrok, gdy na wschodniej stronie nieba pojawiły się pierwsze oznaki świtu. Dobrze znała to uczucie i napawała się nim. Minęło tak wiele czasu.

Jej małżeństwo tak naprawdę skończyło się przed dziesięciu laty. Przyczyniły się do tego trudy wychowania dwóch chłopców i dodatkowe potrzeby starszego z nich. Ale to nie był główny powód. Nie doszło do żadnej gwałtownej kłótni z Haroldem, lecz mąż w końcu dał jej jasno do zrozumienia, że nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany fizyczną stroną ich

małżeństwa. Nie kochali się od tygodni. Harold miał wtedy czterdzieści kilka lat, a ona była zdrową trzydziestolatką.

W ciągu tych dziesięciu lat miewała krótkie romanse, zawsze wyłącznie fizyczne, ale nie rozstawali się z mężem ze względu na dzieci, zwłaszcza Luke'a. Obecnie musiała samotnie zmierzyć się z życiem, zadbać o dom i stałe dochody. Harold odszedł i była teraz wdową.

Patrząc na wstający dzień, czuła czyste pożądanie wobec mężczyzny, który spał u jej boku. Wiedziała, że nigdy nie zdecydowałaby się przejść do niej przez cały korytarz na pierwszym piętrze, tym bardziej że jej pokój znajdował się pomiędzy sypialniami Luke'a i Marcusa, więc w końcu to ona go odwiedziła.

Drzwi były otwarte. Weszła, zrzuciła szlafrok na podłogę i wślizgnęła się pod kołdrę obok niego. Prawie nic nie mówili. Po prostu się kochali, on z niespożytą siłą, ona z namiętnością długo tłumionego pożądania.

Kiedy kapitan Williams dołączył do ich niewielkiej społeczności, zajął miejsce przy stole razem z nią, doktorem Hendricksem, dwiema osobami z GCHQ oraz jej synami. Odnosili się do siebie uprzejmie, ale ich oczy wyrażały wzajemny pociąg. Dowiadywali się o sobie coraz więcej. Williams miał trzydzieści dziewięć lat i był samotny, odkąd jego żona osiem lat temu zginęła w tragicznym wypadku na kanoe u wybrzeży Algarve.

Sue Jennings przez wiele dni zastanawiała się, co powinna zrobić. Nie mogła dłużej ignorować pociągu, jaki czuła do żołnierza, który zasiadał przy jej stole. Kiedy ich spojrzenia po raz pierwszy się skrzyżowały ponad filiżankami herbaty, wyczuła, że on odwzajemnia jej zainteresowanie.

Ale nie była wytrawną uwodzicielką. Nigdy nie zachowywała się w ten sposób.

Czekała, aż Williams wykona pierwszy krok, lecz zawsze był taki grzeczny i nie próbował jej poderwać. Czy to była kwestia manier? Zdystansowania? Niech to szlag! Wiedziała, że jest w nim coraz bardziej zakochana. Dlaczego nie chciał wykonać pierwszego ruchu? Po trzech tygodniach podjęła decyzję.

Wkrótce po północy wstała ze swojego pojedynczego łóżka, całkiem naga. W blasku księżycy przejrzała się w lustrze szafy. Miała czterdzieści lat i pełną, ale nie pulchną figurę. Regularnie ćwiczyła na siłowni, tylko dla kogo tak się

starala? Na pewno nie dla obojętnego Harolda, którego bardziej od seksu interesowała gra w golfa.

Nadal była dość młoda, by zająć się ciążą, i właśnie tego pragnęła, ale tylko z jednym mężczyzną, tym, który spał w pokoju po drugiej stronie domu. Wciąż bosa, włożyła szlafrok i otworzyła drzwi, starając się nie robić hałasu, by nie obudzić chłopców śpiących w swoich pokojach po obu stronach jej sypialni.

Przystanęła przed jego drzwiami, wsłuchując się w głęboki, regularny oddech dochodzący z pokoju, po czym przekręciła gałkę i wślizgnęła się do środka. A zatem spędzili pierwszą wspólną noc. W promieniach świtu wpadających przez zasłony podjęła decyzję. Zdobędzie go, i to nie tylko na jedną noc. Zamierzała zostać nową panią Williams i wiedziała, że atrakcyjna zdeterminowana kobieta jest skuteczniejsza od pocisku Exocet. Kiedy późnoczerwcowe słońce wychyliło się zza czubków drzew w lesie, po cichutku wróciła do siebie.

# Rozdział dwunasty

Iran od wielu lat pragnął posiadać bombę atomową. Po raz pierwszy kwestia ta wypłynęła za czasów szacha, zdetronizowanego w 1979 roku. Wtedy wyperswadowali mu to jego przyjaciele i obrońcy, Stany Zjednoczone. Jednak pod rządami ajatollahów wpływy amerykańskie nie odgrywały już takiej roli.

Przez wiele lat głównym problemem nie były kwestie techniczne. Pewien pakistański naukowiec, który pracował przy projektowaniu i budowie bomby atomowej dla swojego kraju, podstępnie sprzedał wszystkie dane Iranowi. Problem polegał na zdobyciu wystarczająco dużych zapasów wzbogaconego uranu.

Rudę uranu od wielu lat kupuje się od rozmaitych dostawców na całym świecie. Ale w formie rudy uran-235 charakteryzuje się czystością na poziomie najwyżej pięciu procent. To zdecydowanie za mało, by móc go wykorzystać do budowy broni atomowej. Musi zostać wzbogacony, aż uzyska czystość na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent.

Pretekstem do zakupu uranu zawsze jest rzekoma chęć budowy elektrowni atomowych, do czego wystarczy pierwiastek o czystości pięciu procent. Świat nigdy nie wierzył w tę wymówkę. Czyżby kraj, który dosłownie unosi się na oceanie ropy naftowej i ma w nosie ochronę środowiska, nie chciał eksploatować własnych zasobów, by zapewnić sobie bezpieczeństwo energetyczne? Odpowiedź kryje się w tajnych zakładach chemicznych – których istnieniu Iran zaprzecza – gdzie wzbogaca się surową rudę uranu, dzięki czemu można ją wykorzystać do produkcji broni.

W 2015 roku atomowy klub, w którego skład wchodziły Stany Zjednoczone, Chiny, Francja, Rosja oraz Wielka Brytania, zawarł, wraz z Niemcami i Unią

Europejską, porozumienie, na mocy którego Iran miał zaprzestać wszelkich badań jądrowych w zamian za złagodzenie wielu sankcji gospodarczych nałożonych na ten kraj ze względu na jego atomowe ambicje. Tak naprawdę porozumienia nie przestrzegano. Ajatollahowie już dawno oświadczyli, że państwo Izrael, które nie dysponuje złożami ropy, ale jest niezwykle zaawansowane technologicznie, powinno zniknąć z powierzchni ziemi. Z tego powodu Izrael żywo interesuje się atomowymi ambicjami Iranu. Wykorzystuje w tym celu Mosad (Instytucję), swoje niezwykle skuteczne siły wywiadowcze, które wciąż starają się ustalić, co knuje irańska dyktatura i jak daleko posunęła się w swoich planach.

Iran nie był pierwszym sąsiadem Izraela, który zaczął rozwijać program nuklearny. Wcześniej próbowała tego Syria, która odebrała srogą lekcję w 2007 roku. Izraelski wywiad dzięki swoim lotom szpiegowskim wykrył budowę olbrzymiego kanciastego budynku, który Tel Awiw nazwał Kostką, niedaleko Dajr az-Zaur we wschodniej Syrii. Budowa wzbudziła zbyt wielkie zainteresowanie, by ją zignorować. Dalsze działania wywiadowcze ujawniły, że wewnątrz znajduje się północnokoreański reaktor atomowy, który miał zapewnić syryjskiemu dyktatorowi pluton – rdzeń bomby atomowej.

Pewnej nocy w 2007 roku osiem izraelskich myśliwców wystartowało z baz na południu kraju. Poleciały na zachód, nad basenem Morza Śródziemnego, następnie na północ, a wreszcie na wschód, niepostrzeżenie mknąc nad syryjskim wybrzeżem. Utrzymywały pułap niecałych stu metrów, czyli leciały praktycznie na wysokości dachów, a przy tej prędkości musiały zachować idealną precyzję. Wiozły różne rodzaje bomb, które miały zagwarantować całkowite zniszczenie celu.

O godzinie 00.42 cała ósemka zrzuciła bomby. Nikt nie spudłował. O godzinie 00.45 dowódca eskadry przekazał przez radio jedno słowo: „Arizona” – cel zlikwidowany. Eskadra skręciła na północ, dotarła do tureckiej granicy i podążyła wzdłuż niej na zachód, aż do wybrzeża. Nad morzem samoloty skręciły w stronę domu, wciąż utrzymując niski pułap.

Zniszczenie Kostki bezpośrednio nie zaszkodziło Iranowi, ale stanowiło ważną lekcję. Kiedy Irańczycy rozpoczęli swój program nuklearny, zeszli głęboko pod ziemię, do jaskiń zapewniających ochronę przed

bombardowaniem. Tam zajęli się oczyszczaniem uranu-235, by uzyskać izotop nadający się do budowy bomby.

Wiadomo o dwóch takich zakładach chemicznych. Mniejszy, w Natanz, znajdował się wewnątrz wydrążonej góry na północy kraju. Znacznie większy, w Fordo, mieścił się pod powierzchnią pustyni, tak głęboko, że nie zagrażały mu nawet najpotężniejsze bomby penetrujące.

W procesie oczyszczania wykorzystuje się wiele wirówek, dawniej zwanych cyklotronami. Obsługa tych maszyn jest wyjątkowo niebezpieczna. To pionowe kolumny o wysokości od stu osiemdziesięciu do dwustu czterdziestu centymetrów, których rdzeń wiruje z zawrotną prędkością pięćdziesięciu tysięcy obrotów na minutę. Stoją w rzędach nazywanych kaskadami. Szacowano, że Iran posiada dwadzieścia tysięcy takich wirówek, połączonych w kaskady po sto dwadzieścia osiem sztuk każda.

Potrzeba ich aż tyle, ponieważ oczyszczają rudę uranu niezwykle wolno, wydobywając dziennie zaledwie kilka cennych ziarenek, które następnie starannie się magazynuje. Wirówki są tak niebezpieczne, bo obracają się na łożyskach, które muszą być precyzyjnie zbalansowane. Najmniejsze zaburzenie prędkości lub równowagi może doprowadzić do ich przegrzania bądź oderwania. W takim wypadku cała hala zmieniałaby się w kostnicę, gdzie poszatkowane ciała techników latałyby na wszystkie strony, a szalejące wirówki rozbiłyby się nawzajem na stopione kawałki.

Żeby tak się nie stało, całą operacją steruje główny komputer, korzystający z bazy danych chronionej licznymi warstwami zabezpieczeń, które potrafią sforsować wyłącznie pracujący na miejscu irańscy operatorzy wyposażeni w kody dostępu. I właśnie te niemożliwe do zdobycia kody uzyskał nastolatek siedzący obok doktora Hendricksa w Chandler's Court.

W Fordo nikt niczego nie zauważył, więc nie podjęto żadnych kroków. Zdobycie kodów dostępu wystarczyło. Za zgodą pani premier sir Adrian przekazał je wysokiemu rangą urzędnikowi w ambasadzie Izraela w Palace Green w Londynie.

\* \* \*

Mniej więcej tydzień później, na początku lipca, głęboko pod irańską pustynią wydarzyło się coś bardzo dziwnego. W głównym komputerze pojawiła się drobna zmiana. Prędkość obrotów w jednej z kaskad wirówek zaczęła rosnać. Inżynier w białym fartuchu, pilnujący głównej konsoli, wprowadził korektę. System go nie posłuchał. Inne dłonie, na pustyni Negew, wydawały odmienne rozkazy. Prędkość obrotów dalej rosła.

Zaniepokojony inżynier w Fordo zadzwonił do przełożonego. Zaskoczony starszy technik wprowadził kody naprawcze, ale nie odniosło to żadnego skutku. Wskazania miernika temperatury łożysk zaczęły rosnać. Niepokój zmienił się w strach, a w końcu w panikę. Baza danych nie słuchała poleceń. Prędkość obrotów rosła, podobnie jak temperatura łożysk. Wskaźnik przekroczył czerwoną linię. Starszy technik wduśił czerwony przycisk. W rozległej hali wirówek odezwała się syrena alarmowa. Ludzie w białych fartuchach pośpiesznie ruszyli w stronę ogromnych stalowych drzwi. Wycie syreny nie ustawało. Pośpiech zmienił się w szaleńczy bieg, gdy pierwsza kaskada zerwała się z łożysk. Metal lśnił szkarłatem od niepohamowanego tarcia. Uciekający technicy przepychali się w otwartych drzwiach.

\* \* \*

Pierwszy raport, który trafił do rąk władcy republiki, ajatollaha Chameneiego, informował, że technicy w ostatniej chwili zdążyli uciec z hali. Drzwi z sykiem zaczęły się zamykać, odgradzając ich od piekła szalejącego wewnątrz pomieszczenia o rozmiarach hangaru lotniczego. Ludzie ocaleli, ale wirówki zniszczyły się nawzajem, wyrywając się z łożysk i powalając kolejne kaskady.

Ajatollah, sędziwy i przygarbiony, zmusił się, żeby przeczytać ostatnią linijkę raportu, podczas gdy bladzi jak ściana naukowcy stali przed nim w jego skromnym mieszkaniu przy ulicy Pasteura w Teheranie.

Straty oszacowano na dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat nieustannej ciężkiej pracy i wydatków zniweczono w ciągu jednej katastrofalnej godziny. Oczywiście ajatollah zamierzał zlecić dochodzenie. Najtęższe umysły w Iranie przeprowadzą badania i złożą mu raport. Wytłumaczą, co się stało, jak

i dlatego, a przede wszystkim za czyją przyczyną. Odprawił naukowców i udał się do swojego prywatnego meczetu na modlitwę.

Oczywiście odpowiedzialny musi być Izrael, niech ich Allah przeklnie. Tylko jak zdobyli kody dostępu? Przez lata bezskutecznie tego próbowali. Złośliwe oprogramowanie o nazwie Stuxnet, opracowane przez Izraelczyków i Amerykanów, dokonało pewnych zniszczeń przed kilkoma laty, ale nie przedarło się przez zabezpieczenia. A teraz komuś się to udało. Czy Izraelczycy byli w stanie dokonać tego samodzielnie? Irańczycy nie mogli wiedzieć, że za atak odpowiedzialny jest ktoś, kto znajduje się bardzo daleko, najwybitniejszy haker, jakiego widział – a raczej nie widział – świat.

\* \* \*

Irański przywódca nie znał się na komputerach, dlatego musiał całkowicie polegać na swoich ekspertach. Oni zaś, po szczegółowym dochodzeniu, poinformowali go, że sprawcą, który nakazał głównemu komputerowi zwiększyć prędkość obrotów wirówek, co doprowadziło do ich samozniszczenia, był zapewne Izraelczyk.

Ale główny dylemat dotyczył kodów dostępu. Były niezbędne. Bez nich nikt nie mógłby przekazać samobójczych instrukcji głównemu komputerowi. Z nimi wszystko było możliwe.

Irańska katastrofa nie pozostała tajemnicą. Takich wieści nie da się ukryć. Ludzie, nawet naukowcy, którzy przeżyli tak traumatyczne doświadczenie, w końcu zaczynają o nim opowiadać. Rozmawiają ze swoimi kolegami, nie tylko tymi, którzy byli na miejscu. Zwierzają się rodzinom. Wieści się rozchodzą. Wkrótce prawda wyciekła do międzynarodowego środowiska naukowców, których pracą jest badanie, na zlecenie własnych rządów, postępu swoich kolegów po fachu. Wydarzenia w Fordo bardzo przypominały komputerową katastrofę w Murmańsku.

Zagadkę ostatecznie rozwiązano nie w Teheranie, ale w Moskwie. Rosjanie wiedzieli, kto za tym stoi i gdzie go szukać.

Dwa dni później rosyjski ambasador w Teheranie umówił się na osobistą audiencję u ajatollaha. Dostarczył mu prywatną wiadomość od Woźdia.



Dotyczyła ona pewnej odizolowanej posiadłości na angielskiej wsi oraz nastoletniego hakera, który potrafił dokonać niemożliwego.

\* \* \*

Dotrzymując swojej obietnicy, sir Adrian złożył obszerny raport człowiekowi w Białym Domu. Raport o zbliżonej treści dostarczyła także CIA. Oba dokumenty potwierdzały się nawzajem. Prezydent uświadomił sobie, że go okłamano. Tak czy inaczej, od dawna miał zamiar wypowiedzieć traktat, który łagodził sankcje finansowe wobec Iranu w zamian za przerwanie badań nad bronią atomową, a zwłaszcza nad wzbogacaniem uranu. Teraz podarł traktat na strzępy i przywrócił drakońskie sankcje.

\* \* \*

Mniej więcej w tym samym czasie sir Adrian otrzymał list w swoim mieszkaniu przy Admiralty Arch. Poczł się zaintrygowany. Niewielu ludzi znało ten adres, a kopertę dostarczono osobiście. Wiadomość była krótka i kurtuazyjna. Nadawca proponował obustronnie korzystne spotkanie i zapraszał sir Adriana do siebie. Papeteria pochodziła z ambasady Izraela. Pod listem podpisał się Awigdor Hirsch, którego Weston nie znał.

Podczas służby w MI6 sir Adrian był specjalistą od Rosji, ZSRR i wschodnioeuropejskich państw satelickich imperium radzieckiego. Bliski Wschód nigdy nie był jego domeną, a poza tym Weston przeszedł na emeryturę już dziesięć lat temu. Inni ludzie w tym czasie także zakończyli służbę, awansowali, zostali wysłani na placówki, odeszli – z własnej woli bądź za namową. Mimo wszystko sir Adrian wciąż miał kontakty i jednym z nich był człowiek, który kiedyś „kierował” Bliskim Wschodem, a że był młodszy niż sir Adrian, wciąż pracował przy Vauxhall Cross. Miał na imię Christopher.

– Awi Hirsch? Oczywiście, że go znam – odrzekł głos na drugim końcu bezpiecznej linii. – Jest tutaj od trzech lat jako dowódca placówki Mosadu. Bardzo bystry gość.

– Coś więcej?

– Cóż, po zakończeniu służby w siłach specjalnych rozpoczął karierę prawniczą. Specjalizuje się w sądownictwie izraelskim, naszym i amerykańskim. Ma dyplomy Trinity College i Cambridge. Na pewno nie jest zatwardziałym kibucnikiem. Mamy o nim raczej dobre zdanie. Czego chce?

– Jeszcze nie wiem – odparł sir Adrian.

– Słyszałeś o katastrofie w Fordo?

– Oczywiście. Oraz o reakcji Stanów Zjednoczonych.

– Mój departament pracuje na okrągło. Powodzenia z Awim.

\* \* \*

Ambasada Izraela w Londynie jest pilnie strzeżona. To konieczne ze względu na próby ataków i częste demonstracje, do których tu dochodziło. Samochód sir Adriana zatrzymał się przed bramą z kutego żelaza, gdzie strażnik uważnie sprawdził dokumenty. Następnie wykonał kilka telefonów, po czym wpuścił auto do środka. Kolejny strażnik wskazał kierowcy miejsce parkingowe, a sir Adrian został odeskortowany do budynku.

Nie obszukano go, tak jak na lotnisku, ale wiedział, że ukryte skanery badają każdy centymetr jego ciała. Nie miał przy sobie żadnego bagażu, nawet teczki. Wyznaczona sala konferencyjna znajdowała się w piwnicy i z pewnością została dokładnie sprawdzona i wyczyszczona.

Awii Hirsch wyglądał tak, jak Weston się spodziewał po rozmowie z Christopherem: czterdzieści kilka lat, wysportowany, opalony, obyty, płynnie posługujący się językiem Szekspira. Zaproponowano kawę, ale sir Adrian odmówił. W końcu zostali sami. Wiedział, że tę rozmowę poprzedziła szczegółowa odprawa w dowództwie Mosadu na północnych obrzeżach Tel Awiwu.

– Mam panu przekazać, że mój rząd i ojczyzna są bardzo wdzięczne – odezwał się szef biura Mosadu.

Obaj wiedzieli, że chodzi o przesłanie kodów dostępu do głównego komputera w Fordo.

To rzeczywiście był duży komplement. W branży szpiegowskiej, a zwłaszcza w zintegrowanym cyberświecie, państwo Izrael wyraźnie góruje

nad innymi. Mosad posiada agentów na całym świecie, a na Bliskim Wschodzie nie ma sobie równych. Pod pustynią Negew, niedaleko Beer Szewy, jest siedziba think tanku znanego jako Szmone Matajim albo Jednostka 8200. Zgrupowano tam najwybitniejsze cyberumysły kraju, które zajmują się łamaniem i tworzeniem szyfrów, penetrowaniem wrogich baz danych i monitorowaniem zalewu kodowanych wiadomości, przepływających między agencjami nie tylko wrogich Izraelowi państw, ale też tych przyjaznych. Jednostka 8200 nigdy nie odpoczywa.

Kariera sir Adriana przypadła głównie na wcześniejsze lata. Był weteranem w świecie młodzieńców. Ale niektóre rzeczy się nie zmieniają. Wciąż istnieją przyjaciele, wrogowie, zdrajcy, a także głupcy, którzy za dużo mówią. Może się wydawać, że dyskretne przekazywanie sobie wiadomości na brukowanych uliczkach okupowanej przez Rosjan Bratysławy to już przeszłość, ale dostarczenie właściwej informacji we właściwe miejsce i o właściwym czasie wciąż może zmienić bieg historii.

Co więcej, cios nożem między żebra albo wybuch bomby w samochodzie wciąż może zakończyć czyjeś życie. Sir Adrian doskonale zdawał sobie sprawę, że układny szef wywiadu po drugiej stronie stołu jest przedstawicielem agencji, która chętnie sięga po te dawne metody, gdy uznaje, że to konieczne.

Pracę wywiadowczą Mosadu wspierają jednostki specjalne, które w niczym nie ustępują brytyjskim SAS, SBS i SRR ani amerykańskim Delta Boys, SEALs czy specjalnej jednostce działającej w ramach CIA. Są to doskonale wyszkoleni komandosi z Sajjeret Matkal czy ludzie z grupy Kidon (co oznacza „Bagnet” albo „Grot”), którzy wykonują zagraniczne zamachy, a także jeszcze bardziej tajemniczy członkowie jednostki Duwdewan, którzy tak biegle posługują się bliskowschodnimi językami i tak dobrze znają tamtejsze społeczności, że mogą do nich przenikać i przez lata pełnić funkcję uśpionych agentów.

Chociaż sir Adrian nie specjalizował się w Bliskim Wschodzie, wiedział to wszystko, ponieważ są to informacje powszechnie znane w szpiegowskich kręgach. Dlatego zdawał sobie sprawę, że w Iranie przebywają izraelscy

agenci, a niektórzy z pewnością zajmują wysokie stanowiska. Siedział w milczeniu i czekał, aż Awi Hirsch przejdzie do rzeczy.

– Będę z panem całkowicie szczery – odezwał się Izraelczyk, choć miał odwrotne zamiary. – Nie ulega wątpliwości, że źródłem niezwykłych informacji, które od was otrzymaliśmy, czyli kodów dostępu do Fordo, jest jakiś cybergeniusz. W jednostce osiem tysięcy dwieście również mamy świetnych specjalistów od deszyfracji, jednak wasz chłopak ich przerasta. Uzyskał dostęp do odizolowanej bazy danych, co wydawało się niemożliwe. To czyni go bardzo cennym, ale także podatnym.

– Podatnym na co?

– Na działania odwetowe. Z perspektywy czasu okoliczności niepowodzenia *Admirała Nachimowa* stają się nieco jaśniejsze. Wygląda na to, że ktoś przejął kontrolę nad tym okrętem.

Sir Adrian postanowił udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

– Aha.

– Mogę panu zdradzić, że zaledwie tydzień po zniszczeniu zakładów w Fordo rosyjski ambasador odbył prywatną rozmowę z ajatollahem Chameneim. Coś to panu mówi?

– Aha – powtórzył sir Adrian.

– Widzi pan, sir Adrianie, przyszło nam do głowy, że Moskwa mogła zdradzić Iranowi tożsamość tej wyjątkowej osoby, którą najwyraźniej ukrywacie. A możliwe, że także jej miejsce pobytu... oczywiście, jeśli Rosjanie je znają. Jeżeli Irańczycy zdobyli te informacje, mogą rozważyć zemstę. To tylko przyjacielska rada z mojej strony. Ze strony wdzięcznej agencji. Być może warto byłoby przenieść tę osobę. Bezzwłocznie. Iran także dysponuje jednostkami zabójców.

– To bardzo miło z pańskiej strony – odrzekł sir Adrian. – Jestem szczerze wdzięczny. Z pewnością warto to omówić na najwyższym szczeblu.

Wiedział coś, o czym nie miał pojęcia Awi Hirsch. Nie tak łatwo byłoby przenieść Luke'a Jenningsa do nowego, obcego środowiska. Chłopak był tak obsesyjnie przywiązany do swojego najbliższego otoczenia, do każdej ozdoby w swoim pokoju, a przede wszystkim do układu algorytmów w swoim

komputerze, że gdyby nagle wyrwać go z tego miejsca, mógłby przeżyć załamanie nerwowe.

Ale ostrzeżenie było jak najbardziej uzasadnione. Iran miał na swoich usługach zamachowców samobójców, fanatyków i zawodowych zabójców. W ramach Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, zwanego Pasdaran, działa wewnętrzna brygada al-Kuds, która dokonuje mniej lub bardziej precyzyjnych zamachów na całym Bliskim Wschodzie. Czy Chandler's Court znajduje się poza jej zasięgiem? Czy premier dopuści do kolejnej strzelaniny na zielonych trawnikach hrabstwa Warwick?

Weston miał co do tego wątpliwości. Wprowadzenie *Admirała Nachimowa* na mieliznę było sprawiedliwym odwetem za bezczelny atak przy użyciu nowiczoka w Salisbury, a udziału Wielkiej Brytanii nie dało się udowodnić. Czym innym jednak była pomoc Izraelowi w zdemaskowaniu nuklearnego oszustwa Iranu wobec prezydenta Stanów Zjednoczonych, a czym innym sprowokowanie bliskowschodnich fanatyków do zamachów na angielskiej wsi.

– Powiedz mi, Awi, czy istnieją jakieś inne tajne irańskie organizacje, których bazy danych szczególnie zainteresowałyby twoich przełożonych? Może VAJA albo FEDAT?

Izraelski agent z trudem nad sobą zapanował. Zaskoczyło go, że ten starszy emerytowany specjalista od Kremla wie o istnieniu wspomnianych organizacji. Ale sir Adrian odrobił lekcje. Wiedział, że VAJA to Irańskie Ministerstwo Wywiadu, które zatrudnia własnych zabójców, w kraju, ale głównie za granicą, natomiast FEDAT to niezwykle tajna baza naukowa pod skrzydłami Ministerstwa Obrony, w której prowadzi się prace nad bronią atomową. Ma ona siedzibę w kompleksie nowoczesnych biurowców w centrum Teheranu, naprzeciwko Uniwersytetu Maleka Asztara.

Siedząc już w samochodzie, który oddalał się od wykutej z żelaza bramy izraelskiej ambasady, sir Adrian rozważał, jak duże szanse powodzenia ma jego nowy plan – zaproponowanie Izraelowi kolejnej przysługi. Pomoc przy zniszczeniu wirówek w Fordo była korzystna dla światowego bezpieczeństwa. Nowa propozycja dotyczyła bardziej lokalnych kwestii.

Potrzebował przysługi, a w jego świecie – i w świecie Awięgo Hirscha – za przysługę płaci się inną przysługą.

Sir Adrian podejrzewał, że niezależnie od tego, którą organizację wskaże Tel Awiw, do drugiej z nich zapewne już przeniknęli specjaliści z Jednostki 8200, którzy stukali w klawiatury pod pustynią Negew, niedaleko Beer Szewy. Trzy dni później otrzymał odpowiedź: FEDAT.

# Rozdział trzynasty

Kiedy jakiś kraj postanawia zostać potęgą atomową, archiwa wypełniają się dokumentami. Iran podjął tę decyzję wiele lat wcześniej, tuż po przejęciu władzy przez ajatollahów, którzy zaprowadzili bezwzględną teokrację. Stwierdzenie ajatollaha Rafsandżaniego, że Izrael należy zetrzeć z powierzchni ziemi, było jak wypowiedzenie wojny – potajemnej, ale jednak wojny, która miała być toczona w ukryciu i bez oglądania się na Konwencję Genewską czy jakiegokolwiek ogólnie przyjęte zasady.

Wypowiadając egzystencjalną wojnę niewielkiemu, ogrodzonemu krajowi po drugiej stronie Półwyspu Arabskiego, Iran zadarł z najpotężniejszym przeciwnikiem w promieniu trzech tysięcy kilometrów od Teheranu. Izrael zrodził się na gruncie tajnych operacji, najpierw w 1945 roku, przeciwko utrudzonym wojną Brytyjczykom, a po 1948 roku przeciwko otaczającym go wściekłym i dyszącym żądzą odwetu Palestyńczykom i Arabom.

Arabowie mieli w swoim arsenale olbrzymie rzesze żołnierzy, ogromne przestrzenie i nieograniczone fundusze. Izraelczycy nie dysponowali takimi możliwościami, ale przeważali pod względem poziomu uzbrojenia oraz umiejętności. Od lat planowali, organizowali i przeprowadzali tajne operacje. Do tego należy dodać ich fanatyczny patriotyzm, przeświadczenie, że porażka oznacza śmierć, ogólnoswiatową siatkę żydowskich sojuszników, gotowych w każdej chwili udzielić im pomocy, a także godną kameleona zdolność maskowania swojej narodowości.

Poza tym dysponowali technologią na niezwykle wysokim poziomie. Niepowodzenie oznaczało zagładę, więc Izrael nie miał skrupułów, by skorzystać z pomocy białej Republiki Południowej Afryki, kolejnej ufortyfikowanej mniejszości, w zdobyciu niezbędnych zapasów

wzbożonego uranu, dzięki czemu stał się atomową potęgą i zbudował własną fabrykę bomb w Dimonie na pustyni Negew.

W zamian Izrael pomógł RPA zbudować sześć bomb atomowych, które rozbrojono za czasów Tęczowej Koalicji, zanim władzę w kraju przejął Afrykański Kongres Narodowy.

Potajemna wojna szalała przez sześć dziesięcioleci i wciąż się nie skończyła. Od czasu do czasu opinia publiczna widzi jej przebliski – pojedyncze trupy lub zniszczone placówki. Dawna organizacja Mossad le-Alija Bet, utworzona w celu wydobywania europejskich Żydów, którzy przetrwali Holokaust, z obozów koncentracyjnych i przewożenia ich do Ziemi Obiecanej, przekształciła się w Mosad i stała się zapewne najpotężniejszą tajną agencją wywiadowczą na świecie.

W amerykańskiej CIA istnieje Wydział do Zadań Specjalnych (SAD), który na rozkaz jest gotowy iść na wojnę i zabijać. Brytyjski MI6 (albo SIS) woli nie brudzić sobie rąk i polega na pułkach sił specjalnych. Izrael także dysponuje siłami specjalnymi, ale Mosad bez wahania przeprowadza egzekucje, zarówno w kraju, jak i za granicą. Stąd długa lista zabitych wrogów, którzy stanowili potencjalne zagrożenie dla Izraela bądź zasłużyli na odwet, jak terroryści odpowiedzialni za zabicie izraelskich sportowców podczas igrzysk olimpijskich w Monachium w 1972 roku.

Za rządów szacha Izrael nie musiał się obawiać Iranu, ale po nastaniu ajatollahów wszystko się zmieniło, zwłaszcza gdy ruszył projekt budowy irańskiej bomby atomowej. Iran powołał korpus Pasdaran i wchodzącą w jego skład brygadę al-Kuds, która miała dokonywać aktów terroru i mordów w kraju i za granicą. Do tego można dodać VAJA, Ministerstwo Wywiadu, oraz SAVAMA, tajną policję, z siecią koszmarnych więzień i sal tortur.

Za stworzenie bomby atomowej odpowiadała i wciąż odpowiada organizacja FEDAT, która prowadzi obszerny rejestr obejmujący wszystkie podejmowane działania, dokonywane zakupy, zwerbowanych naukowców, składy materiałów rozszczepialnych i dotychczasowe postępy. Przez lata Iran sprytnie fałszował zawartość tych archiwów. Podczas gdy świat przerzucił się na skomputeryzowane bazy danych, Iran zachował znaczną część swoich tajnych dokumentów w formie papierowej. Zgodnie z zasadą, że „najciemniej



jest po latarnią”, składowano je w ogromnym, ale zaniedbanym magazynie na południu Teheranu, w miejscu zwanym Shorabad.

Pewnego dnia archiwa skradziono; zniknęło pół tony dokumentów. Kradzieży dokonał Mosad, chociaż do dziś nikt nie wie, jak tego dokonał, poza tym, że przywódcy organizacji mają siedzibę w równie anonimowym biurowcu na północ od Tel Awiwu. Wygląda na to, że izraelscy agenci uzyskali dostęp do magazynu w Shorabadzie i jakimś cudem przenieśli całą jego zawartość na lądowisko śmigłowca albo bezpośrednio na pokład okrętu czekającego w Zatoce Perskiej. Stamtąd dokumenty trafiły do Izraela – wokół Półwyspu Arabskiego i dalej przez Morze Czerwone.

Ale zdobycz nie była kompletna. Reszta materiałów wciąż znajdowała się w bazie danych FEDAT, do której jak dotąd nikomu nie udało się włamać. I właśnie przeniknięcie do tej bazy obiecał sir Adrian w ramach układu zawartego z Awim Hirschem, który najwyraźniej dostał zielone światło w Tel Awiwie, dokąd udał się incognito liniami El Al.

\* \* \*

Izraelski firmowy odrzutowiec Gulfstream VI wylądował w bazie RAF-u niedaleko Brize Norton w hrabstwie Oxford. Był to samolot izraelskiego multimilionera i nosił barwy jego firmy informatycznej. Mężczyzna należał do *sajanim*, „pomocników”, ogólnoświatowej sieci Żydów, których nie da się powiązać z Mosadem, ale którzy są na każde jego wezwanie. Odrzutowiec stacjonował nie na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, tylko w wojskowej bazie lotniczej Sede Dow na północy. Grupa Brytyjczyków czekała w ukryciu. Pojawili się, gdy zatankowano samolot, a wtedy starszy podoficer podprowadził ich do schodków gulfstreama. Komitet powitalny, który miał towarzyszyć im w podróży do Izraela, nie opuścił maszyny.

W skład brytyjskiej grupy wchodziła ładna blondynka, która otaczała troskliwą opieką nerwowego, boleśnie nieśmiałego i wyraźnie niechętnego nastolatka oraz jego młodszego brata. Towarzyszyli im trzej technicy komputerowi, którzy z nimi mieszkali.

Na pokładzie znajdowali się dwaj członkowie załogi oraz stewardesa, wszyscy w firmowych uniformach. Byli także czterej agenci Mosadu, którzy przedstawili się tylko nieprawdziwymi imionami – Juwał, Mosze, Mordechaj i Awram. Obowiązywał zakaz robienia zdjęć, lecz i tak nikt nie miał zamiaru wyjmować aparatu.

Niestety, wśród nich był zdrajca. Urodzony i wychowany w Iranie, znalazł się na celowniku Irańskiego Ministerstwa Wywiadu, które zaproponowało mu bardzo dużą sumę, jeśli zgodzi się dla nich szpiegować. Mężczyzna pragnął pewnego dnia wyemigrować do Stanów Zjednoczonych jako bardzo bogaty człowiek, więc uległ.

Na szczęście jednak dyrektor Mosadu, Meyer Ben-Awi (kryptonim Spinki), dobrze o tym wiedział i wykorzystywał zdrajcę, by ten przekazywał do Teheranu fałszywe informacje. Mimo wszystko metoda ta miała swoje ograniczenia i pewnego dnia, w niedalekiej przyszłości, miało dojść do porannego aresztowania i cichego procesu, zakończonego bardzo długą odsiadką w podziemnym więzieniu, a może, co bardziej prawdopodobne, śmiertelnym wypadkiem samochodowym. Następnie tajny rachunek bankowy, który najwyraźniej wcale nie był taki tajny, zostanie przejęty, by zasilić fundusz wsparcia dla wdów i sierot.

To był spokojny lot, a na starym lotnisku Owda czekały na nich trzy limuzyny, które miały ich zawieźć do nowo wyposażonej willi na obrzeżach miasta Ejlat, z daleka od wzroku turystów, ale na tyle blisko wody, by mogli się codziennie kąpać w ciepłym błękitnym morzu. Nad wodą stał bar otwarty przez Rafiego Nelsona.

\* \* \*

Kiedy Brytyjczycy wprowadzili się do swojej willi nad wodami zatoki Akaba, eskorta złożona z czterech agentów Mosadu została zwolniona i wróciła samolotem do Tel Awiwu. Jeden z nich, znany jako Motti, miał poważny problem. Musiał donieść o wszystkim, czego się dowiedział, swoim mocodawcom w Teheranie.

O katastrofie, która wydarzyła się w zakładach oczyszczania uranu w Fordo, słyszeli już wszyscy. Ale Motti wiedział także, że – jakkolwiek dziwacznie to brzmiało – młodociany geniusz, który uzyskał kody dostępu do głównego komputera w Fordo, siedział metr od niego podczas sześciogodzinnego lotu z Brize Norton do Ejlatu.

Brytyjczycy nie znali hebrajskiego i rozmawiali wyłącznie po angielsku, ale Motti biegle posługiwał się także tym językiem. Niespokojny nastolatek siedział z tyłu samolotu, przy zasłoniętych oknach, i nie chciał patrzeć na morza i lądy przemykające pod skrzydłem. Zagrzebał się w fachowych czasopismach, całkowicie niezrozumiałych dla Mottiego, który miał jedynie podstawową wiedzę na temat komputerów. Chłopak przyjął od stewardesy tylko lemoniadę i niezręcznie się uśmiechnął, gdy kobieta się do niego odezwała. Ale było jasne, że to właśnie ten umysł złamał szyfry w Fordo. Teraz Motti musiał przekazać tę informację ze swojego mieszkania na przedmieściach Tel Awiwu do oddalonego o tysiąc sześćset kilometrów Teheranu.

Urodził się i wychował w Isfahanie, w rodzinie wywodzącej się z malutkiej trzydziestotysięcznej żydowskiej społeczności, która wciąż żyła w Iranie. Jako nastolatek przemknął się przez granicę, korzystając z zamieszania, które wybuchło, gdy szach stracił władzę, i skorzystał z prawa powrotu, by wyemigrować do Izraela.

Oczywiście mógł uchodzić za Irańczyka, gdyż mówił po persku bez obcego akcentu. Zgłosił się na ochotnika do Duwdewanu, ale uznano, że podjąłby zbyt wielkie ryzyko, wracając do Iranu w tajnych misjach, skoro krajem rządzą ajatollahowie. Każdy z jego dawnych znajomych mógłby go rozpoznać i zadenuncjować, choćby przez przypadek. Zamiast tego włączono go więc w szeregi Mosadu.

Ktoś w Isfahanie musiał się wygadać. Z Mottim skontaktowano się w Starej Jerozolimie i zaproponowano mu układ. W zamian za sowite wynagrodzenie, płacone za każdą nową informację, mógł zmienić front i pracować dla VAJA. Z myślą o bogatym życiu na emeryturze, przyjął propozycję.

Już wkrótce rozpoczął pracę podwójnego agenta. Izraelczycy rzadko przechodzą na stronę Iranu albo którejkolwiek innej bliskowschodniej

dyktatury, ale odwrotne przypadki są na porządku dziennym. W Iranie wielomilionowa populacja podlega budzącemu grozę Pasdaranowi i wielu zwolenników radykalnych reform jest gotowych pracować przeciwko niemu.

Meyer Ben-Awi dowodził siatką wywiadowczą w Iranie, gdzie miał dwójkę agentów wewnątrz VAJA, i rekrutacja Mottiego dokonała się błyskawicznie. Można go było po prostu aresztować i złamać jego opór w podziemnym kompleksie pod piaskami pustyni Negew, ale Ben-Awi postanowił spróbować innego sposobu. Chociaż wymagało to zaangażowania wielu ludzi, poddał zdrajcę bezustannej obserwacji, podsłuchiwał wszystkie jego rozmowy, czytał notatki i zwracał uwagę na to, z kim Motti rozmawia.

W branży szpiegowskiej celowa dezinformacja to potężny oręż, a posiadanie „łącza” z najwyższymi doradcami wroga jest bardzo pożądane. Taką rolę nieświadomie odgrywał Motti.

Nadejście ery całkowicie cyfrowej komunikacji znacznie usprawniło wszelkie rodzaje legalnej działalności, lecz także spowodowało, że przechwytywanie informacji stało się dziecinnie łatwe. W związku z tym pojawiła się tendencja powrotu do staroświeckich metod.

Iranowi przez lata udawało się przechowywać papierową dokumentację programu nuklearnego w magazynie w Shorabadzie, gdzie nie mogła jej skontrolować Międzynarodowa Agencja do spraw Energii Atomowej, działająca w Wiedniu. Z obawy przed szpiegostwem cybernetycznym tajni agenci również powrócili do tradycyjnych rozwiązań, takich jak przekazywanie materiałów z ręki do ręki oraz podrzucanie ich do ustalonych kryjówek.

Pierwsza z tych metod wymaga idealnego zgrania w czasie. Szpieg ma przy sobie setki tajnych dokumentów, zapisanych na mikrofilmie ukrytym w pojemniku nie większym od pudełka zapalek. Ten pojemnik musi całkowicie niepostrzeżenie przekazać odbiorcy. Problem w tym, że szpieg jest podejrzany i śledzą go funkcjonariusze tajnej policji.

Nagle skręca z chodnika do baru albo restauracji. Odbiorca właśnie stamtąd wychodzi. Przez pół sekundy mijają się w drzwiach. Następuje przekazanie pojemnika. Agenci również ruszają do drzwi. Odbiorca grzecznie

ich przepuszcza. Potem oddała się ze swoją zdobyczą. Szpieg jest teraz absolutnie „czysty”.

Druga metoda wymaga użycia kryjówki w terenie, na przykład obluzowanej cegły w murze bądź otworu w pniu drzewa w parku. Kryjówkę znają tylko szpieg i odbiorca. Szpieg udaje się tam, sprawdza, czy nie jest obserwowany, i zostawia pakunek. Później w umówionym miejscu kreśli znak kredą. Szpieg i odbiorca nie zbliżają się do siebie nawet na kilka kilometrów. Zauważywszy znak, którego regularnie wypatruje, odbiorca idzie do kryjówki i bierze pakunek. Motti miał takie miejsce za arabską kawiarnią we wschodniej części Starej Jerozolimy.

Starannie napisał raport w języku perskim na pojedynczym arkuszu zwyczajnej papeterii, wyczyścił go gąbką zamoczoną w wybielaczu, wielokrotnie złożył kartkę, schował ją do pudełka po zapalkach i wytarł odciski palców. Następnie, nie dotykając już pudełka, wsunął je do bawełnianego woreczka i pojechał autobusem firmy przewozowej Egged do Jerozolimy.

Wysiadł po zachodniej stronie miasta i dołączył do tłumu turystów, którzy wchodzili przez Bramę Mandelbauma, by krążyć po labiryncie historycznych uliczek i bazarów Starego Miasta. Godzinę później pudełko znalazło się w otworze za obluzowaną cegłą, a na kamiennym filarze mostu, niecałe sto metrów od Drogi Krzyżowej, pojawił się znak narysowany kredą. Nie zwrócił na niego uwagi żaden miejscowy ani turysta.

Motti skrupulatnie się przygotował; nie było żadnego ryzyka. Ale w wychodzącym na kawiarnianą toaletę oknie na poddaszu siedział młody początkujący agent Mosadu, który prowadził nudną obserwację kryjówki. Zobaczył, że Motti zostawił pakunek, i powiadomił przełożonych. Kilka godzin później śniady mężczyzna prześlizgnął się obok toalet, skręcił w opustoszałą uliczkę i zabrał pudełko. Obserwator ponownie złożył meldunek.

O zmierzchu śniady mężczyzna przekroczył most Allenby, wracając do Jordanii. Pudełko po zapalkach zmierzało już do Teheranu, do Hosseina Taeba, szefa wywiadu Pasdaranu. Na przedmieściach Tel Awiwu Ben-Awi, który uwielbiał starą szkocką whisky, sącył chivas regal, patrząc na ostatnie promienie zachodu słońca nad ciemniejącym Morzem Śródziemnym.

Zrobił, co było w jego mocy. Teraz mógł tylko czekać. W branży szpiegowskiej często trzeba się uzbroić w cierpliwość.

## Rozdział czternasty

Hossein Taeb, chociaż Pasdaran mianował go szefem wywiadu, nigdy nie był żołnierzem ani agentem. Był duchownym, zanurzonym w szyickiej teologii, całkowicie oddanym Najwyższemu Przywódcy ajatollahowi Chameneiemu oraz siłom rewolucyjnym, które rządziły w Iranie od upadku szacha. Raport, który otrzymał od jednego z zaledwie dwóch informatorów w izraelskiej machinie wywiadowczej, przepełnił go gniewem.

Doskonale wiedział, co uczyniono wspaniałemu zakładowi w Fordo i kto za tym stał. Uczestniczył w ściśle tajnej odprawie, podczas której czołowy irański fizyk nuklearny wyjaśnił, ile potrzeba lat, by odbudować to, co utracono w Fordo, i uzupełnić zapasy wzbogaconego uranu.

Hossein wiedział też, że przed laty Izrael, zafascynowany możliwościami i bogactwem kalifornijskiej Doliny Krzemowej, postanowił zbudować jej odpowiednik. Jego wydział nadzorował tworzenie cybermiasta, które przemieniło pustynne miasteczko Beer Szewa w enklawę lśniących wieżowców. Eksperti informowali go o nieustannej rekrutacji najwybitniejszych młodych umysłów wywodzących się z wrogiego Izraela. Proponowano im pracę i mieszkanie, pod ziemią bądź na powierzchni, w siedzibie Jednostki 8200, najlepszej – nie licząc Cheltenham i Fort Meade – supertajnej agencji zajmującej się szpiegostwem cybernetycznym. Iran z pewnością nie miał niczego, co mogłoby się z nią równać.

Ale Hossein zdawał sobie również sprawę, że to nie zespoły genialnych młodych Żydów z Beer Szewy odpowiadały za zniszczenie zakładów w Fordo. Owszem, to oni włamali się do głównego komputera i wprowadzili niszczycielskie instrukcje, ale ktoś inny dostarczył im kody dostępu, które od bardzo dawna bezskutecznie starali się zdobyć. Moskwa uprzejmie wyjawiała

Najwyższemu Przywódcy tożsamość osoby, która dokonała niemożliwego – młodzieńca z Anglii, uchodzącego za najgroźniejszego hakera na świecie. Chłopak w nagrodę przyleciał właśnie do Izraela, by spędzić wakacje nad wodami zatoki Akaba. Duchowny wezwał swojego szefa operacji.

Pułkownik Mohammad Khalq nie był duchownym – był urodzonym żołnierzem i zabójcą. W młodości dołączył do Basidzu, ochotniczych sił rezerwowych należących do Pasdaranu, które podczas wojny z Irakiem Saddama Husajna urządały samobójcze rajdy na irackie przygraniczne pola minowe, by oddać życie za Allaha i ojczyznę.

Jego poświęcenie i męstwo przyciągnęły uwagę. Przeniósł się z Basidzu do regularnych wojsk Pasdaranu i z każdą kolejną operacją wspinał się w hierarchii, służąc w południowym Libanie u boku szkolonych przez Iran bojowników Hezbollahu, a ostatnio także z żołnierzami Asada w Syrii. Przeczytał raport od zdrajcy z Mosadu i podniósł wzrok na Hosseina Taeba.

– On musi umrzeć – oznajmił duchowny.

– Oczywiście – odrzekł żołnierz.

– Chciałbym, żebyś osobiście przejął dowodzenie – dodał Taeb. – Zapewnię ci wszystkie niezbędne zezwolenia. Tylko żadnych opóźnień. Anglicy nie będą tutaj przebywali zbyt długo.

Pułkownik Khalq od razu zdecydował, że przeprowadzi atak z morza, i miał w tej materii mnóstwo możliwości. Pasdaran jest nie tylko armią wewnątrz armii, tajną policją, stróżem porządku, szerzycielem terroru i gwarantem obywatelskiego posłuszeństwa. Dysponuje także własnym lotnictwem i marynarką wojenną, rozległym przemysłowym i handlowym imperium oraz flotą handlową. Khalq zostawił swojego przełożonego i udał się na naradę z generałem dowodzącym wszystkimi jednostkami pływającymi Pasdaranu, zarówno wojskowymi, jak i handlowymi.

\* \* \*

Wybrana łódź nazywała się *SS Mercator*; pierwotnie nosiła irańską nazwę, ale została przemianowana i obecnie pływała pod banderą Valletty, stolicy Malty. Ta malutka republika, należąca do Unii Europejskiej, chętnie pobiera



opłaty rejestracyjne od jednostek handlowych, których ładunku nie musi sprawdzać.

Na taki wybór wpłynął fakt, że *Mercator* był parowcem o wyporności zaledwie dwóch tysięcy ton, zaniedbanym i przeżartym rdzą, dzięki czemu nikt nie powinien zwracać na niego uwagi, gdy będzie przewoził niewielkie ładunki z portu do portu. Poza tym statek obecnie stał pusty w Bandar Abbas, na głębokim południu Iranu.

Pierwszym zadaniem była wymiana szypra i całej załogi na drużynę wyszkolonych w walce marynarzy, ściągniętych z kutrów torpedowych, które regularnie nękają zachodnie jednostki handlowe w Zatoce Perskiej. Ali Fadavi, dowódca marynarki wojennej Pasdaranu, dokonał tego w ciągu dwudziestu czterech godzin. Następnie do luków *Mercatora* załadowano deski, słupy i belki, które według dokumentacji zamówiła firma budowlana z Akaby w Jordanii, prężnie działającego portu leżącego po drugiej stronie zatoki.

Aby pokonać ostatnie pięć mil dzielące Akabę od Ejlatu, pułkownik zamówił dwie spośród najszybszych motorówek świata, Bradstone Challenger, których kilkanaście sztuk Iran niedawno zakupił bez wyraźnego powodu. Po spokojnej wodzie mogą one pędzić z prędkością ponad pięćdziesięciu węzłów i zazwyczaj służą do zabawy nieznanym umiaru bogaczom. Pułkownik Khalq również udał się na południe, żeby dołączyć do załogi *Mercatora*. Motorówki ustawiono na pokładzie i przykryto brezentem.

Teraz przyszła pora na zwerbowanie żołnierzy. Pułkownik wybrał dwunastu komandosów marynarki wojennej. Wszyscy mieli doświadczenie w akcjach desantowych i potrafili posługiwać się bronią na krótki dystans. Ekipa poleciała śmigłowcami na południe, kierując się ku statkowi, który znajdował się dwadzieścia mil od brzegu, w cieśninie Ormuz. Dowodzona przez pułkownika Khalqą grupa uderzeniowa opuściła się ze śmigłowców na pokład dziobowy *Mercatora*, po czym udała się do swoich ciasnych kwater w lukach bagażowych wypełnionych drewnem. Czekali ich pięciodniowy rejs na pełnych obrotach silnika do zatoki Akaba.

W swoim raporcie Motti donosił, że nad bezpieczeństwem willi czuwa policja z Ejlatu, która oddelegowała do tego zadania zmieniające się cyklicznie

zaledwie dwuosobowe zespoły funkcjonariuszy, by nie przeszkadzać gościom w wakacjach. Tak powiedziano Mottiemu, gdy oddział Mosadu wyruszył na północ. Nie była to prawda. Meyer Ben-Awi przydzielił do ochrony willi dwudziestu członków specjalnej jednostki Sajjeret Matkal.

Matkal zazwyczaj działa poza granicami Izraela i specjalizuje się w dyskretnym przenikaniu do społeczności na całym Bliskim Wschodzie, by następnie czekać na sygnał do działania. Potrafią pozostawać niewidoczni, ale gdy już się ujawnią, zazwyczaj są zabójczo skuteczni.

*Mercator* minął port Aden i wpłynął w wąską cieśninę Bab al-Mandab, gdzie wreszcie został zidentyfikowany. Dla izraelskiego samolotu to była kwestia eliminacji. Statek miał właściwe rozmiary, maltańska bandera nie mogła nikogo zwieść, a ślad pozostawiany na wodzie wskazywał, że jednostka płynie pełną parą. Wystarczyło skontaktować się z komendantem portu w Akabie, by potwierdzić, że właśnie taki jest cel podróży *Mercatora*. Na pokładzie znajdował się ładunek okryty brezentem, a jordańska firma budowlana, która rzekomo zamówiła drewno, kilka miesięcy wcześniej ogłosiła upadłość. Jednostce wywiadowczej Hosseina Taeba nie brakowało motywacji, ale nie zadbała o szczegóły. Po minięciu Dżuddy *Mercator* był pod ścisłą obserwacją aż do Akaby.

Kiedy statek dotarł do celu, nie zakotwiczył w wewnętrznej przystani, tylko zacumował na redzie. Za pomocą żurawików opuszczono na wodę obie motorówki i przycumowano je obok jednostki. Miały pełne baki i mogły w ciągu kilku minut dotrzeć do zatoki Akaba, a następnie pomknąć na południe, na spotkanie ze zmierzającym na północ znacznie większym i ciężiej uzbrojonym okrętem wojennym Pasdaranu.

Przed opuszczeniem Iranu pułkownik Khalq polecił agentowi obsługującemu kryjówkę, w której Motti zostawiał pakunki, by porzucił tymczasową rolę turysty w Jordanii i wrócił do Izraela. Stamtąd, wciąż jako niegroźny turysta, miał wyruszyć do Ejlatu i zrobić rekonesans w okolicach willi opisaney przez Mottiego, położonej na południe od kurortu, niedaleko baru, który kiedyś prowadził Rafi Nelson.

\* \* \*

Patrząc z brzegu przez lornetkę, agent zobaczył nadpływającego *Mercatora* i w wynajętej łódce ruszył mu na spotkanie, by naradzić się z jego kapitanem.

W kapitańskiej kajucie szczegółowo opisał willę. Widział dwóch policjantów z Ejlatu strzegących bramy. Nie widział agentów Sajjeret Matkał, którzy ukrywali się w willi i jej bezpośrednim otoczeniu.

Zauważył sześćosobową grupę Brytyjczyków: trzech mężczyzn oraz matkę z dwoma synami, z których jednego, nieśmiałego i nerwowego, trzeba było namawiać, by zanurzył się w ciepłej błękitnej wodzie. Agent nie użył aparatu, ale zdołał sporządzić dokładne szkice, które teraz przekazał pułkownikowi Khalqowi. Pułkownik zaplanował atak na następny wieczór.

\* \* \*

Była druga nad ranem, godzina nocnych zabójców, gdy dwie motorówki odcumowały od przystani i wypłynęły na zatokę. Nie było powodu się śpieszyć – oszałamiająca prędkość miała się przydać dopiero podczas ucieczki na Morze Czerwone. Od dwudziestej pierwszej poprzedniego wieczoru, gdy zapadł zmrok, światła wabiącego turystów miasta Ejlat nieprzerwanie lśniły na zachodzie, a nad cichym morzem rozlegała się muzyka płynąca z setek barów, restauracji, klubów i przyjęć. Z tyłu znajdował się znacznie cichszy przemysłowy port w Akabie, niegdyś wyzwolony z rąk Turków przez Lawrence'a i Haszymidów, który o drugiej nad ranem był już pogrążony we śnie. Potężne, ale wyciszone silniki dwóch challengerów tylko lekko szemrały, pchając motorówki na zachód z prędkością niecałych dziesięciu węzłów.

Na południe od Ejlatu pojawiły się rozproszone światła podmiejskich willi. Wcześniej, gdy jeszcze było jasno, pułkownik przepłynął sztywnym pontonem, który służył jako szalupa ratunkowa *Mercatora*, zabrana na wypadek, gdyby załoga musiała porzucić statek, i w okolicach plaży zmieszał się z turystami, by sprawdzić dokładne położenie celu. Samotny plażowy bar służył jako punkt orientacyjny. Zamierzali przybić do brzegu kilkanaście metrów od niego, skąd pozostanie im do przebiegnięcia około stu metrów.

Na każdej z motorówek płynęła dwuosobowa załoga oraz po sześciu uzbrojonych komandosów. Zmieściłoby się ich więcej, ale pułkownik Khalq

nie chciał, by na siebie wpadali, gdy będą wskakiwać do głębokiej po kolana wody i biec po plaży. Siła ognia dwunastu doświadczonych strzelców powinna wystarczyć do wyeliminowania celów.

Nie wiedział, że inna para oczu, wspomagana przez silną lornetkę z noktowizorem, zauważyła motorówki wynurzające się z czerni morza i kierujące się w stronę plaży. Wydano ciche rozkazy w stronę lądu, nie po persku, ale po hebrajsku.

Ludzie pułkownika idealnie dobili do brzegu i popędzili po piasku niemal w jednej linii. Snajperzy mogliby ich zdjąć już wcześniej, ale również musieli wykonywać rozkazy. W willi nie było nikogo poza manekinami, które udawały skulonych ludzi śpiących w łóżkach. Żołnierze Pasdaranu dotarli do budynku, w którym drzwi i okna były otwarte, po czym wbiegli na piętro. Nagle rozległy się strzały, zakłócając ciszę nocy i sprawiając, że ludzie mieszkający w sąsiedztwie ze strachem zerwali się z łóżek.

Turyści, którzy zbudzili się w swoich willach przy plaży, zanurkowali na podłogę, szukając osłony. Ostatni dwaj klienci baru zaklęli i przypadli do ziemi razem z barmanem.

Wewnątrz namierzonego domu nikt nie stawiał oporu. Napastnicy wdarli się do wszystkich sypialni i podziurawili pociskami śpiące postacie. Najmłodszy komandos wbiegł do pokoju, z którego właśnie wypadł pułkownik Khalq. W rozmytym zielonym półświecie noktowizora wyraźnie dostrzegł jasnowłosego młodzieńca w bawełnianej pizamie, zalanego krwią od brody do pasa, rozciągniętego na mokrej pościeli. Zawrócił i podążył za swoim pułkownikiem. Dobra robota. Zadanie wykonane.

Dwunastka zabójców wybiegła z willi tą samą drogą, którą się do niej dostali – przez frontowe drzwi i przez okna. Karabiny snajperskie z tłumikami nie robiły hałasu. Spanikowani turyści niczego nie usłyszeli. Tuż przed śmiercią pułkownik Khalq zastanawiał się, dlaczego dwaj policjanci nie byli w miejscu, w którym widział ich, gdy po południu przypłynął tu pontonem. Nigdy nie poznał odpowiedzi.

Podobnie jak żołnierze sił specjalnych w Chandler's Court, członkowie Matkal używali amunicji grzybkującej. Pociski wbijały się w ciało, a następnie rozszerzały się, pozostawiając otwór wylotowy wielkości spodka. Ocalało

tylko dwóch. Rozkazy były jasne. Najwyżej dwie osoby mają dotrzeć z powrotem do motorówek. Pozostała dziesiątka nie pokonała nawet połowy ze stu metrów dzielących ich od brzegu.

Młody żołnierz, który natrafił na pułkownika w sypialni chłopca, był jednym z ocalałych. Zauważył, że jego towarzysze padają na ziemię, ale przez sekundę myślał, że tylko się potykają, i zdziwił się dlaczego. Po chwili był już zanurzony po kolana w morskiej wodzie i chwycił wyciągające się ku niemu ręce. Dwa challengery z rykiem silników odbiły od plaży i pomknęły w ciemność. Nikt nie strzelał w ich kierunku.

\* \* \*

Z bunkra ponad willą Awi Hirsch patrzył na blaknące kremowe smugi na wodzie. Pozwolono mu zostawić terenowe biuro w Londynie pod opieką zastępcy, przylecieć do ojczyzny i osobiście pokierować operacją w Ejlacie. W końcu, jak tłumaczył Meyerowi Ben-Awiemu, ten pomysł zrodził się za sprawą rozmowy w wolnym od podsłuchów pomieszczeniu obok Palace Walk, w której brali udział on oraz pewien przebiegły staruszek z tytułem szlacheckim, były agent brytyjskiego wywiadu, z którym Mosad już wcześniej współpracował.

Dwa challengery potrzebowały godziny, by przemierzyć zatokę Akaba i spotkać się z okrętem wojennym Pasdaranu. Zużyły przy tym niemal całe paliwo i zostały wciągnięte na pokład. Okręt miał ruszyć w rejs powrotny, opuścić Morze Czerwone, popłynąć wzdłuż wybrzeża Omanu i dalej do cieśniny Ormuz. Ale fale radiowe są szybsze.

Raport, który złożyli komandosi, został podsłuchany przez młodych pracowników Jednostki 8200 niedaleko Beer Szewy i w ciągu godziny dotarł do Hosseina Taeba. On z kolei przekazał wieści Najwyższemu Przywódcy w jego skromnym mieszkaniu przy ulicy Pasteura. Komandosi ponieśli ciężkie straty, gdy niewierni Żydzi obudzili się i odpowiedzieli ogniem. Ale spóźnili się. Angielski chłopak zginął – zwłoki zidentyfikował jeden z ocalałych żołnierzy.

Izrael podtrzymywał tę fikcję. Radosne wieści prędej czy później miały wypłynąć. Dla mediów w Ejlacie to była duża historia – nocna strzelanina między dwoma rywalizującymi gangami na plaży na przedmieściach. Uspokojono turystów, że gangsterzy zostali złapani przez policję, która na nich czekała dzięki anonimowemu informatorowi. Jak większość medialnych historii, także ta szybko ucichła. Turyści mają cudowny zwyczaj wracać do domu, gdy skończą się ich wakacje. Nikt nawet nie widział ciał – wszystkie zniknęły przed świtem.

Złożono gorące gratulacje szóstce aktorów z Izraelskiej Szkoły Filmowej, zwłaszcza młodzieńcowi o ufarbowanych na blond włosach, który wspaniale odegrał rolę Luke’a Jenningsa. A także wydziałowi technicznemu Spiro Films za stworzenie sześciu manekinów, z których po strzelaninie trysnęło kilka wiader realistycznie wyglądającej krwi.

Aktorom podziękowano też za bezbłędną angielszczyznę, jaką posługiwali się podczas lotu z Brize Norton do lotniska Owda i podróży do willi. Nabrali nawet Mottiego.

Teheran świętował, przekonany, że ten, który zniszczył wirówki w Fordo, gnije już w piekle niewiernych.

W Moskwie irański ambasador poprosił o spotkanie z Woźdciem. Wyznał, że ma ważne informacje, które chciałby osobiście przekazać władcy Kremla. Kiedy się spotkali, Rosjanin początkowo był nastawiony sceptycznie, ale z zadowoleniem pogratulował irańskiemu dyplomacie, gdy ten zdradził, że podczas wakacji w Izraelu komputerowy geniusz Luke Jennings został zabity przez oddział irańskich komandosów.

Kiedy ambasador wyszedł, grzecznie odmówił toastu wódką, Rosjanin zadzwonił do swojego asa wywiadu w Jasieniewie. Jewgienij Kryłow z przyjemnością odebrał gratulacje. Ale po zakończeniu rozmowy poprosił o kilka teczek z archiwum. To żadna tajemnica, że centra szpiegowskie na całym świecie zbierają informacje o swoich przyjaciołach i jeszcze bardziej szczegółowe dane o swoich wrogach. W archiwach Jasieniewa znajdowały się obszerne materiały dotyczące znanych pracowników CIA, FBI i innych amerykańskich agencji. To samo dotyczyło agentów brytyjskiego MI5, a tym bardziej MI6. Te dane gromadzono od wielu lat.

Sir Adrian Weston zwrócił na siebie uwagę, gdy stanął na czele wydziału Europy Wschodniej w czasie zimnej wojny. Choć ta się skończyła, przynajmniej oficjalnie, zainteresowanie Westonem nie zmalało. W archiwum było wiele materiałów dotyczących jego awansu na stanowisko zastępcy dyrektora MI6. Właśnie o tę teczkę poprosił Jewgienij Kryłow. Kiedy mu ją dostarczono, studiował ją przez godzinę.

Według dokumentów pan Weston, jak go wtedy nazywano, odnosił spektakularne, choć nienagłaśniane sukcesy w walce ze Związkiem Radzieckim, a później z Federacją Rosyjską. Wiedzano o dwóch ważnych radzieckich i rosyjskich zdrajcach, których zwerbował, ale przypuszczano, że było ich więcej. Wyglądało na to, że jego specjalnością było oszustwo: zmylenie przeciwnika, odwrócenie uwagi, podstęp. Podejrzewano nawet, że po przejściu na emeryturę został potajemnie zatrudniony jako doradca brytyjskiej premier.

Czyżby wciąż był aktywny? Wszystkie problemy, jakie ostatnio spotkały Rosję i jej sojuszników, mogły się kojarzyć z działaniami człowieka, którego gruba na kilka centymetrów teczka leżała na biurku Kryłowa. Znajdowało się tam także jego zdjęcie, które zrobiono szpiegowską kamerą, ukrytą w guziku, podczas dyplomatycznego przyjęcia wiele lat temu. Podejrzenia Kryłowa zmieniły się niemal w pewność. A więc to Adrian Weston odwiedził Fritscha w banku Vaduz – sfotografowano go w holu, a zdjęcie w teczce przedstawiało tego samego człowieka. Najwyraźniej nie połknął przynęty. Katastrofa goniła katastrofę. Kryłow zapatrzył się w zdjęcie i ogarnęły go wątpliwości co do przebiegu masakry w zatoce Akaba.

\* \* \*

Sue Jennings ucieszyły odwiedziny sześciorga gości z Izraela. Nie wiedziała, co właściwie tu robią, ale ufała sir Adrianowi na tyle, by mu uwierzyć, gdy oznajmił, że ma plan, który zapewni bezpieczeństwo jej rodzinie.

Zauważyła podobieństwo między sobą a izraelską blondynką, a także między swoimi synami a chłopcami o kręconych włosach. Nie była tak

naiwna, by myśleć, że to przypadek. Musiało chodzić o jakiegoś rodzaju odgrywanie ról, ale nie znała powodów tych działań. Zresztą nie chciała ich znać. Tak widocznie musi być w świecie mistyfikacji.

Mimo wszystko cieszyła się z ich obecności, która była miłą odskocznią od codziennej monotonii. Goście zatrzymali się tylko na dwa dni i przez cały ten czas uważnie obserwowali ją i jej synów.

Poza tym w objęciach kapitana SAS Harry'ego Williamsa doświadczała cielesnych uniesień, o jakich nawet nie marzyła w poprzednim życiu. Jej młodszemu synowi, Marcusowi, bardzo podobało się w nowej szkole. Został kapitanem drużyny krykieta Colts XI, co zwróciło na niego uwagę jego pierwszej dziewczyny.

Sue nie wiedziała natomiast, co dokładnie dzieje się w skrzydle komputerowym, gdzie jej starszy syn, Luke, jak zawsze skupiony na ekranie, całymi godzinami stukał w klawiaturę, zanurzając się w świecie, do którego najwyraźniej nie mógł za nim podążać nawet doktor Hendricks.

\* \* \*

Ten sam doktor Hendricks pewnego niezwykle upalnego dnia na początku sierpnia udał się do swojego prywatnego gabinetu i wybrał numer sir Adriana.

– Zrobił to – rzucił do słuchawki, gdy tylko się połączył. – Cholera jasna, zrobił to. Poradził sobie ze wszystkim... z firewallami, służą, bez wyjątku. Od lat nikomu się to nie udawało, ale teraz ich mamy. A Teheran nawet się nie zorientował.

Sir Adrian mógłby sam powiadomić Awiego Hirscha, który już wrócił na swój posterunek, ale był skromnym człowiekiem i dał tę okazję Marjory Graham. Pani premier połączyła się przez bezpieczną linię z izraelskim ambasadorem i przekazała mu wieści, które miały uradować premiera Izraela. Następnie poleciła, by kody dostępu do głównej komputerowej bazy danych FEDAT przesłać do Jerozolimy i Waszyngtonu.

Zdobycie kodów pochodzących z irańskiego wydziału badań jądrowych w Teheranie dowiodło, że przywódcy Izraela i Stanów Zjednoczonych mieli



rację. Iran konsekwentnie okłamywał Międzynarodową Agencję do spraw Energii Atomowej, a co za tym idzie – cały świat. Nigdy nie przerwał ani nawet nie spowolnił badań nad energią atomową. W świetle zdobytych informacji wyglądało na to, że dokumenty pozyskane z magazynu w Shorabadzie stanowią tylko drobną cząstkę ukrywanych materiałów. Podniosła się wrzawa.

Ameryka wycofała się z międzynarodowego traktatu łagodzącego sankcje gospodarcze wobec Iranu. Większość pozostałych sygnatariuszy traktatu wyraziła sprzeciw, nie widzieli jednak zawartości archiwum FEDAT.

W Jerozolimie zlikwidowano kryjówkę za obluzowaną cegłą w murze na tyłach kawiarni, a w Tel Awiwie doszło do cichego aresztowania.

# Rozdział piętnasty

To była bardzo osobista konsultacja i miała miejsce podczas lunchu na zalanym słońcem tarasie Chequers, oficjalnej wiejskiej rezydencji brytyjskiej premier, niedaleko Londynu. Za catering jak zwykle odpowiadali pracownicy kuchni RAF-u. Mąż pani premier, Colin, wyjrzał na patio, skinął głową, uśmiechnął się, po czym wrócił do oglądania meczu krykieta pomiędzy Anglią a Australią.

Marjory Graham piła niewiele, ale od czasu do czasu lubiła uraczyć się kieliszkiem prosecco przed niedzielnym lunchem. Sir Adrian zamówił to samo. Kiedy kelnerka odeszła, pani Graham zwróciła się do gościa:

– Zamieszanie w Korei Północnej. Co o nim sądzisz, Adrianie?

– Otrzymała już pani pełną informację z Ministerstwa Spraw Zagranicznych?

– Od twoich byłych przełożonych. Oczywiście. Ale chciałabym poznać twoją opinię.

– Jakie jest oficjalne stanowisko?

– Oczywiście konwencjonalne. Konformistyczne. Powinniśmy podążać za amerykańskim przywództwem. Przytakiwać Departamentowi Stanu i Białemu Domowi. A co ty o tym myślisz?

Sir Adrian sączył wino, patrząc na faliste trawniki.

– Zdarzyło mi się uczestniczyć w kilku operacjach polegających na mistyfikacji. Nawet dowodziłem jedną czy dwiema. Mogą one poważnie zaszkodzić wrogom, a nam przynieść duże korzyści. Mogą sprawić, że wróg przez wiele miesięcy albo nawet lat będzie trwał w błędzie, tracąc czas, pieniądze, siły i nerwy. Wszystko na próżno, a nawet gorzej, ponieważ skutek jego działań będzie przeciwny do zamierzonego. Ale najgorszym

rozwiązaniem jest oszukiwanie samego siebie. Obawiam się, że Amerykanie właśnie na to się zdecydowali.

– Całkowita denuklearyzacja Korei Północnej. Niewykonalne? – spytała.

– To szwindel, pani premier. Kłamstwo, sztuczka mająca wzbudzić zaufanie. Ale jak zwykle umiejętnie podana. Niestety, wygląda na to, że Biały Dom dał się nabrać. Ponownie.

– Dlaczego? Nie brakuje im rozsądnych ludzi?

– Zbyt wielu zwolniono. A człowiek, który tam mieszka, pragnie otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla. Dlatego triumfuje łatwowierność, która zawsze poprzedza skuteczne oszustwo.

– Więc uważasz, że Pjongjang kłamie?

– Jestem tego pewien.

– Dlaczego uchodzi im to na sucho? Raz za razem?

– Korea Północna to zagadka. Pozornie nie mają prawie niczego. To niewielki jałowy kraj pozbawiony bogactw naturalnych, fatalnie rządzony, zbankrutowany, na krawędzi klęski głodu. Zbiory dwóch głównych upraw, ryżu i pszenicy, znów się nie udały. A mimo to w stosunkach ze światem zachowuje się jak zwycięzca.

– Dlaczego im się to udaje, Adrianie?

– Dlatego, że im na to pozwalamy. Rozsądni ludzie zawsze obawiają się szaleńców.

– A także dlatego, że mają broń jądrową.

– Owszem, i to obu rodzajów. Atomową i termojądrową. Uran i polon. Korea Północna ma obficie zaopatrzone arsenały i chociaż może się wydawać, że reżim Kima przekazuje część broni Międzynarodowej Agencji do spraw Energii Atomowej, jestem przekonany, że resztę trzymają w ukryciu. Wszystko zależy od tego, czy świat uwierzy ich kłamstwom.

– Ale jeśli Korea Północna publicznie zniszczy swój poligon... jak on się nazywa?

– Punggje-ri, pani premier.

– Jeśli go zniszczy, jak będzie mogła dalej to ciągnąć?

– Tak naprawdę Punggje-ri, który jest, a raczej był górą, już został zniszczony. Sami to zrobili, przez pomyłkę. Przez co najmniej trzydzieści lat

kolejne trzy reżimy, zdominowane przez dynastię Kimów, dziadka, syna, a obecnie wnuka, pracowały dniem i nocą nad stworzeniem całego arsenału bomb jądrowych. Przed laty wybrali górę Punggje-ri i zaczęli wiercić w jej zboczu. Kopali i kopali, aż dotarli do jej serca. Używali maszyn, ale także niewolników. Wiele tysięcy ludzi zmarło z niedożywienia i przepracowania. Wydobyto tyle ziemi, że można by z niej usypać kolejne dwie góry. Wywieziono ją ciężarówkami, tak by nie dało się niczego zobaczyć z powietrza. Kiedy dotarli do rdzenia, kopali dalej. Kolejne tunele, korytarze, komory doświadczalne, w sumie ponad dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów. Tunele szerokości autostrady, długie jak z Londynu do Hoek van Holland. Góra nie mogła tego wytrzymać. Zaczęła pękać i zapadać się do wewnątrz. Mimo to nie przestawali. W końcu przetestowali pod ziemią swoją największą bombę wodorową. Wywołali trzęsienie ziemi o sile ponad sześciu stopni w skali Richtera. To dopełniło implozji góry Punggje-ri. W tym samym czasie gospodarka Korei Północnej również zaczęła się sypać, tak jak góra, z powodu sankcji nałożonych przez resztę świata po tym, jak Koreańczycy wydali inspektorów z Międzynarodowej Agencji do spraw Energii Atomowej. W końcu, w zeszłym roku, zaproponowali układ: publicznie zniszczymy Punggje-ri, jeśli dostarczycie nam zboża i ropę, których potrzebujemy. A Zachód się na to nabrał.

W tym momencie premier mu przerwała.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Te informacje są publicznie dostępne, jeśli ktoś wie, gdzie ich szukać. Są ludzie w Królewskim Instytucie Zjednoczonych Służb, którzy poświęcają życie na studiowanie wszystkich strategicznych zagrożeń na świecie. Warto się z nimi konsultować.

– Więc dlaczego Zachód nabrał się na to oszustwo?

– Tak naprawdę nabrały się na nie Stany Zjednoczone, a ściśle mówiąc, Departament Stanu i Biały Dom.

– Powtarzam: dlaczego się na to nabrali?

– Ponieważ tego chcieli.

Sir Adrian całą swoją karierę urzędnika państwowego spędził w najbardziej rygorystycznej branży wywiadowczej. Był przekonany, że

większość polityków i zdecydowanie zbyt wielu urzędników ma ego wielkości Himalajów. Próżność może prowadzić do urojeń, za które zazwyczaj płaci się tylko bezsensownymi gigantycznymi wydatkami z publicznej kasy. Rządowe marnotrawstwo jest niepodważalnym faktem. Ale jeśli ulegnie się urojeniom podczas tajnej misji w sercu wrogiej dyktatury, można tego nie przeżyć. Sir Adrian był gotów pracować dla Marjory Graham właśnie dlatego, że stanowiła rzadki wyjątek od zasady rozdmuchanego ego.

– Ojej, naprawdę tak źle o nas myślisz, Adrianie?

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku nie było mnie jeszcze na świecie. Urodziłem się w czterdziestym ósmym.

– A ja dziesięć lat później, w pięćdziesiątym ósmym. Do czego zmierzasz?

– W trzydziestym ósmym roku mieliśmy MI6. Amerykanie jeszcze nie założyli CIA i stosowali politykę izolacjonizmu. Ale nasi agenci działali w nazistowskich Niemczech. Wiedzieli o pierwszych obozach koncentracyjnych: Dachau, Sachsenhausen, Buchenwald. Odkryliśmy, czym są, gdzie się znajdują i co się w nich dzieje. Zgłosiliśmy to naszym przełożonym. Nikt nie chciał nas słuchać. Przekazaliśmy, że Hitler buduje okręty wojenne, które pokojowo nastawionym Niemcom nie powinny być do niczego potrzebne. Londyn pozostał głuchy. Odkryliśmy, że każdego dnia z fabryk wyjeżdżają dwa nowe myśliwce Messerschmitt. Złożyliśmy raport, ale Downing Street ponownie odwróciło się do nas plecami. Łatwowierny premier słuchał tylko Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które miało obsesję na punkcie polityki ustępstw. Dał się przekonać, że Hitler jest honorowym dżentelmenem, który dotrzymuje danego słowa. Ale Führer każdego dnia łamał kolejne ustalenia traktatu wersalskiego z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku oraz wszystkie swoje obietnice. Mogliśmy to udowodnić.

– Adrianie, to było dawno. Do czego zmierzasz?

– To się znowu dzieje. Główna potęga zachodniego świata postanowiła ślepo wierzyć w to, że azjatycka bestia, która już dowiodła swojej dzikości, w zamian za odrobinę ryżu stanie się kochającym pokój partnerem. Urojenia znów triumfują.

Pani Graham odstawiła filiżankę z kawą i popatrzyła na zielone pola Anglii, tak bardzo oddalone od zrytych gór Korei Północnej.

– A ta góra...

– Punggje-ri.

– Nieważne. Ona naprawdę nie ma żadnej wartości?

– Żadnej. Już nie służy jako poligon. Na oczach zachwyconego świata wysadzą w powietrze kupę gruzu, która od dawna nie może spełniać swojej funkcji. Ale mają inne poligony. Zresztą w tej chwili nie potrzebują już kolejnych testów. Dysponują wystarczająco potężnym arsenałem, by zagrozić cywilizowanemu światu. Zniszczenie Punggje-ri to dla nich żaden problem. Są jednak dwa inne problemy. Bomby jądrowe stają się bezużyteczne, jeśli nie ma jak dostarczyć ich do celu oddalonego o tysiące kilometrów. Ich największy międzykontynentalny pocisk balistyczny jest za słaby, by przenieść choćby najmniejszą głowicę termojądrową. Starają się zminiaturyzować głowicę i zwiększyć pocisk. W końcu im się uda. Pocisk Hwasong-piętnaście zostanie ulepszony i będzie mógł przenieść głowicę termojądrową nie tylko na amerykańską wyspę Guam, ale też do dowolnego celu na terenie Stanów Zjednoczonych. Wtedy już nie będą musieli prosić o przysługi, ale wysuną żądania. Pod groźbą ataku.

– Więc skoro publiczne wysadzenie już zniszczonej góry odbędzie się tylko na pokaz, to czego chcą naprawdę?

– Krótkoterminowej pożyczki, pani premier. Wielu milionów ton zbóż, miliardów litrów ropy naftowej. Tylko że pożyczkę należy spłacić. W tym przypadku do tego nie dojdzie. Dlatego to będzie... prezent za dobre zachowanie. Będą otrzymywali pomoc, dopóki pozostaną grzeczni, czyli dopóki będzie im to pasowało. Przez lata to Chiny ratowały Koreę Północną. Ale prezydent Xi traci cierpliwość. Stąd te rozpaczliwe umizgi do Białego Domu.

– A jeśli koreański dyktator nie otrzyma tej „krótkoterminowej pożyczki”?

– Wtedy Kim Dzong Un napotka drugi problem. W odróżnieniu od naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych jestem zdania, że pulchny Kim jest znacznie słabszy, niż się wydaje. Stale prezentuje się nam całe szwadrony dumnie kroczących, idealnie wyszkolonych fanatycznych lojalistów w Pjongjangu. Jednak tylko milion uprzywilejowanych lojalistów może mieszkać w stolicy i liczyć na wygodne domy, dostatek jedzenia oraz dobrą

pracę. Tylko oni pokazują się przed kamerami Zachodu. A także dwustutysięczna, fanatycznie oddana armia pretorianów gotowych oddać życie za przywódcę i ustrój. Tymczasem poza stolicą mieszka dwadzieścia milionów wieśniaków oraz kolejny milion żołnierzy. Oni żyją na granicy głodu. Nie sami żołnierze, bo tych się karmi. Ale ich matki, ojcowie, bracia i siostry są niedożywieni, ledwie trzymają się życia, rodzą się im niedorozwinięte, karłowate dzieci. Czy pani premier pamięta Nicolae Ceaușescu?

– Kiedyś tutaj przyjechał, prawda?

– Owszem. Zrobiliśmy głupotę i przyznaliśmy mu honorowy tytuł szlachecki za rzekome przeciwstawianie się Moskwie. To także był pomysł Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przy King Charles Street najwyraźniej mają słabość do dyktatorów. Później odebraliśmy mu ten tytuł. Kiedy już nie żył. Trochę za późno.

– Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Przed śmiercią ojciec Kim Dzong Una, Kim Dzong Il, wyznał Condoleezie Rice, że zawsze skrycie obawiał się, że spotka go to samo, co spotkało Ceaușescu.

– To znaczy?

– Podobnie jak Kimowie, Ceaușescu był bezwzględny i komunistycznym tyranem. Zaprowadził w Rumunii rządy żelaznej ręki. Tak samo jak Kimowie był okrutny, chciwy i skorumpowany. Tak samo jak oni bezustannie zalewał swoich rodaków propagandą, by zapewnić sobie ich uwielbienie. Pewnego dnia, gdy przemawiał w prowincjonalnym miasteczku Timișoara, dobiegł go odgłos, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał. Wszystko zarejestrowała kamera. Nie wierzył własnym uszom. Próbował wrócić do przemowy, ale zgubił wątek. W końcu uciekł z podestu i wspiął się na dach, skąd zabrał go śmigłowiec. Ludzie buczeli.

– Nie był zachwycony?

– Gorzej, pani premier. W ciągu trzech dni jego własna armia go aresztowała, osądziła i rozstrzelała, razem z jego upiorną żoną. Właśnie tego obawiał się Kim Dzong Il: że rodacy w końcu zwrócą się przeciwko niemu, a wojsko zadba tylko o własne bezpieczeństwo.

– To samo może spotkać Kim Dzong Una?

– Kto wie, jak długo mieszkańcy Korei Północnej będą znosili głód. Chyba że Zachód skapituluje i mu pomoże.

– I co wtedy, Adrianie?

– Zyska dość czasu, żeby zwiększyć ładunek wybuchowy pocisku Hwasong-piętnaście i zmniejszyć głowicę termojądrową do przenośnych rozmiarów. Wtedy będzie mógł zaszantażować świat. Koniec z ustępstwami i wysadzaniem bezużytecznych gór.

– Więc dostawy zbóż to jego pięta achillesowa?

– Częściowo tak. Sednem problemu są nie bomby atomowe czy wodorowe, ale pociski. Musi udoskonalić systemy wyrzutni. Podejrzewam, że zajmie mu to dwa, może trzy lata i będzie wymagało kilku kolejnych testów. W tej chwili pociski Hwasong czekają w podziemnych silosach.

– Nawet jeśli Biały Dom sam się oszukuje, Adrianie, nie mogę iść z nimi na wojnę. Czy mamy jakieś inne wyjście?

– Sądzę, że pociskami Hwasong zawiadują superkomputery, które są pilnie strzeżone, ale zawierają dowody nuklearnych ambicji Korei Północnej. Podobnie jak archiwa FEDAT, które w końcu przekonały Biały Dom, że go okłamywano. Gdybyśmy udowodnili, że Kim Dzong Un kłamie...

– A możemy to zrobić?

– Dysponujemy pewną dziwną bronią. To niespokojny chłopiec o niezwykłym talencie. Chciałbym wykorzystać go przeciwko Korei Północnej.

– W porządku. Masz moją zgodę. Ale działaj bardzo dyskretnie. Informuj mnie o postępach. No i postaraj się nie wywołać wojny. Pewien człowiek za oceanem chce dostać Pokojową Nagrodę Nobla.

W swoim najbliższym otoczeniu Marjory Graham słynęła z sardonicznego poczucia humoru.



## Rozdział szesnasty

Morze Żółte wcale nie jest żółte. Jest szare, zimne i nieprzyjazne, a czterech mężczyźni skuleni na pokładzie popsutego rybackiego skiffa gwałtownie dygotali. Był blady świt, ale to nie chłód ani zachmurzone niebo, na którym nie było widać słońca wschodzącego nad Koreą, przyprawiały ich o drżenie. Trzęśli się ze strachu.

Ucieczka z Korei Północnej, której wybrzeże wciąż widzieli przez poranną mgłę, jest skrajnie niebezpieczna. Bardziej niż wzburzone morze przerażała ich świadomość, że jeśli zostaną złapani przez którąś z wielu patrolowych motorówek, czeka ich dożywocie w obozie pracy przymusowej albo bardziej miłosierna śmierć przed plutonem egzekucyjnym.

Trzej z tych mężczyzn byli rybakami, przywykłymi do wód Zatoki Zachodniokoreańskiej, północnej części Morza Żółtego. Czwarty sownie ich opłacił, by ominęli patrole, wysadzili go na wybrzeżu Korei Południowej i wrócili do domu przed świtem. Nie udało im się. W połowie drogi na południe stary, zużyty silnik odmówił posłuszeństwa. Choć wściekle wiosłowali przez kilka godzin, przeciwny wiatr i fale sprawiały, że tkwili nieruchomo u wybrzeży budzącego grozę Półwyspu Koreańskiego.

Usłyszeli odgłos silnika, zanim zdolali dostrzec szarą smugę na horyzoncie albo rozpoznać jakąkolwiek flagę czy proporzec. Warkot silnika wciąż się zbliżał. W nadziei, że przetaczające się fale zasłonią malutki kadłub, okryli się sieciami, optymistycznie wierząc, że to wystarczający kamuflaż. Ale łódź patrolowa z pewnością miała radar i musiała coś zauważyć. Była coraz bliżej. Pięć minut później już unosiła się nad nimi, a głos, który odezwał się przez megafon, rozkazał im stanąć w dryfie.

Na trawersie pojawiła się w jaśniejącym świetle dnia kolejna smuga. Modlili się w duchu, by to była wyspa Kaul-li z malutkim portem Mudu; kropka na oceanie, ale należąca do Korei Południowej. Głos ponownie się odezwał, a jeden z rybaków podniósł wzrok, z nadzieją wypisaną na twarzy.

Głos oczywiście mówił po koreańsku, ale ten akcent nie pochodził z ziem, które rozciągały się po stronie wschodzącego słońca – to był akcent z jakiegoś miejsca położonego znacznie dalej na południe. Rybak wyrzwał spod sieci i na rufie łodzi zobaczył powiewający proporzec z podwójną łąką, godłem Korei Południowej. Nigdy więcej nie zobaczą swoich żon, ale unikną plutonu egzekucyjnego. Udało im się, na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu. Otrzymają azył. Tajna policja jednak ich nie dopadnie.

Załoga południowokoreańskiej wojskowej łodzi, jednej z nowych jednostek klasy Chamsuri, przyjęła ich na pokład, a dwaj marynarze wręczyli im koce. Trzeci przywiązał zalanego skiffa do rufy. Sternik dodał gazu i skręcił na południe, w stronę Kaul-li. Młody kapitan z południowym akcentem połączył się z bazą przez radio. Taki incydent wymagał przeprowadzenia śledztwa. Skuteczne ucieczki drogą lądową były niemożliwe, a drogą morską zdarzały się niezwykle rzadko. Kapitan musiał się zabezpieczyć. Bezzwłocznie spytał tych ludzi o nazwiska.

Starszy mężczyzna, który przekupił rybaków, by mimo ryzyka zabrali go na południe, siedział pod kocem i wciąż dygotał. Z zimna? Ze strachu? Raczej z ulgi, która zastąpiła wizję przesłuchania i śmierci. Załoga ustaliła, że pozostali trzej są biednymi rybakami. Jeden z marynarzy podszedł do mężczyzny okrytego kocem.

– Jak pan się nazywa? – spytał, trzymając w ręce podkładkę z notatnikiem.

Ten podniósł głowę.

– Nazywam się Li Song Rhee.

Koc ześlizgnął mu się z ramion, ukazując odznaczenia na mundurze. Strój, który pozwolił mu pokonać punkty kontrolne na drodze z Pjongjangu na wybrzeże, załśnił w słabym słońcu. To nie był zdesperowany kapral szukający lepszego życia w Korei Południowej. To był generał armii Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, członek elity w dyktaturze Kima.

Kapitan wysłuchał relacji swojego marynarza i obejrzał odznaczenia na mundurze poplamionym morską solą. Potem wrócił do radiostacji. Nie zamierzali omijać Kaul-li. Na wyspie znajdowało się lądowisko dla śmigłowców, a baza marynarki w Inczonie obiecała wysłać helikopter. Historia Półwyspu Koreańskiego właśnie miała się zmienić.

\* \* \*

W skromnym mieszkaniu na tyłach Admiralty Arch, dziewięć godzin i tyle samo stref czasowych na zachód, również wstawał świt, gdy nagle zadzwonił telefon. Sir Adrian odebrał.

– Tak, pani premier?

– Coś się wydarzyło. Pamiętasz naszą rozmowę sprzed dwóch tygodni? Wygląda na to, że jeden z północnokoreańskich generałów uciekł do Korei Południowej. Miało to coś wspólnego z programem raketowym Kima.

Podczas służby w SIS sir Adrian nauczył się, że jest procedura pozwalająca na przesyłanie odpowiednio istotnych wiadomości na Downing Street jeszcze przed poranną odprawą, aby premier mógł je przeczytać przy śniadaniu. Jeśli wieści są bardzo pilne, premiera można zbudzić o dowolnej godzinie, co dla pani Graham najwyraźniej nie było żadnym problemem. Jej pracownicy zastanawiali się, czy w ogóle sypia.

– Poproszę naszych ludzi na miejscu, żeby śledzili rozwój sytuacji – oznajmiła.

– Bardzo mądrze, pani premier.

Połączenie zostało przerwane. Sir Adrian westchnął i odłożył słuchawkę. Wiedział, że premier miała na myśli dowódcę oddziału SIS z ambasady w południowokoreańskim Seulu. Wstał, włożył szlafrok i poszedł zrobić sobie tosta z masłem. I zaparzyć kawę. Oczywiście swoją ulubioną mocną czarną arabicę.

Nie było sensu wspominać pani premier, jak wiele godzin spędził w towarzystwie najtęższych umysłów z Królewskiego Instytutu Zjednoczonych Służb, specjalistów od Korei Północnej. Godzinami słuchał odpraw, aż w końcu wybrał generała Li Song Rhee. Prawdopodobieństwo, że

mózg programu raketowego otrzyma fałszywego e-maila, a tym bardziej że w niego uwierzy, nie było duże. Ale jak to mówią, kto nie ryzykuje...

Luke Jennings ponownie wszystkich zadziwił i zdobył kody dostępu do północnokoreańskiej bazy numerów komórkowych. Dane były dobrze ukryte i silnie strzeżone, a hakerzy z Korei Północnej znali się na swoim fachu. Bezustannie atakowali Zachód za pomocą złośliwego oprogramowania, trojanów i innych sztuczek. Ale nie byli osiemnastolatkiem z zespołem Aspergera.

W tej paranoicznej dyktaturze jest tylko milion osiemset tysięcy linii naziemnych, z których korzystają najwyżej postawieni politycy i urzędnicy. Telefony mogą służyć do spiskowania, dlatego nie powinny znajdować się w rękach mas. Nawet zaufani ludzie muszą wypełniać mnóstwo formularzy, by uzyskać telefon stacjonarny, a wszyscy i tak mają podsłuch. Zasady przydziału telefonu komórkowego są jeszcze bardziej rygorystyczne.

Państwowym dostawcą usług telefonicznych jest Koryolink, partner egipskiego Orascom. Telefony komórkowe przysługują około czterystu tysiącom uprzywilejowanych obywateli, z których niemal wszyscy mieszkają w stolicy. Ścisłe elity korzystają z usług jeszcze mniejszego dostawcy. Właśnie do jego bazy, po tygodniach pracy, włamał się Luke Jennings. Potem pałeczkę przejęli płynnie mówiący po koreańsku pracownicy RUSI, Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz SIS, którzy wydobyli z bazy danych prywatny numer telefonu generała Li Song Rhee.

Wiadomość ułożył uciekinier z Korei Północnej, który siedział odizolowany w strzeżonym domu. W 2013 roku Kim rozkazał aresztować i stracić swojego wuja i mentora, Jang Sŏng T'aeka, zapewne drugiego najpotężniejszego człowieka w kraju, pod fałszywym zarzutem zdrady. Mandaryna rozerwały pociski z ciężkiej broni maszynowej. Wiadomość wysłana do generała Li, anonimowa, ale najwyraźniej pochodząca od innego członka elity, ostrzegała go, że jemu zgotowano taki sam los.

Na razie nie ma potrzeby mówić nic pani premier, rozmyślał Weston, popijając kawę. Niech wiedzą o tym tylko ci, którzy muszą. Amerykanie oczywiście przyjmą Li. Byłby szaleńcem, gdyby postanowił zostać w Korei Południowej. Kryjówka w McLean, niedaleko siedziby CIA, będzie

bezpieczniejsza i równie wygodna. Czekają go wiele godzin składania raportów po koreańsku.

Co ujawni generał Li? I czy Amerykanie dopuszczą Brytyjczyka do tych przesłuchań? Minęło sporo czasu i wielu jego przyjaciół z CIA odeszło na emeryturę, podobnie jak on. A przynajmniej mieli to zrobić. Lecz część dawnych sojuszy, zawiązanych za żelazną kurtyną, wciąż mocno się trzymała. Dzielili ze sobą ryzyko i wspólnie wznosili toasty. Jak powiadali weterani w barze Klubu Sił Specjalnych, nieźle się razem bawili. Postanowił, że z niektórymi z nich pogada.

\* \* \*

Okazało się, że sir Adriana nie myliło przeczucie. Z południowokoreańskiej bazy marynarki wojennej w Inczon uciekinier został pośpiesznie przetransportowany drogą powietrzną do stolicy, Seulu. Żaden lokalny dowódca nie chciał mieć pod opieką kogoś potencjalnie tak kłopotliwego.

To samo dotyczyło rządu Korei Południowej. Pomiędzy obiema Koreami panowało odprężenie, które nagłaśniano i wychwalano na całym świecie, a teraz władze Południa znalazły się w posiadaniu dyplomatycznej bomby, która mogła zapoczątkować wojnę.

Pjongjang mógł się spodziewać dotkliwego upokorzenia, a rząd Korei Północnej dowiedział się o swojej stracie późnym rankiem. Natychmiast zażądano wydania generała Li. Władze Korei Południowej nie poczuły się urażone, tylko odetchnęły z ulgą, gdy do akcji zdecydowanie wkroczyła CIA, za pośrednictwem amerykańskiej ambasady w Seulu. Generał, nadal w tym samym poplamionym solą mundurze, zgodził się z Amerykanami, że chce zostać przetransportowany do Stanów Zjednoczonych.

Podróż na pokładzie samolotu odrzutowego amerykańskich sił powietrznych odbyła się jeszcze tego samego wieczoru. Godzinę po starcie, gdy generał Li wciąż znajdował się w powietrzu i smacznie spał, Seul ogłosił, że całą operację zorganizowała CIA. Agencja nie zamierzała zaprzeczać. Gdyby to była prawda, można by to uznać za akt geniuszu.

Także drugie przeczucie brytyjskiego weterana okazało się prorocze. Kilka godzin po wylądowaniu generał Li Song Rhee zamieszkał w bardzo wygodnej kwaterze wewnątrz olbrzymiego, należącego do agencji kompleksu w Langley w Wirginii.

Pośpiesznie zwołano specjalistów od Korei Północnej, jej rządu, programu zbrojeń, kultury i języka. W skład grupy weszli pracownicy CIA, Pentagonu, Departamentu Stanu i środowisk akademickich, którzy utworzyli zespół śledczy oraz pomocniczą ekipę obserwatorów. Generała nie trzeba było w żaden sposób przekonywać, że pełna współpraca będzie zapłatą za ratunek i ochronę. Nie był głupcem.

Biały Dom domagał się bezzwłocznych działań. Jakikolwiek informacje mógł wyjawić człowiek, który pracował w samym sercu północnokoreańskiej dyktatury, prezydent Stanów Zjednoczonych chciał je czym prędzej poznać.

Dyplomacja i media cierpiały. Stany Zjednoczone wkrótce nie były w stanie organizować kolejnych szczytów z udziałem głów państw. Szum towarzyszący spotkaniu prezydenta z koreańskim dyktatorem na małej wyspie u wybrzeży Singapuru zaczął przycichać. Wszystkich ciekawiło, bardziej niż wydarzenia ze świata show-biznesu, co będzie miał do powiedzenia generał.

Rząd Korei Północnej groźnie milczał. Odizolowane państwo najpierw potępiło Zachód i wszystkie jego sztuczki, potem bezskutecznie próbowało przekonać opinię publiczną, że generał jest oszustem, aż wreszcie wściekle odcięło się od świata. Jak twierdzili zachodni specjaliści od mediów, Pjongjangowi najbardziej zależy na tym, by obywatele Korei Północnej nie dowiedzieli się o tej katastrofie. Przez jakiś czas to się udawało, ale potem wieści powoli zaczęły się rozchodzić.

\* \* \*

Przesłuchanie generała Li, które eufemistycznie nazywano „raportem”, rozpoczęło się dwa dni później w bazie CIA, w odizolowanym pomieszczeniu strzeżonym przez żołnierzy SAD.

Generał miał na sobie szyty na miarę ciemny garnitur, koszulę i krawat – sam tak zdecydował – a przesłuchujący wybrali podobny strój. Była ich

czwórka, do tego dwóch tłumaczy: dwujęzyczny amerykański naukowiec oraz urodzony w Korei uciekinier, który od trzydziestu lat był obywatelem Stanów Zjednoczonych. Dwudziestoosobowa grupa obserwatorów śledziła rozmowę na ekranach monitoringu.

Postanowiono umieścić generała Li w spokojnym, wygodnym, wolnym od stresu otoczeniu, gdzie odbędzie się przyjacielska pogawędka pięciu zawodowców. Głównym przesłuchującym był wykładowca filologii koreańskiej, który przez całe życie badał język koreański i biegle się nim posługiwał. Poinformowano go, na jakich informacjach najbardziej zależy armii.

Okazało się, że generał Li należy do niezwykle małej grupy obywateli Korei Północnej, którzy płynnie porozumiewają się po angielsku. Tłumacze dbali o dokładność przekazu i od czasu do czasu prostowali szczegóły techniczne. Wszyscy, także ci z grupy obserwatorów, mieli zezwolenie na dostęp do tajnych informacji. Jednym z nich był starszy Anglik, który zgodnie ze swoim zwyczajem siedział z tyłu i milczał.

Chociaż politycy oraz ludzie na wysokich stanowiskach, którzy mogą błyskawicznie stracić posadę, jeśli sprzeciwią się prezydentowi, często zakłamują rzeczywistość, w szeregach CIA wciąż nie brakuje pełnokrwistych realistów. Właśnie z nimi mieli dobre kontakty ich brytyjscy koledzy po fachu z MI6, którzy zdołali nakłonić Amerykanów, by wciągnęli emerytowanego Brytyjczyka na krótką listę gości.

Zajął się tym dyrektor CIA, którego poinformowano w zaufaniu, że gdyby nie pewien nastolatek, siedzący przed swoim komputerem w hrabstwie Warwick, generał Li Song Rhee wciąż przebywałby w Pjongjangu. Nikt inny w Waszyngtonie nie miał pojęcia, że wiadomość, która pchnęła generała do ucieczki, była podstępem. Nie wiedział o tym także sam generał.

Takie przesłuchania nigdy nie ograniczają się do jednego spotkania, choćby bardzo długiego. Ciągną się całymi dniami. Drugiego dnia generał Li wreszcie miał okazję porozmawiać o czymś, co było jego specjalnością – o nadzorowanym przez siebie programie rakietowym Kima. Wtedy wzbudził prawdziwą sensację, zapewne nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie był pewien, jak dużo wie Zachód, a z pewnością nie podejrzewał, że wie tak mało.

Pierwszego dnia potwierdził to, o czym mówił sir Adrian: zniszczenie poligonu nuklearnego Punggje-ri było blagą. Niewątpliwie stanowiło to nowość dla światowych mediów, które jeszcze niedawno z radością ogłaszały swoim czytelnikom, słuchaczom i widzom, że Korea Północna poszła na duże ustępstwa.

Poligon tak naprawdę był zrujnowany, zapewnił generał. Z powodu zbyt licznych wierceń, testów oraz trzęsienia ziemi zmienił się w płataninę zawalonych tuneli, jaskiń i korytarzy. Za wejściami, które zabezpieczono ładunkami wybuchowymi, były tylko sterty gruzu i zawalone stropy.

Potwierdził także, że zachwalany międzykontynentalny pocisk balistyczny Hwasong-15 jest o wiele za słaby, by przenieść głowicę termojądrową, która zmieniłaby Koreę Północną w prawdziwą potęgę nuklearną.

Drugiego dnia wyjawiał dwie rzeczy, o których Zachód rzeczywiście nie wiedział. Po pierwsze, zapewnił, że dyktator Kim Dzong Un jest słabszy, niż ktokolwiek podejrzewa. Jest tylko figurantem, którego trzyma u władzy tak zwany „selektorat” złożony z dwóch tysięcy generałów i wysoko postawionych biurokratów. To oni kierują krajem i żyją w luksusie, podczas gdy obywatele przymierają głodem. Kim natomiast zajmuje się tym, co potrafi najlepiej – pozowaniem w mediach, machaniem do zachwyconego proletariatu i jedzeniem.

Po drugie, generał wyjaśnił, że niedoskonałość pocisku Hwasong-15 nie musi oznaczać niepowodzenia koreańskiego programu nuklearnego. Głęboko pod jedną z gór, ukryta przed wzrokiem świata, znajduje się kolejna jaskinia, gdzie powstaje pocisk Hwasong-20, który z całą pewnością zdoła dostarczyć głowicę termojądrową do dowolnego miejsca na powierzchni ziemi. Brakuje mu tylko wielostopniowych silników, które mają być gotowe lada chwila.

Po pierwszym dniu przesłuchań Waszyngton odwołał drugie z zaplanowanych spotkań Kima i amerykańskiego prezydenta, podając jako powód brak dobrej woli.

Wieczorem drugiego dnia sir Adrian wrócił do Wielkiej Brytanii. Musiał złożyć raport pewnej damie, ale najpierw jeszcze trochę pogrzebać w archiwach.



# Rozdział siedemnasty

Każde duże miasto ma biblioteki, w których uczeni mogą ślęczeć nad aktami i dawnymi tekstami, ale Londyn jest marzeniem każdego badacza. W tej rozległej metropolii istnieją archiwa dotyczące wszystkiego, o czym człowiek kiedykolwiek pomyślał, co zapisał i zrobił od czasu, gdy pierwsi troglodyci wyszli z jaskiń.

Niektóre z tych tekstów znajdują się w nowoczesnych bibliotekach ze stali, betonu i szkła walcowanego. Inne kryją się w starych piwnicach, gdzie czaszki ludzi zmarłych w dawnych zarazach patrzą na żyjących, jakby chciały powiedzieć: „Kiedyś tutaj byliśmy. Żyliśmy, kochaliśmy, walczyliśmy, cierpieliśmy, umieraliśmy. Jesteśmy waszą historią. Odkryjcie nas, pamiętajcie o nas”.

Sir Adrian wybrał Królewski Instytut Zjednoczonych Służb, w sąsiedztwie Whitehall, niedaleko wartkich wód Tamizy. Mężczyzna, któremu zamierzał zadać kilka pytań, okazał się zaskakująco młody. Ale obecnie Weston coraz częściej odnosił takie wrażenie. Starość jest bezlitosna. Profesor Martin Dixon miał czterdzieści lat i badał pociski od chwili, gdy obsesyjnie się nimi zainteresował jako nastolatek. Ta pasja doprowadziła go do badań nad obiema Koreami.

– Północnokoreański ustrój ma apetyt na posiadanie broni nuklearnej i mogących ją przenosić pocisków od ponad pięćdziesięciu lat, od czasów ojca założyciela, Kim Ir Sena – wyjaśnił. – Po tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, gdy pokonana Japonia wycofała się z Półwyspu Koreańskiego, Józef Stalin osobiście namaścił pierwszego z Kimów na twórcę komunistycznego reżimu Korei Północnej, która miała zaatakować swoich południowych sąsiadów. Trzy lata później koreański pat doprowadził do

trwałego podziału półwyspu. Zanim Kim Ir Sen zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, zapoczątkował pierwszą komunistyczną dynastię i przekazał władzę swojemu synowi, Kim Dzong Ilowi. Ustanowił także kult siebie i swojej rodziny wśród ludzi poddanych propagandzie i praniu mózgu, wytresowanych jak pieski, by go uwielbiać i nigdy, przenigdy nie kwestionować jego niemal boskiego statusu. W tym celu zamknął Koreę Północną przed wszelkimi wpływami z zewnątrz, tworząc znane obecnie pustelnicze państwo. Już wcześniej uświadomił sobie, że niewielki, niemal jałowy kraj, w którym żyją dwadzieścia trzy miliony ludzi i który nie jest samowystarczalny, nawet gdy chodzi o żywność, nigdy nie będzie budzącą postrach potęgą, jeśli nie zdobędzie broni jądrowej oraz pocisków mogących ją przenieść w dowolne miejsce na świecie. To stało się jego obsesją, którą podziela również jego wnuk. Wszystko, czym Korea Północna jest lub mogłaby się stać, poświęcono na rzecz pogoni za marzeniem o utrzymaniu świata w szachu.

– A pociski?

– Najpierw pojawiła się bomba, sir Adrianie – odrzekł młody naukowiec. – Koreańczycy, zarówno ci z północy, jak i z południa, to niezwykle inteligentni ludzie. Północ rozwiązała wszelkie problemy techniczne, wzbogaciła wystarczającą ilość uranu, a następnie plutonu, by stworzyć zapas broni atomowej i termojądrowej. Wydano na ten cel wszystkie rezerwy walutowe. Ale stało się jasne, że bomba atomowa jest bezużyteczna, jeśli można ją zdetonować tylko na własnym podwórku. Aby stanowić prawdziwe zagrożenie i skłonić innych do uległości, trzeba mieć możliwość posłania bomby na odległość wielu kilometrów. Początkowo Koreańczycy sprowadzili zagraniczną technologię raketową i skonstruowali pociski, które nazywali Musudan. Mogły one przenosić w swoich głowicach bojowych niewielkie bomby, ale tylko na ograniczone dystanse. Na Zachodzie obserwowaliśmy ich kolejne testy atomowe, które zawsze urządzali pod ziemią, aż podziurawili cały kraj. Jednocześnie robili postępy w ramach programu raketowego i zbudowali nowy typ pocisku, o znacznie większym ładunku wybuchowym i zasięgu. Jak pan wie, nazywają go Hwasong.

– Jak wiele osiągnęli?

– Kim Dzong Il kontynuował politykę ojca. Naukowcy rozwijali program raketowy aż do śmierci drugiego Kima w dwa tysiące jedenastym roku. Potem doszło do krótkiej walki o władzę, ale ulubiony syn zmarłego dyktatora wygrał w cuglach. Tłusty, brzydki, dziwacznie uczesany, to wszystko nieważne. Jest całkowicie bezwzględny i ma obsesję na swoim punkcie. Odkąd doszedł do władzy, z nową energią i pośpiechem przystąpił do rozwoju programów atomowego i raketowego. Urządza jeden test po drugim. Są one niewiarygodnie kosztowne i wiele z nich kończy się porażką, a zachowanie Kima staje się coraz bardziej osobliwe. Ale wydaje się, że to nikogo nie martwi. Wprowadza się sankcje gospodarcze, a następnie je łagodzi. Tak naprawdę świat się go boi. Stany Zjednoczone mogłyby jednym uderzeniem zmieść reżim Kima z powierzchni ziemi, podobnie jak jego potężny sąsiad i zarazem sponsor, Chiny. Jednak oba te kraje obawiają się, że Kim zdetonuje wystarczająco dużo ładunków termojądrowych, by obrócić w ruinę cały półwysep i spory kawałek północno-wschodnich Chin. Stąd te wszystkie ustępstwa i przyznawanie Kimowi statusu męża stanu. Moją specjalnością jest program raketowy. Najnowszy pocisk, o największym ładunku wybuchowym i zasięgu, to Hwasong-piętnaście. Jest olbrzymi, ale nie na tyle, by przetransportować głowicę termojądrową do dowolnego miejsca na świecie, a w szczególności do Waszyngtonu. Wie pan o ucieczce generała Li Song Rhee?

– Miałem w tym skromny udział – przyznał sir Adrian.

– Z tego, co wiem, generał Li poinformował, że Korea Północna zamierza postawić wszystko na jedną kartę. Pójść na całość. Hwasong-dwadzieścia. Już go budują.

– Właśnie tak powiedział. Byłem przy tym.

– Szczęściarz z pana, sir Adrianie. Mam nadzieję, że później uzyskam dostęp do generała. Amerykanie mają pierwszeństwo. Ale Hwasong-dwadzieścia na pewno będzie się znacznie różnił od poprzednika.

– W jakim sensie?

– Tak duże pociski zazwyczaj przechowuje się w podziemnych silosach, z których się je odpala. Pokrywa silosu osłania pocisk przed wścibskimi oczami, dopóki ten nie jest gotowy do wystrzelenia. Wtedy pocisk wysuwa się

w pozycji pionowej, wypychany przez potężną kulę ognia, która posyła go w niebo. Po wzniesieniu się obiera nową trajektorię, która prowadzi go do celu, gdzie głowica bojowa oddziela się, opada i wybucha. Tymczasem Hwasong-piętnaście jest przewożony na trzydziestodwuosiowym pojeździe. Razem ważą sto ton. W Korei Północnej tylko kilka specjalnie przygotowanych dróg może udźwignąć taki ciężar. Jednak to bez znaczenia. Wystarczy, że ukryje się go w jaskini, do której prowadzi kilka kilometrów nieużywanej szosy, a wyrzutnia będzie mogła wyjechać i odpalić pocisk. Ale Hwasong-dwadzieścia musi znajdować się w silosie, wybudowanym i ukrytym w jakimś podziemnym kompleksie, o którym jeszcze nie wiemy.

– Tego również się dowiedziałem – odrzekł sir Adrian. – W tym miejscu do akcji wkracza generał Li. On zna położenie silosu.

– W takim razie Kim ma pecha. Ale to nie największy z jego problemów. Największym jest silnik pocisku. Korea Północna nie potrafi zbudować wystarczająco mocnych jednostek napędowych dla rakiet Hwasong.

– Więc skąd je bierze? Z Chin?

– Nie, od Rosji. Potencjał rakietowy Korei Północnej gwałtownie wzrósł, odkąd Kim Dzong Un doszedł do władzy. Stało się tak z powodu wymiany jednostek napędowych. W Związku Radzieckim działały dwie fabryki, które budowały silniki dla Rosjan. Jedna na Ukrainie, a druga niedaleko Moskwy. Potem Związek Radziecki się rozpadł i Rosja straciła ukraińską fabrykę. Rosyjskie zakłady wyprodukowały silnik rakietowy RD dwieście pięćdziesiąt. To właśnie jego używano do napędzania pocisków Hwasong-dwanaście oraz następnych, czternaście i piętnaście, i to on odpowiada za nagły wzrost zagrożenia ze strony Korei Północnej pod rządami Grubaska. A potem doszło do katastrofy. Rząd w Moskwie rozpoczął program przezbrojenia, kosztujący trzy biliony rubli, i przerzucił się na nowy silnik rakietowy. Rozwiązano umowę z producentem RD dwieście pięćdziesiąt. Firma nazywa się Energomasz. Zostały im w magazynach zapasy silników, których nikt nie chciał kupić. Wtedy na scenie pojawił się Kim Dzong Un. Według moich informacji Energomasz pośpiesznie ulepsza część swoich silników i przygotowuje je do wysyłki do Pjongjangu, gdzie mają stać się jednostkami

napędowymi dla pocisków Hwasong-dwadzieścia. Gdyby Energomasz zrezygnował, Kim byłby skończony. Miałby bomby, ale bez pocisków.

– Rosjanie nie będą usiłowali temu zapobiec – stwierdził sir Adrian. – Nie przy obecnym klimacie politycznym. Są dziś równie agresywnie nastawieni do Zachodu jak w czasie zimnej wojny. Nie możemy liczyć na ich pomoc. Kiedy Energomasz zakończy prace nad silnikami, w jaki sposób je dostarczy?

Profesor Dixon przez chwilę się zastanawiał.

– To potężne cholerstwo – odezwał się w końcu. – Silnik na paliwo ciekłe, ale tylko jednostopniowy. Wymaga ogromnych ilości paliwa hipergolowego, które jest straszliwie toksyczne i niestabilne. Wątpię, aby zamierzali przetransportować to samolotem. Raczej pociągiem pancernym. Przez Syberię, na północ od chińskiej i mongolskiej granicy, a potem przesmykiem, do małego przejścia granicznego między terytorium Rosji a Koreą Północną.

– Mówił pan, że paliwo jest niestabilne. Czy coś może się nie udać?

– Tylko jeśli ktoś się o to postara.

Sir Adrian podziękował i wyszedł.

\* \* \*

Letnie słońce wciąż świeciło i taras w Chequers nadal zachęcał do lunchu na świeżym powietrzu, gdy pani premier i sir Adrian ponownie się spotkali. Kiedy zostali sami, pani Graham spytała:

– Jaki jest ten koreański uciekinier?

– Bardzo bystry i bardzo rozgniewany. Oczywiście chce zachować twarz, więc nie daje tego po sobie poznać.

– To dobrze?

– Nawet bardzo, pani premier. Kiedy człowiek jest przeświadczony, że potraktowano go niesprawiedliwie, kipi ze złości i niczego nie ukrywa. Generał Li powie nam wszystko, co wie, a będzie tego dużo.

– Wie, dlaczego wytypowano go do aresztowania?

– Nie wie. Był całkowicie lojalny wobec reżimu Kima.

– A domyśla się, kto go uprzedził i umożliwił mu ucieczkę?

Sir Adrian milczał, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie ma zielonego pojęcia, prawda?

– Na szczęście nie. Podobnie jak rząd Korei Północnej. Szczegóły donosu i ostrzeżenia pozostają tajemnicą dla obu stron.

– To twoja sprawka, prawda, Adrianie?

– Robię, co mogę, pani premier.

Marjory Graham z namysłem upiła długi łyk wina, próbując zachować poważną twarz.

– Czy uczestniczył w tym jakiś lis?

– Obawiam się, że może pani mieć rację.

– Jakie informacje przekazał generał?

– Najważniejsze jest to, że reżim Kima, jak powiedział generał, na pewno nie zamierza pozbyć się broni atomowej w zamian za ustępstwa, nawet znaczne, w kwestii sankcji gospodarczych. Amerykanie nie są zachwyceni tym, że prawie dali się okpić.

– Dlatego zaostrzyli sankcje i odwołali kolejne międzynarodowe szczyty?

– Właśnie.

– Zbliża się zima. Bez potężnego importu żywności, na który Koreę Północną nie stać, tamtejsi obywatele znów będą głodować.

– Reżim Kima się tym nie przejmuje, pani premier.

– Przystępują do kolejnego etapu?

– Wygląda na to, przynajmniej tak mówi generał Li, a ja z innych źródeł mam potwierdzenie informacji, że budują potężny nowy pocisk w tajnej jaskini, której Amerykanie jeszcze nie zlokalizowali podczas swoich lotów szpiegowskich.

– Czy nasz młody haker w Chandler's Court mógłby ją znaleźć?

– Zawsze możemy spróbować, pani premier.

– Tak, Adrianie, zrób to. Kawy?

\* \* \*

Sir Adrian zastał doktora Hendricksa w jego gabinecie w skrzydle komputerowym starej posiadłości, tuż obok pracowni, gdzie delikatnie

szumiał najnowocześniejszy sprzęt. Położył przed naukowcem kartkę.

– W Rosji działa przedsiębiorstwo Energomasz – oznajmił. – Czy wspomina się o nim w ogólnodostępnych źródłach?

Jeremy Hendricks przysunął do siebie komputer, zalogował się i wpisał coś.

– Jak najbardziej – odpowiedział po chwili. – Produkuje sprzęt i części wykorzystywane w przemyśle kosmicznym.

– Można to i tak nazwać.

– Rada nadzorcza, emisja akcji, wzmianka o kontraktach dla rządu i Ministerstwa Obrony. Wiele nagłówków jest utajnionych, co oznacza, że większość zapytań nie da żadnych wyników ze względów bezpieczeństwa. Sami też byśmy tak postąpili. Wygląda na to, że budują części do pocisków.

– Struktura firmy jest nieistotna. Czy możemy dowiedzieć się czegoś o używanej przez nich technologii?

– Nie tutaj. Będziemy musieli pójść do sąsiedniego pokoju i pogrzebać w naszych tajnych archiwach, których zawartość nie jest przeznaczona do powszechnego użytku.

W głównej sali doktor Hendricks pochylił się nad innym komputerem i wpisał swoje pytania.

– Ich mechanizmy bezpieczeństwa są bardzo szczelne na każdym etapie i kontrolowane komputerowo. Zabezpieczenia nie pozwalają na przeglądanie danych, a tym bardziej na ich zmianę.

– Ale gdyby ktoś zdołał się przedostać przez firewalle i służę... choć to podobno niemożliwe... to czy mógłby wprowadzić drobnego wirusa i dyskretnie się wycofać?

– Tylko jeden haker na świecie byłby w stanie tego dokonać i obaj wiemy kto.

\* \* \*

Luke Jennings wyszedł ze skrzydła mieszkalnego razem ze swoją matką. Jak zwykle był chorobliwie nieśmiały w towarzystwie innych ludzi, unikał

podawania ręki i kontaktu wzrokowego, pomimo zachęt ze strony matki. Sir Adrian nie naciskał.

Po wejściu do sali komputerowej Luke sprawdził, czy wszystko jest na swoim miejscu, i wyraźnie się odprężył. Sam szum sprzętu działał na niego uspokajająco. Doktor Hendricks pokazał mu kartkę pokrytą linijkami cyfr i hieroglifów. To były zabezpieczenia superkomputera w dalekiej Rosji.

Sir Adrian ponownie zwrócił uwagę na zmianę, jaka zaszła we wzajemnej relacji między nastolatkiem a starszym mężczyzną. Wyglądało na to, że jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Domyślał się, jaki może być powód. Luke Jennings po raz pierwszy w życiu miał kolegę. Całą młodość spędził na samotnym stukaniu w klawiaturę na poddaszu w Luton. W Chandler's Court początkowo wszyscy byli obcy. Teraz jakiś człowiek wreszcie dostał się do zamkniętego świata chłopca, a ten pozwolił mu tam pozostać. Ale pomimo swojej wiedzy o cyberświecie i wieloletniej kariery w GCHQ oraz kilku tygodni patrzenia Luke'owi przez ramię Jeremy Hendricks wciąż nie rozumiał, a tym bardziej nie potrafił powtórzyć tego, co chłopak robił, by osiągnąć niemożliwe.

– Ci ludzie są bardzo groźni dla naszego kraju, Luke – rzekł Hendricks. – Myślisz, że możemy się dowiedzieć, co knują?

Chłopcu rozbłysły oczy. Przyjrzał się znaczkom na kartce. Kolejne wyzwanie. Kiedy usłyszał słowa: „Pewnie nic się nie da zrobić”, natychmiast się ożywił. Właśnie dla takich chwil żył.

\* \* \*

Sir Adrian spędził noc w miejscowym zajeździe: wiekowe cegły, pocerniałe ze starości drewniane belki, lokalna dziczyzna zapiekana w cieście. Popijając kawę i calvadosa, znalazł porzucony egzemplarz „Daily Telegraph” i sprawdził się w starciu z krzyżówką. Rozwiązał dwie trzecie, po czym uznał, że jego mózg ma dosyć. Wiedział, że Fox będzie pracował w półmroku przez całą noc.

Wrócił do posiadłości o ósmej rano. Gdzieś w środku spał nastolatek, który zaskakiwał światowe potęgi. W okolicznych lasach chroniący go żołnierze



zmieniali się na warcie. Nocna zmiana na wszelki wypadek też czuwała. Doktor Hendricks wciąż czekał.

– Śledziłem każdy jego ruch, ale wciąż nie rozumiem, jak to zrobił – przyznał się sir Adrianowi i pokazał mu kolejną kartkę. – Oto kody dostępu do głównego komputera w Energomaszu. Komputer kieruje produkcją i montażem elementów do silnika raketowego RD dwieście pięćdziesiąt, najnowszego modelu. Piętą achillesową jest procedura montażu. W zbiornikach chlupocze paliwo hipergolowe, więc wystarczy malutka iskra... Tak czy inaczej, Luke zdobył kody i wygląda na to, że nikt się nie zorientował.

\* \* \*

W drodze powrotnej do Londynu sir Adrian dziękował w myślach Ciaranowi Martinowi z Narodowego Centrum Cyberbezpieczeństwa, który pozwolił mu podkraść Jeremy'ego Hendricksa ze swojej ekipy. Okazało się, że doktor jako jedyny potrafi zbudować pomost między wrażliwym osiemnastolatkiem, który doskonale rozumie wirtualną rzeczywistość, lecz nie ma pojęcia o prawdziwym świecie, a znacznie starszym asem wywiadu, który zna i czasami stosuje sztuczki i podstępny tego sekretnego świata, lecz cyberprzestrzeń jest dla niego czarną magią.

Ale Weston miał też spore zmartwienie. Pewnego dnia tajna jednostka w Chandler's Court będzie musiała zostać rozwiązana. Aleksander Wielki zapłakał, gdy nie pozostały mu już żadne ziemie do podbicia. Co się stanie, kiedy zostanie rozwikłana ostatnia zagadka, przynajmniej spośród tych podsuwanych przez rząd?

Dla złoczyńców Luke Jennings byłby bezcenną zdobyczą, gdyż mógł włamywać się do banków. Nie wolno do tego dopuścić. Chłopak nie może też pracować w biurówcu, razem z setką innych informatyków – jest na to zbyt delikatny. Jeremy Hendricks może chcieć pozostać jego mentorem, zawodowym przybranym ojcem, ale operacja Troja dobiegnie końca. Co wtedy czeka Luke'a? Weston wciąż się tym martwił, gdy dotarł do Admiralty Arch.

# Rozdział osiemnasty

Pokutuje opinia, że skoro Korea Północna uważa się za państwo komunistyczne, to ludzie nie wyznają tam żadnej religii, tylko są zdeklarowanymi ateistami. Nic z tych rzeczy. Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna to głęboko religijny kraj, a wiara jest przymusowa.

Różnica polega na tym, że każdy mieszkaniec jest prawnie zobowiązany do wyznawania trzech ziemskich bogów – jednego żywego i dwóch zmarłych. Są to trzej przedstawiciele dynastii Kimów: dziadek, ojciec i syn. Portrety tych dwóch nieżyjących, Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila, muszą znajdować się w każdym gospodarstwie domowym. Wiszą na ścianach jak krucyfiks w katolickim domu. Regularnie przeprowadza się kontrole, by sprawdzić, czy są odpowiednio wyeksponowane i czczone.

Powszechne są także przypinane do kłap znaczki z podobizną żyjącego boga, Kim Dzong Una. Karze podlega każda wzmianka o nim z pominięciem tytułu Marszałek. To on jest źródłem wszelkiego dobra.

Tak jak w przypadku wszystkich religii, wymyśla się legendy podtrzymujące narodową wiarę. Przykładem takich działań w Korei Północnej jest uświęcenie góry, na której rzekomo przyszedł na świat środkowy Kim, syn Założyciela. To święta ziemia. Górę tę nazywa się Pektusan.

Jest to uspiiony wulkan na północno-zachodnim krańcu kraju, na północ od Morza Żółtego i Zatoki Zachodniokoreańskiej, blisko chińskiej granicy. Właśnie tam reżim postanowił zbudować ściśle tajny silos raketowy dla konstruowanego pocisku Hwasong-dwadzieścia.

Tuż pod krawędzią kaldery stoi skromna drewniana szopa, domniemane miejsce narodzin Kima Numer Dwa. Celem legendy jest „udowodnienie”, że

Kim przyszedł na świat w skromnych, ale świętych okolicznościach na terytorium Korei i dotarł na szczyt dzięki własnym zaletom, zatem jest godzien czci jako żyjący bóg. Oczywiście to wszystko bzdury.

Drugi z Kimów tak naprawdę urodził się na Syberii, pod ochroną Stalina, gdzie jego ojciec dowodził jednostką wojskową złożoną z chińskich i koreańskich uchodźców. Dorastał w komfortowych warunkach. To właśnie ludobójca Stalin, po pokonaniu Japonii w 1945 roku, stworzył Koreę Północną i ustanowił Kim Ir Sena komunistycznym dyktatorem, który dzięki radzieckiemu wsparciu rozpętał wojnę koreańską.

Jako święta góra, Pektu-san jest niedostępna dla obywateli i pozostaje pod całkowitą kontrolą wojska, które może potajemnie ją drążyć. Robiły to ręcznie tysiące niewolników z wielu obozów pracy. Nikt nie wie, ilu ludzi zmarło z przepracowania i niedożywienia, z powodu chorób i ostrych mrozów, które panują na szczycie przez pięć miesięcy w roku.

General Li wyjawiał to wszystko Amerykanom, ale ci nie podjęli żadnych działań. Dalej próbowali prowadzić konstruktywne rozmowy z trzecim Kimem, złudnie licząc na dobrowolną denuklearyzację Korei Północnej w zamian za złagodzenie sankcji gospodarczych oraz dostawy jedzenia i ropy z Zachodu. Tymczasem budowa rakiety Hwasong-dwadzieścia trwała w najlepsze, aż w końcu Koreańczykom brakowało już tylko głównych silników z Rosji.

\* \* \*

Zimowy chłód wcześniej pojawił się w Moskwie, a charakterystyczne oznaki – przenikliwe wiatry znad wschodnich stepów – zwiastowały nadchodzący mróz, podczas gdy większość Europy wciąż cieszyła się słońcem późnego lata.

W Jarosławiu, na odizolowanej boczniczy za dworcem kolejowym, przygotowywano ściśle tajny pociąg. Kolej Transsyberyjska słynie na cały świat, ale tylko jeden z licznych wariantów podróży pozwala dotrzeć z Moskwy do Pjongjangu bez wjeżdżania na terytoria Mongolii i Chin. Ten kurs obsługuje Korea Północna. Jeden z jej pociągów właśnie stał na boczniczy.

Przypominało to scenę rodem z Tołstoja. Olbrzymią lokomotywę spowijały kłęby dymu. Na tej najdłuższej kolejowej trasie świata, liczącej ponad sześć tysięcy kilometrów i pokonującej siedem stref czasowych, nie brakuje długich odcinków, gdzie nie jeżdżą lokomotywy spalinowe ani elektryczne. Wykorzystuje się wtedy napędzane węglem parowozy.

Aby poradzić sobie z niektórymi wzniesieniami, a także na wypadek awarii, przygotowano dwie potężne lokomotywy, na których widniały skrzyżowane flagi Rosji i Korei Północnej. Załoga składała się z Koreańczyków. Za lokomotywami i węglarkami stały trzy zapieczętowane wagony towarowe. Wewnątrz znajdowały się części do montażu nowych silników RD dwieście pięćdziesiąt z fabryki Energomaszu. Rosyjscy i północnokoreańscy ochroniarze otaczali pociąg, by nie zbliżył się nikt niepożądany.

W końcu dopełniono wszystkich formalności, ostatni urzędnicy zostali ułagodzeni i otrzymano zezwolenie na odjazd. Żelazne koła zaskrzypiały i zaczęły się obracać. Plujący parą potwór wyjechał z bocznicy, minął pociągi pasażerskie, mknące ze swoim ludzkim ładunkiem, i skręcił na wschód.

Osoby, które kiedykolwiek jechały Koleją Transsyberyjską, przyznają, że nie jest to najwygodniejszy pociąg na świecie. Tylko zagorzali miłośnicy kolei się na niego decydują.

Linia prowadzi przez ciągnące się niemal bez końca sosnowe, modrzewiowe i świerkowe lasy Rosji. Właśnie taki krajobraz przesuwa się za oknem, godzina po godzinie, dzień po dniu. Najgorsza jest nuda. Jedynymi pasażerami tego pociągu byli ochroniarze: ulegli, bierni, posłuszni, bez żadnych lektur, ale najwyraźniej odporni na znużenie.

W ich wagonie znajdowały się kuszetki, na których wielu z nich po prostu przesypiało podróż. Przygotowano dla nich proste, pozbawione smaku jedzenie, ale przynajmniej go nie brakowało, co samo w sobie było błogosławieństwem. Oprócz tego mieli do dyspozycji nieskończony zapas herbaty z samowara. Nigdy się nie dowiemy, czy wiedzieli, jak niezwyklej potęgi strzegą albo jak niestabilne są ogromne zbiorniki z paliwem raketowym. Zapewne nie. Nie mieli o tych sprawach pojęcia. Po prostu otrzymali rozkazy i zadanie do wykonania.

Noc zmieniała się w dzień, a dzień w noc. Wyjechali z europejskiej części Rosji i przez Ural dotarli do swojej ojczystej Azji. Powoli przemierzali słabo oświetlone miasteczka spowite obłokami zanieczyszczeń, zmierzając w stronę Jekaterynburga, gdzie w 1918 roku stracono w piwnicy ostatniego cara razem z rodziną, ale nie wiedzieli o tym ani ich to nie obchodziło.

Dni i noce ciągnęły się bez końca, podczas gdy syberyjski ziąb trzymał w mocnym uścisku bezkresne lasy. Wrzucali łopatą węgiel do pieca, silnik ryczał, woda wrzała, tłoki pracowały, koła się kręciły.

Mijali miasta, których nazw koreańscy ochroniarze nie potrafili odczytać ani wymówić: Nowosybirsk, Krasnojarsk i Irkuck, gdzie w 1960 roku zestrzelono amerykańskiego pilota Gary'ego Powersa w samolocie szpiegowskim U-2. Za oknami widzieli ogromny zbiornik wodny. To był Bajkał, najgłębsze jezioro na świecie. Nie wiedzieli o tym.

Na południu znajdowała się Mongolia, ale nie przekroczyli granicy. Wieźli zbyt cenny ładunek, by ryzykować konfiskatę czy choćby kontrolę. Potem pojawiły się Chiny, lecz tory nadal prowadziły przez terytorium Rosji. Minęli Chabarowsk, po czym odbili na południe, w stronę granicy z ich ojczyzną. Przemknęli przez Władywostok i pociąg wreszcie się zatrzymał.

Ale to był dopiero Tumangang i rosyjsko-koreańskie przejście graniczne. Podróż trwała siedem dni i sześć nocy, więc członkowie załogi pociągu byli wyczerpani, mimo że zmieniali się na posterunku. Dołączyły do nich świeże ekipy. Gdyby to był pociąg pasażerski wiozący nielicznych zachodnich turystów, którzy decydują się na taką podróż, skierowałyby się w stronę oddalonej o kilkaset kilometrów stolicy.

Jednak ten pociąg wiozł wyjątkowy ładunek i miał wyjątkowy cel. Góra Pektu-san leżała w odległości wielu kilometrów od głównej linii łączącej Pjongjang z Moskwą. Pociąg musiał zboczyć z trasy, a jego ładunek czekało przeniesienie do innych wagonów. Na stacji granicznej roіło się od agentów tajnej policji.

Pod nowym dowództwem pociąg przekroczył rzekę Tumen, po czym skręcił na zachód, w głąb kraju, gdzie wznosiła się święta góra skrywająca przed wścibskim wzrokiem świata tajny silos z pociskiem Hwasong-20.

Marszałek, który odebrał raport w swoim pałacu w Pjongjangu, promieniał z zadowolenia. Jego dwulicowość się opłaciła. Pragnący spokoju prezydent Moon z południa właśnie wysłał transport kukurydzy, pszenicy i ryżu. Korea Południowa cieszyła się dobrymi zbiorami, więc posiadała nadwyżki, które mogła przekazać w darze. A tymczasem on, Kochany Przywódca, w ciągu tygodnia miał uczynić swój kraj potęgą termojądrową.

\* \* \*

Sir Adrian prenumerował kilka niskonakładowych specjalistycznych czasopism zajmujących się sprawami zagranicznymi i analizą wywiadowczą. W jednym z nich przeczytał o niejakim Song Ji Weiu, o którym wcześniej nie słyszał. Mężczyzna przyjeżdżał do Wielkiej Brytanii, by wygłosić wykład o Korei Północnej. Na spotkaniu nie spodziewano się tłumów, jednak emerytowany as wywiadu postanowił wziąć w nim udział.

Życie pana Songa było niezwykle. Urodził się pięćdziesiąt lat wcześniej w Korei Północnej. Kiedy miał zaledwie dziesięć lat, jego rodzice uciekli do Chin, a stamtąd na Zachód. Po drodze zostali rozdzieleni z synem, którego schwytała policja. Po kilku tygodniach chłopiec znalazł się na ulicy.

Rząd Kima kontroluje obywateli między innymi za pomocą bezlitosnych kar, jakie spadają na całą rodzinę uciekiniera. Rodzice, rodzeństwo, dzieci, wszyscy zostają aresztowani i posłani do obozów pracy, jeśli ktoś próbuje – zwłaszcza z powodzeniem – zbiec za granicę. Samo pragnienie wyjazdu jest przestępstwem.

Po zwolnieniu z aresztu chłopiec stał się jedną z tak zwanych „jaskółek”, uliczników, którzy żyją w surowych warunkach, śpią na ulicy, żywią się tylko tym, co znajdują, i nie odbierają żadnego wykształcenia. To wszystko dzieje się daleko od stolicy, więc żaden turysta nigdy ich nie zobaczy. W wieku osiemnastu lat Song także próbował przedostać się przez chińską granicę i dokonał tego pod osłoną bezksiężycowej nocy, ale został złapany dwa dni później na kradzieży jedzenia. W tamtych czasach chińskie władze przekazywały uchodźców w ręce koreańskich władz. Songa skazano na

dożywotni pobyt w obozie pracy. Był tam torturowany, bity i zmuszany do pracy. Cierpiał przez jedenaście lat, zanim udało mu się zbiec.

Tym razem wyruszył z trzema towarzyszami i ponownie skierował się na północ, w stronę granicy z Chinami, a nie na południe, ku granicy z Koreą Południową i Strefie Zdemilitaryzowanej. Strefa ta nie tylko nie jest zdemilitaryzowana, ale też stanowi najniebezpieczniejsze przejście graniczne na świecie: w zasadzie są to dwie granice oddzielone szerokim na półtora kilometra zaminowanym pasem terenu, którego strzegą wieżyczki strażnicze ze stanowiskami broni maszynowej. Bardzo niewielu ludzi przedostaje się tamtędy na Południe.

Cała czwórka dotarła do Chin. Jeden z nich kiedyś tam pracował, więc dobrze znał mandaryński. Pozostała trójka się nie odzywała, podczas gdy ich mówiący po chińsku towarzysz załatwiał im transport na ciężarówkach i w wagonie towarowym wolno jadącego pociągu. Brnęli coraz dalej w głąb Chin, oddalając się od granicy i licznych patroli. Potem skręcili na południe i w końcu dotarli do Szanghaju.

Upłynęło bardzo dużo czasu, odkąd Szanghaj był rybacką wioską. Dzisiaj jest po prostu ogromny. Przy ciągnących się kilometrami dokach, pomostach i molach cumują statki handlowe wszelkiego rodzaju. Większość z nich to duże kontenerowce, ale pojawiają się wśród nich także przybrzeżne frachtowce i uciekinierzy zdołali znaleźć jeden, który płynął do Korei Południowej przez Morze Wschodniochińskie.

Schowali się pod brezentem okrywającym jedną z szalup. Na morzu odkrył ich członek załogi, ale przekonali go, by znów ich przykrył i nikomu o nich nie wspominał. Na wpół zagłodzeni i osłabieni, wyszli na brzeg w południowokoreańskim Pusanie i poprosili o azyl.

Song Ji Wei miał głowę na karku. Szybko wrócił do zdrowia i znalazł pracę, która pozwalała mu zarobić na życie. Dziesięć lat później, dzięki oszczędnościom oraz lokalnemu wsparciu finansowemu, stanął do walki i zapoczątkował ruch No Chain. Kiedy po swoim wykładzie spotkał się z Westonem, wyjaśnił mu, czym się zajmuje.

U źródeł zdumiewającej bierności północnokoreańskiego społeczeństwa, oznajmił, leży kompletny brak wiedzy o tym, co dzieje się na świecie. Kraj jest

całkowicie odizolowany.

Ludzie nie mają odbiorników radiowych, na których mogliby słuchać zagranicznych audycji, nie posiadają telewizorów ani iPadów. Od rana do wieczora, a potem aż do świtu, przez całe życie, są zanurzeni w prorządowej propagandzie. Nie mają żadnego porównania, więc uważają swoje życie za normalne, nie dostrzegając jego groteskowości.

Spośród dwudziestu trzech milionów obywateli około milion to uprzywilejowana kasta, która żyje w miarę wygodnie. Nie grożą im okresowe nawroty głodu, po których zostają na ulicach sterty zwłok, gdyż żyjący są zbyt słabi, by grzebać zmarłych. Ceną jest całkowita i absolutna lojalność wobec dynastii Kimów.

Mniej więcej dwadzieścia procent populacji, wliczając dzieci, to informatorzy, których wspiera milion funkcjonariuszy tajnej policji, czujnie tropiących każdy przejaw nielojalności lub nieposłuszeństwa. Ci ludzie mogą się zmienić – i zmieniają się – jeśli usłyszą, jak cudowne może być życie w wolności, stwierdził Song. I on próbował przekazywać im tę prawdę.

Niedaleko granicy rozmieścił kilku ochotników, którzy czekali na wiatr z południa, po czym wypuszczali małe, wypełnione helem balony z wiadomościami i zdjęciami opisującymi życie w Korei Południowej. Balony leciały na północ, wznosiły się i pękały, a wiadomości spadały z nieba niczym deszcz. Chociaż ich czytanie było przestępstwem, Song wiedział, że wielu ludzi to robi.

Sir Adrian przypomniał sobie zasłyszaną opowieść o nieżyjącym Kim Dzong Ilu i jego lęku przed podzieleniem losu Ceaușescu, którego obywatele pewnego dnia przestali oklaskiwać i zaczęli buczeć.

– Czego pan potrzebuje, by rozszerzyć zakres działania? – spytał.

Song wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Funduszy – odrzekł. – Nasz ruch nie otrzymuje materialnego wsparcia ani od Korei Południowej, ani od żadnego innego kraju. Musimy sami kupować balony i hel. Dzięki dofinansowaniu mógłbym nawet przerzucić się z balonów na drony, które po wykonanym zadaniu wracałyby nienaruszone. Służyłyby nam wielokrotnie. Do dronów mógłbym dołączać małe, tanie, zasilane bateriami magnetofony. Słowo mówione i filmy są znacznie bardziej



przekonujące. Mieszkańcy Korei Północnej mogliby wtedy zobaczyć, jak naprawdę wygląda życie na Południu. Na własne oczy ujrzeliby nasze swobody, prawa człowieka, wolność wyrażania myśli i pragnień. Ale do tego jeszcze daleka droga.

– Sądzi pan, że pańscy dawni rodacy mogliby się zmienić? Zbuntować? Powstać przeciwko władzy?

– Nie od razu – odparł Song. – Nie byłoby to też pospolite ruszenie. Podobnie jak w Rumunii przed laty, bunt mógłby się zrodzić wśród generałów, którzy dziś łąszą się do Grubasa. To oni kontrolują maszynę tłumienia i niewolonia. Pasują im przywileje i łatwe życie w bogactwie. W tej chwili wysławianie Kima zapewnia im to wszystko. Ale nie zapominajmy o kwestii wieku. W moim społeczeństwie szanuje się osoby starsze. Całe Najwyższe Dowództwo składa się z ludzi, którzy mogliby być ojcami Kima. Nie są zachwyceni, że traktuje się ich z pogardą. Ucieczka generała Li mocno nimi wstrząsnęła. Dlatego Kim musi bezustannie dbać o swoją pozycję. Obecnie ułatwia mu to naiwny Zachód, który uważa, że Kim pewnego dnia porzuci broń jądrową. Zatem generałowie wciąż przy nim trwają... dopóki sami nie poczują się zagrożeni. Wtedy uderzą, jak generałowie w Rumunii.

– Ma pan dar przekonywania, panie Song – przyznał sir Adrian. – Osobiście nie mogę panu pomóc. Ale chyba znam kogoś, kto może to zrobić.

Nie miał wątpliwości, że brytyjski podatnik, i tak nadmiernie obciążony, nie powinien dokładać się do kolejnej zagranicznej akcji, ale nie kłamał, mówiąc, że zna kogoś, kto mógłby sypnąć groszem.

\* \* \*

Nikt nigdy się nie dowie, co naprawdę poszło nie tak w sercu świętej góry Pektu-san tamtego wrześniowego dnia.

Pocisk Hwasong-20 sterczał z dna podziemnego silosu. Był naprawdę olbrzymi. Z wielką starannością złożono i zamontowano nowy rosyjski silnik RD250. Z jeszcze większą starannością napełniono zbiornik wysoce niestabilnym paliwem hipergolowym, które miało ponieść pocisk na drugą

stronę planety. Jeszcze nie zamontowano głowicy termojądrowej, a wytrzymałe stalowe drzwi, przesłaniające niebo, pozostawały zamknięte.

Ale każdy skomplikowany system należy przetestować. Właśnie podczas testu coś poszło nie tak. Teoretycznie nie było ku temu powodów. Włączanie i wyłączanie obwodów, upewnianie się, że łącza nie zawiodą w najważniejszej chwili – nie powinno się z tym wiązać żadne niebezpieczeństwo.

Wybuch rozerwał świętą górę na kawałki. W porównaniu z nim rozmyślnie eksplozje na górze Punggje-ri, które z takim zainteresowaniem śledzili amerykańscy obserwatorzy i media, przypominały radosne fajerwerki.

Na Pektu-san nie było żadnych cudzoziemców. Ale przebywali tam północnokoreańscy generałowie, którzy siedzieli skuleni w bunkrach. Przyjechali obejrzeć triumf. Teraz chwiejnym krokiem, strzepując pył z mundurów, wracali do swoich limuzyn.

Sejsmografy w różnych zakątkach świata odnotowały wstrząsy gdzieś na północy Korei. Ustalono, że ich źródłem był jedyny wulkan w tej części globu. Naukowcy doszli do wniosku, że to Pektu-san daje o sobie znać. Ale czyż nie jest uśpiony?

Zagraniczni sejsmolodzy mogli tylko spekulować, dlaczego pozornie nieczynny wulkan nagle się zbudził. W pałacu Marszałka w Pjongjangu zastanawiano się nie nad tą zagadką, lecz nad powodem opóźnienia.

Generałowie, którzy byli świadkami katastrofy, wrócili do stolicy swoimi limuzynami, mknąc przez wioski pełne chudych jak patyki, niedożywionych chłopów, którzy wiwatowali na ich widok, ponieważ nie śmieli zachować się inaczej. Po przybyciu do pałacu generałowie bali się jako pierwsi przekazać wieści. Dopiero po dłuższym wypytywaniu przez pulchnego dyktatora jeden z wojskowych przyznał, że wynikł „pewien problem”. Kiedy ujawniono wszystkie szczegóły, nieszczęsny posłaniec stracił posadę i wolność. Posłano go do obozu pracy.

W tej kulturze krzyczenie ze złości jest równoznaczne z utratą twarzy, a jednak Marszałek krzyczał. Przez godzinę. Dworzanie umknęli w popłochu. Kiedy władca się uspokoił, zażądał dokładnych wyjaśnień, po czym rozkazał wszcząć drobiazgowo śledztwo, by ustalić przyczyny katastrofy. Późniejsze

badanie ruin pozwoliło stwierdzić, że źródłem awarii był silnik RD250, który przywieziono z Rosji. Jakiś błąd produkcyjny wywołał niewielką iskrę, od której zapaliło się paliwo. Ale to było dopiero kilka tygodni później.

Tuż po wybuchu Marszałek wiedział tylko, że jego plan spalił na panewce. Pocisk Hwasong-20 po zamontowaniu głowicy termojądrowej miał zmienić Koreę Północną w prawdziwą nuklearną potęgę i zagwarantować Kimowi miejsce wśród światowych elit. A teraz naukowcy poinformowali go, że odtworzenie pocisku i wybudowanie silosu we wnętrzu kolejnej góry potrwa lata i pochłonie astronomiczne sumy. Wezwał do siebie ambasadora Rosji. Ten wyszedł od niego blady jak ściana.

# Rozdział dziewiętnasty

Sir Adrian potrzebował trzech dni, by znaleźć sponsora dla koreańskiego ochotniczego ruchu oporu, którym kierował pan Song. Zaczął od ostrożnych rozmów z dwoma dawnymi kontaktami w Krajowej Agencji do spraw Przystępności. Organizacja ta kiedyś nosiła nazwę Agencji do spraw Przystępności Zorganizowanej i mimo że nie wchodzi w skład londyńskiej Policji Metropolitalnej, blisko z nią współpracuje, chociaż jej jurysdykcja obejmuje cały kraj.

Są tam dwa specjalne działy, skupiające się wyłącznie na narkotykach i rosyjskim świecie przestępczym. Weston porozmawiał z szefami obu tych działów i w końcu zdecydował się na Ilję Stiepanowicza. Kiedyś zajmował on wysoką pozycję w tym świecie i podobnie jak już nieżyjący Władimir Winogradow, w czasie gospodarczego załamania Rosji, stosując łapówki i przemoc, przejął kontrolę nad częścią państwowego przemysłu. W jego wypadku chodziło o produkcję platyny. Został miliarderem.

Dzięki zdobytemu bogactwu mógł wspierać finansowo Woźdia w czasach jego pierwszej prezydentury. Po zwycięstwie w „ustawionych” wyborach Woźd’ na dobre rozgościł się na Kremlu i od tamtej pory ani na moment nie stracił władzy. Stiepanowicz wciąż miał kontakty zarówno w rządzie, jak i w świecie przestępczym. Gdy wyczyszczono jego policyjną kartotekę, przeniósł się do Londynu, żeby wieść życie rosyjskiego oligarchy, któremu pozwolono zamieszkać w Wielkiej Brytanii w charakterze „nierezydenta”.

Mieszkał w wartej dwadzieścia milionów funtów posiadłości w najbogatszej części miasta, Belgravii, miał prywatny odrzutowiec w Northolt, a domeną jego zainteresowań był nie klub piłkarski, lecz konie wyścigowe trenowane w Newmarket. Miał kilka jawnych numerów

telefonicznych, dla przyjaciół i znajomych, oraz tajny numer, chroniony przez zabezpieczenia, które zainstalowali najlepsi na rynku maniacy komputerowi. Uważał, że ta linia jest poza wszelkimi podsłuchami. Luke Jennings zdobył kody dostępu w ciągu kilku dni. Doktor Hendricks, który znów nie miał pojęcia, jak chłopak tego dokonał, powołał niemożliwą do namierzenia grupę, która stale pilnowała linii i w końcu zarejestrowała połączenie z numerem w Panamie. Okazało się, że Stiepanowicz zadzwonił do jednego z banków.

Mentor w Chandler's Court znów zapędził młodego geniusza do pracy. Po kilku dniach udało się przeniknąć do bazy danych banku i do tajnego rejestru zagranicznych posiadaczy rachunków. Baza danych spytała dzwoniącego, którym niewątpliwie był pan Stiepanowicz, skoro podał właściwy kod dostępu, jaką sumę chce przelać i na jaki rachunek bankowy.

Tak naprawdę nie było żadnej rozmowy telefonicznej. Komputer skontaktował się z komputerem. Sir Adrian sam podjął się roli „dzwoniącego” i zasiadł w pracowni komputerowej w Chandler's Court razem z doktorem Hendricksem, który spytał go o instrukcje. Sir Adrian zerknął na trzymaną w dłoni kartkę.

Znajdowały się na niej elektroniczne dane nowego rachunku w szanowanym banku handlowym na Wyspach Normandzkich. Sir Adrian odczytał wszystko, litera po literze i cyfra po cyfrze, a doktor Hendricks wpisał dane na klawiaturze i w ciągu nanosekundy instrukcje pomknęły do Panamy. Podniósł wzrok na Westona.

– Panama pyta, jaką część środków chce pan przelać.

Sir Adrian nie zastanawiał się ani chwili. Wzruszył ramionami.

– Wszystko – odrzekł.

Po sekundzie przelew był gotowy.

– Jasna cholera – mruknął Hendricks, wpatrując się w ekran. – To trzysta milionów funtów.

Fałszywy pan Stiepanowicz zakończył połączenie. Wcześniej zadbał o to, by na podstawie analizy transakcji nie dało się wpaść na trop Chandler's Court. Doktor Hendricks nagle zaczął chichotać. Siedzący po drugiej stronie pokoju Luke Jennings uśmiechnął się. Zrobił coś, co sprawiło radość jego

przyjacielowi, więc był zadowolony. Sir Adrian wrócił samochodem do Londynu.

Oczywiście taka suma znacznie wykraczała poza potrzeby pana Songa w Seulu. Sir Adrian udostępnił mu spory fundusz operacyjny, który pozwalał na zasypanie Korei Północnej wywrotową propagandą, sam natomiast przekazał duże anonimowe datki na cele charytatywne, między innymi na pomoc krzywdzonym i głodnym dzieciom oraz okaleczonym żołnierzom.

Członkowie personelu domowego, zatrudnieni w posiadłości w Belgravii, którzy wieczorem wybrali się do pubu Crown & Anchor za rogiem, opowiadali, że po kolacji dobiegł z salonu ich pracodawcy odgłos przypominający ryk rannego zwierzęcia.

Nie wspomnieli jednak, ponieważ o tym nie wiedzieli, że utracona fortuna nie należała do Stiepanowicza. Przechowywał ją dla „honorowych złodziei”. Pieniądze pochodziły z handlu kokainą, a w rosyjskim świecie przestępczym nie lubią słuchać wymówek, gdy znika ich majątek. Stiepanowicz ocalił życie, ponieważ ich spłacił, ale musiał się pożegnać z końmi wyścigowymi.

\* \* \*

Następnego dnia po radosnym spotkaniu przy piwie pod dachem pubu w Belgravii odbyło się bardzo elitarne zebranie w Chequers. W gronie polityków pojawiła się pani premier, która przewodziła zebraniu, ale prawie się nie odzywała, gdyż jak zwykle wolała słuchać ekspertów; byli także minister spraw zagranicznych, minister obrony oraz podsekretarze stanu z trzech innych ministerstw. Tym razem jednak przyszli posłuchać wysokich rangą urzędników państwowych.

Wśród nich znaleźli się szef Sztabu Obrony Narodowej, szef wywiadu wojskowego SIS, dyrektor Narodowego Centrum Cyberbezpieczeństwa (NCSC) oraz jego kolega z Centrali Łączności Rządowej (GCHQ), a także dwoje przedstawicieli SIS i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy poświęcili swoje życie zawodowe na badanie Europy Wschodniej i Rosji. Z różnych źródeł napływały nowe niepokojące wieści.

Zespół holenderskich naukowców po latach badań stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że katastrofa lotu Malaysia Airlines 17 na Ukrainie w lipcu 2014 roku, w której zginęło dwustu osiemdziesięciu trzech pasażerów i piętnastu członków załogi, była spowodowana rozmyślnym ostrzałem ze strony rosyjskiej załogi wyrzutni rakietowej Buk, stacjonującej na terenie okupowanej przez Rosję wschodniej Ukrainy.

Podśluchana rozmowa radiowa potwierdziła, że ludzie odpowiedzialni za atak nie byli ukraińskimi rebeliantami i doskonale wiedzieli, że ich celem jest cywilny samolot pasażerski. Większość pasażerów stanowili Holendrzy.

– Niezbędny będzie odwet – orzekł szef Sztabu Obrony Narodowej. – A przynajmniej działania odstrasżające. Prowokacji stale przybywa i są nie do zaakceptowania.

Zgromadzeni przy stole mruclili i kiwali głowami. Następnie zabrał głos przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a po nim człowiek z NCSC.

Doszło do druzgoczącego cyberataku na Ukrainę, na jej banki, rząd i sieć energetyczną, przy użyciu wirusa zwanego NotPetya. Atak pozornie miał postać pospolitej próby wyłudzenia okupu, ale zachodnie agencje zajmujące się cyberprzestępczością nie miały wątpliwości, że stoi za nim rosyjski rząd.

Co więcej, ciągnął dyrektor NCSC, rosyjskie cyberataki na Wielką Brytanię z każdym tygodniem stają się częstsze i bardziej zajadłe. Każdy z nich wywołuje zniszczenia, a obrona przed nimi jest kosztowna. Na prośbę pani premier minister spraw zagranicznych podsumował sytuację.

– Żyjemy w wyjątkowo niebezpiecznych czasach. W mediach jest coraz więcej doniesień o ogólnoswiatowych aktach terroru dokonywanych za sprawą dziwaczego, pseudoreligijnego kultu śmierci wyrosłego ze skrzywionego islamu. Ale to nie on stanowi największe zagrożenie, gdyż pomimo samobójczych zamachów ISIS nie jest państwem. Obecnie dwanaście krajów posiada bomby jądrowe i pociski zdolne je przenieść. Cztery z tych krajów są wielce niestabilne. Trzy kolejne to bezwzględne dyktatury, kierujące swoją agresją także na zewnątrz. Dwa z nich to Korea Północna i Iran, ale na prowodyra z własnej woli wyrasta Rosja. Sytuacja nie była tak poważna od czasów Stalina.

– Co na to Ministerstwo Obrony? – spytała pani Graham.

– Muszę się zgodzić z ministrem spraw zagranicznych – odrzekł minister obrony. – Przynajmniej raz w tygodniu rosyjskie okręty podwodne i okręty wojenne wpływają na nasze wody przybrzeżne, a bombowce zdolne do przenoszenia bomb jądrowych naruszają naszą przestrzeń powietrzną. Nasze myśliwce przechwytyjące i okręty podwodne niemal bez przerwy są w stanie gotowości. Wielka Brytania to nie jedyny, ale główny cel w Europie Zachodniej. Jak powiedział minister spraw zagranicznych, zimna wojna powróciła, i to nie z naszej inicjatywy, ale za sprawą Rosji. Potajemne, szeroko zakrojone ataki na Zachód są faktem, choć ukrywa się je pod płaszczykiem prowokacji.

– A jak to wygląda w Rosji? – spytała pani premier.

– Równie źle, jeśli nie gorzej – odparła ministerialna specjalistka od Europy Wschodniej. – Kreml coraz mocniej kontroluje życie w kraju. Rosyjskie media są w większości na usługach rządu. Krytyczni dziennikarze często padają ofiarą zabójców ze świata przestępczego. Reszta odrobiła lekcję i nawet nie próbuje krytykować Kremla. Ceną jest nie kariera, ale życie. Wiemy także o zabójstwach krytyków Rosji poza jej granicami. Wygląda na to, że nie mamy innego wyjścia, jak tylko godzić się na tę agresję, jeśli nie chcemy otwartej wojny, a ta jest nie do pomyślenia.

\* \* \*

To ponure zebranie zakończyło się pół godziny później. Ministrowie i urzędnicy udali się na lunch. Osoby siedzące z tyłu sali czekały na ich powrót. Pani Graham, już stojąc w drzwiach, złowiła spojrzenie sir Adriana i skinieniem głowy zaprosiła go do biblioteki. Dołączyła tam do niego po kilku minutach.

– Nie mam wiele czasu – powiedziała. – Wysłuchałeś oceny sytuacji. Co o tym myślisz?

– Oczywiście mają rację. Przyszłość nie wygląda wesoło.

– A ostatnia prelegentka? Miała rację? Nie możemy niczego zrobić?

– Przynajmniej oficjalnie, pani premier. Lecz gdyby Rosja doznała druzgoczącej klęski, a Kreml otrzymał dyskretne ostrzeżenie, że coś takiego



się powtórzy, jeśli nie ustaną ich prowokacje, mogliby usłuchać. Ale nie możemy działać otwarcie. Każdy rząd chce zachować twarz.

– Chętnie poznam twoje przemyślenia, sir Adrianie. Na papierze. Specjalna przesyłka, tylko do mojego wglądu. W ciągu tygodnia. Wybacz, muszę już iść.

Odeszła, a sir Adrian wymknął się i pojechał do domu. Miał pomysł.

\* \* \*

Sir Adrian zawsze dokładnie badał dany temat, zanim otworzył usta lub przyłożył pióro do papieru. Wywodził się ze środowiska, w którym błędy położonych mogły kosztować życie podwładnych. Zapoznał się z informacjami na temat gazociągów, ich budowy i obsługi. Skupił się na Międzynarodowym Instytucie Studiów Strategicznych oraz Królewskim Instytucie Zjednoczonych Służb. W tym pierwszym wytypował doktora Boba Langleya.

– Rosja stawia wszystko na jedną kartę i przeznaczają szalone pieniądze na TurkStream. Wygląda jednak na to, że nikt nie zwraca na niego uwagi – oznajmił doktor Langley. – To dziwne, ponieważ na dziesięciolecia określi on sytuację w całej Europie Zachodniej.

– A TurkStream to...

– Największy gazociąg świata. Ostro pracują i zamierzają skończyć budowę pod koniec dwa tysiące dwudziestego roku. Wtedy nasz świat się zmieni, ale nie na lepsze.

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie o tym gazociągu, doktorze.

– Gaz ziemny, zwany także naftowym, w coraz większym stopniu zasila nasz przemysł i będzie to jeszcze rosło. Część gazu importujemy tankowcami z Bliskiego Wschodu w formie płynnej, czyli LPG, ale spora ilość pochodzi z Rosji i płynie na zachód kilkoma gazociągami. Niemcy praktycznie uzależniły się od dostaw rosyjskiego gazu, co tłumaczy, dlaczego Berlin jest tak uległy wobec Moskwy. Gazociągi biegną przez Ukrainę, Polskę, Mołdawię, Rumunię i Bułgarię. Kraje te pobierają opłaty tranzytowe, które odgrywają ważną rolę w ich gospodarce. TurkStream zastąpi wszystkie te gazociągi.

Kiedy popłynie nim rosyjski gaz, Europa stanie się zależna od Rosji i będzie musiała jej służyć.

– A jeśli nie kupimy ich gazu?

– Europejskie produkty staną się niekonkurencyjne na światowych rynkach. Jak pan sądzi, co wygra? Zasady czy zyski? TurkStream składa się z dwóch gazociągów. Oba biorą początek z serca Rosji i zagłębiają się pod ziemię w Krasnodarze, niedaleko wybrzeża Morza Czarnego w zachodniej Rosji. Blue Stream prowadzi pod Morzem Czarnym, wychodzi na powierzchnię w Turcji i kieruje się do Ankary. Dzięki temu, a także dzięki obniżonym cenom gazu, Turcja dała się kupić i obecnie pozostaje w bliskich stosunkach z Rosją. Drugi, znacznie dłuższy gazociąg, South Stream, także prowadzi pod Morzem Czarnym, ale wynurza się na zachodzie Turcji, niedaleko greckiej granicy. Tam zostanie wybudowana sztuczna wyspa, przy której będzie cumowała flota tankowców obsługujących Europę Zachodnią. W ten sposób Rosja całkowicie nas od siebie uzależni.

– Więc człowiek na Kremlu wie, co robi?

– I to doskonale – odrzekł doktor Langley. – Najpierw groźby militarne powiązane z nieustannymi cyberatakami, a potem dominacja energetyczna. Jeden z jego poprzedników wykorzystywał w tym celu Armię Czerwoną. Teraz bronią jest LPG.

Bob Langley był nie tylko wyszkolonym strategiem, ale także technikiem. Wyjaśnił sir Adrianowi, który nie znał się na kwestiach technicznych, że chociaż podmorskie koparki są dopiero w połowie drogi, płynny gaz już płynie. Ale w tym celu musi pozostawać w postaci płynnej, a nie lotnej.

Żeby utrzymywać płynną postać i odpowiednie ciśnienie, po drodze gaz musi mniej więcej co osiemdziesiąt kilometrów przepływać przez stacje sprężające. Działają w nich trzy rodzaje kompresorów, które jednak wykonują to samo zadanie.

– Jak się je kontroluje?

– Oczywiście za pomocą komputera. Główne komputery znajdują się w zakładzie pod Krasnodarem w głębi Rosji. Głęboko pod ziemią i całe kilometry pod powierzchnią Morza Czarnego sprężarki odbierają płynący gaz, zwiększają jego ciśnienie i posyłają go od stacji do stacji, aż do tureckiego

wybrzeża. Żeby zdobyć zasilanie, pobierają nieco przetłaczanego gazu ziemnego i wykorzystują go do własnych potrzeb. Genialne, nie uważa pan? System jest samowystarczalny, a daleko na Syberii gazu nie brakuje.

Sir Adrian przypomniał sobie stare powiedzenie: „Kto płaci, ten wymaga”. A raczej, w tym wypadku, kto kręci kołami przemysłu. Ze swojego bunkra na Kremlu Woźd’ kieruje podupadającą gospodarką, ale wkrótce może dysponować bronią, która pozwoli mu podporządkować sobie europejski kontynent.

Staruszek zdobył już wystarczająco dużo informacji, by ułożyć i wysłać pismo do pani premier. Spędził kolejne dwa dni na studiowaniu danych technicznych, a gdy pani Graham się odezwała, pojechał na północ, do Chandler’s Court, żeby skonsultować się z doktorem Hendricksem.

Szanowna Pani Premier, zgodnie z Pani prośbą przedstawiam swoje przemyślenia.

*Przyszłość naszej części planety, Europy Zachodniej oraz naszego kraju nie zależy od podjętych środków bezpieczeństwa. To kwestia wtórna, ponieważ przede wszystkim musi nas być na nie stać. Podstawowym zagadnieniem jest dobrobyt. Ludzie staną do walki, jeśli zajrzy im w oczy widmo trwałej biedy.*

*To groźba bankructwa Niemiec w latach trzydziestych pchnęła Hitlera do ataku na sąsiadów. Potrzebował ich zasobów, by uniknąć katastrofy finansowej spowodowanej nadmiernymi wydatkami. Ludzie przestaliby go czcić, gdyby zaczęli cierpieć głód, tak jak w latach dwudziestych. Od tamtych czasów niewiele się zmieniło.*

*Dzisiaj kluczem do dobrobytu jest energia – jej tanie, stałe i obfite źródła. Próbujemy wykorzystać w tym celu wiatr, wodę i słońce, co jest pomysłowe i modne, ale zaspokaja ledwie ułamek naszych potrzeb.*

*Węgiel, kamienny i brunatny, to już przeszłość. Drewniany granulak zatruwa środowisko. Podobnie jak ropa naftowa. Przyszłością jest gaz ziemny. Pod skorupą ziemską jest go wystarczająco dużo, by przez sto lat dostarczać nam ciepło, światło i siłę napędową. To one zapewniają bogactwo, wygodę i pożywienie. Gdy ich nie brakuje, ludzie są zadowoleni i nie walczą.*

*Wiemy, gdzie można znaleźć ogromne nienaruszone złoża, a kolejne są odkrywane niemal codziennie. Ale Natura słynie z tego, że jest kapryśna, więc*

nie rozmieściła ich pod skupiskami ludzi, którzy ich potrzebują.

Ostatnio odkryto potężne naturalne złożę gazu ziemnego niedaleko wybrzeży Izraela (rozciąga się ono także na trzy inne podmorskie terytoria, ale odkrycia dokonał Izrael). Wiąże się z tym pewien problem.

Na krótkie odległości gaz może być przesyłany pod własnym ciśnieniem od źródła do odbiorcy. Nowe złożę Izraela jest oddalone od brzegu o pięćdziesiąt mil. To wystarczająco blisko, jeśli postawi się kilka stacji sprężających. Na dłuższe dystanse gaz może być przesyłany tylko w płynnej i zmrożonej formie zwanej LPG. Wtedy można go przewozić tankowcem, jak każdy inny ładunek. Po dotarciu do celu gaz jest odparowywany i uzyskuje objętość tysiące razy większą od rozmiarów tankowca. Można go wówczas rozsyłać gazociągami na teren całego kraju jako tanie i ekologiczne źródło energii.

Warto, żeby Wielka Brytania podpisała z Izraelem długoterminową umowę na wyłączność. Oni mają gaz, ale nie dysponują zakładami do jego skraplania. My mamy fundusze i technologię, które pozwolą nam zbudować platformę wydobywczą na morzu. Byłoby to obustronnie korzystne partnerstwo, które wyzwoliłoby nas z trwającej od dziesięcioleci zależności od potencjalnie wrogich państw. Ale to pismo nie dotyczy Izraela. Jeszcze większe źródło gazu ziemnego znajduje się pod terenami Rosji, wiele kilometrów od skarbcza Europy Zachodniej.

Aby móc sprzedać ten ocean gazu, Rosja – a dokładniej monopolista w branży paliwowo-gazowej, Gazprom – musi wybudować jeden albo dwa gigantyczne gazociągi łączące jej złoża w Europie Wschodniej z wygodnymi portami morskimi, z których tankowce będą dostarczać go zachodniej połowie kontynentu.

Rozważano budowę mniejszych gazociągów, które miały przecinać Białoruś i Polskę, a także Ukrainę, prowadząc do portów na wybrzeżach Rumunii i Bułgarii. Ale Rosja praktycznie zaatakowała Ukrainę i ma napięte relacje z Polską, Rumunią i Bułgarią, które należą do Unii Europejskiej i martwią się agresywną postawą Kremla. Nowym i ostatecznym wyborem stała się Turcja i dlatego Rosja intensywnie zabiega o względy jej autorytarnego prezydenta, mimo że to jeden z krajów członkowskich NATO.

*Rosja postanowiła za wszelką cenę zalać Europę Zachodnią swoim gazem ziemnym i w ten sposób uzależnić ją od swoich dostaw. Zamierzają wykorzystać do tego celu gazociągi prowadzące do Turcji. Obecnie budują dwa: South Stream i Blue Stream.*

*Główny problem ma podłoże techniczne. Aby dotrzeć do Turcji, oba gazociągi trzeba przeciągnąć pod setkami kilometrów Morza Czarnego. Kiedy Pani czyta te słowa, rosyjskie koparki już pracują.*

*Te koparki to oszałamiająco złożone urządzenia, które podobnie jak wszystkie współczesne maszyny tego rodzaju, są sterowane komputerowo. Komputery, jak wiemy, mogą rozwiązać wiele problemów, ale czasami przytrafiają się im awarie.*

*Jak zwykle pozostaję do dyspozycji Pani Premier,  
Adrian Weston*

W Chandler's Court sir Adrian zapoznał z sytuacją doktora Hendricksa.

– Ten komputer z pewnością jest ściśle strzeżony – orzekł guru z GCHQ. – Nawet jeśli uda nam się przedostać do środka, jakie złośliwe oprogramowanie możemy tam zainstalować? Jakie polecenia mamy wydać?

– Powiedziano mi, że wystarczy pojedyncza awaria zapłonu, by spowodować duże szkody – odrzekł sir Adrian.

Godzinę później obaj mężczyźni już rozmawiali z nieśmiałym nastolatkiem w sali komputerowej.

– Luke, jest pewien komputer niedaleko miasta Krasnodar...

\* \* \*

Tydzień później, głęboko w błękitnych wodach Morza Czarnego, coś stało się z kompresorem tłokowym K15 w gazociągu Blue Stream. Ustalony wcześniej poziom ciśnienia nagle zaczął się zmieniać. Nie opadał. Wręcz przeciwnie, ciśnienie rosło.

Prawie pięćset kilometrów dalej, w centrum komputerowym w niskim stalowym kompleksie budynków pod Krasnodarem, zręczne palce wprowadziły korektę. Bezskutecznie. Ciśnienie w urządzeniu głęboko pod powierzchnią Morza Czarnego nadal się podnosiło. W centrum

komputerowym wydawano coraz bardziej nerwowe instrukcje. K15 odmawiał posłuszeństwa. Wskaźnik ciśnieniomierza zbliżał się do czerwonej linii.

Ciśnienie w kompresorze osiągnęło dopuszczalną granicę. Łączenia rur się napięły, wyskoczyły nity. Podczas budowy zadbano o margines wytrzymałości, lecz ten został przekroczony. K15 przypominał ogromny silnik samochodowy z tłokami obracającymi się na wale korbowym. Wał korbowy wymaga smarowania gęstym olejem. Ten zaczął dymić i przestał spełniać swoją funkcję.

Pod Krasnodarem niepokój pomieszany z oszołomieniem zmienił się w panikę. Kiedy kompresor wybuchł, nikt niczego nie usłyszał. Ale K15 znajdował się w najgłębszym punkcie Morza Czarnego, ponad dwa kilometry pod powierzchnią, a żadna maszyna nie może wytrzymać panującego tam ciśnienia.

Przez pęknięcia do środka wdarła się woda morska – słona, niszcząca, napędzana szaleńczo wysokim ciśnieniem. Wtargnęła do gazociągu, zalewając kolejne kilometry rur i szczelnie je pieczętując z obu końców.

Woda pochłonęła koparki, które zatrzymały się i przestały pracować. Przed zmierzchem budowa TurkStream musiała zostać zamknięta.

– To nie powinno się wydarzyć – orzekł starszy naukowiec z centrum komputerowego w Krasnodarze. – To niemożliwe. Zbudowałem ten system. Był bezpieczny. Całkowicie niedostępny.

Ale późniejsze badanie, które podjęto na miejscu podmorskiej katastrofy, ujawniło, że do głównego komputera rzeczywiście ktoś się włamał i wprowadził drobnego złośliwego wirusa.

# Rozdział dwudziesty

Powstały dwa raporty. Jeden dotarł do najbardziej prywatnego gabinetu na Kremlu rankiem, drugi po południu. Oba wprawiły władcę Rosji w taki gniew, jakiego pracownicy jeszcze u niego nie widzieli.

Kiedy wpadał w złość, nie wrzeszczał, nie ciskał się ani nie tupał. Zastygał bez ruchu, twarz mu bladła, bieleły knykcie. Wszyscy, którzy nie zauważyli tych sygnałów i byli na tyle głupi, by się do niego odezwać, otrzymywali odpowiedź w postaci syku, więc czym prędzej opuszczali gabinet.

Pierwszy raport pochodził z zakładów zbrojeniowych Energomasz, producenta paliwa i silników raketowych, a w szczególności RD250, który napędzał rosyjskie międzykontynentalne pociski balistyczne, dopóki Ministerstwo Obrony nie wymieniło ich na inny model, pochodzący od innego dostawcy. To właśnie ministerstwo przekazało Kremlowi raport Energomaszu w ramach ostrzeżenia.

Zakłady donosiły o reklamacji, jaką złożył niedawny klient w związku z dostarczonymi silnikami raketowymi. Sprzedały RD250 Korei Północnej, która nie była zadowolona. Wyglądało na to, że wadliwa część, wchodząca w skład partii towaru, którą wysłano zapieczętowanym pociągiem na górę Pektu-san, spowodowała katastrofalną w skutkach eksplozję podczas testowania pocisku Hwasong-20. Wybuch zniszczył pocisk, a także silos, w którym odbywał się montaż.

Energomasz podjął własne szczegółowe śledztwo i doszedł do wniosku, że istnieje tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Ktoś włamał się do bazy danych komputera zarządzającego kontrolą jakości i wprowadził niemal niedostrzegalne zmiany do procesu produkcji.

Zabezpieczenia chroniące bazę danych były tak szczelne, że włamanie z zewnątrz uznawano za wykluczone. Wydarzyło się coś niewytłumaczalnego. Ktoś dokonał rzeczy niemożliwej z technicznego punktu widzenia.

Skutkiem był upadek tajnego programu raketowego Korei Północnej, która postanowiła zrezygnować z jakichkolwiek zamówień w Rosji. Ukrycie tego upokorzenia przed dobrze zintegrowanym środowiskiem naukowym zajmującym się pociskami wydawało się niemożliwe.

Ale raport Energomaszu zbladł w obliczu wieści, które po południu napłynęły z Krasnodaru, z centrum operacyjnego projektu TurkStream. Dla Woźdia awaria w głębinach Morza Czarnego była prawdziwą katastrofą.

Nie znalazł się na kwestiach technicznych, ale dokument napisano przystępnym językiem. Gdzieś pod wodą, mniej więcej w połowie odległości między wybrzeżami Rosji i Turcji, jeden z kompresorów odmówił posłuszeństwa, mimo rozpaczliwych prób usunięcia awarii. Także w tym wypadku komputery, które jak dotąd idealnie działały, nie chciały słuchać poleceń.

Technicy zatrudnieni przy TurkStream ustalili, że musiało dojść do interwencji z zewnątrz. Ale to było wykluczone. Kody dostępu składały się z miliardów obliczeń i permutacji. Żaden człowiek nie dałby rady przedrzeć się przez te zabezpieczenia i dotrzeć do algorytmów kontrolnych. A jednak ktoś tego dokonał. Skutkiem były zniszczenia, których naprawa potrwa całe lata.

Ocieplenie w Moskwie wywołało burzę, ale ciemne chmury nad złotymi kopułami soboru Wasyla Błogosławionego nie mogły się równać z nastrojem panującym w gabinecie władcy Rosji. W ciągu jednego dnia nie tylko przeczytał raport Ministerstwa Spraw Zagranicznych o koszmarnym wywiadzie z dyktatorem Korei Północnej, ale także odebrał druzgoczące wieści.

Dla człowieka na Kremlu przywrócenie jego ukochanej Rosji prawowitego statusu jedyne supermocarstwa w Europie było nie kaprysem, ale życiową misją. Teraz dominacja zależała już nie od dywizji pancernych Stalina, tylko od przejęcia całkowitej kontroli nad dostawami rosyjskiego gazu ziemnego do Europy Zachodniej po cenach, z jakimi nie mógł konkurować żaden inny



dostawca ani żadne inne źródło energii. Ten plan opierał się na gazociągu TurkStream.

Woźd' przez lata osobiście autoryzował stale przybierającą na sile wojnę cybernetyczną z Zachodem. Na przedmieściach jego rodzinnego Petersburga stoi wieżowiec, który od parteru po dach zamieszkują hakerzy. Bezustannie atakują złośliwym oprogramowaniem i trojanami komputery Zachodu, zwłaszcza Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. To agresja bez udziału pocisków i bomb, ale przede wszystkim bez oficjalnego wypowiedzenia wojny. A jednak była to wojna... w pewnym sensie.

Wyrządzone szkody opiewały na miliardy funtów i dolarów, padły systemy opieki zdrowotnej, ruchu powietrznego i usług komunalnych, a Woźd' rozkoszował się krzywdami, które wyrządził znienawidzonemu Zachodowi, mimo że dziewięćdziesiąt procent cyberataków nie sforsowało zabezpieczeń. Ale raport z Krasnodaru, który zwiastował wieloletnie opóźnienia oraz niebotyczne koszty naprawy zniszczeń, dowodził – jeśli jakiś dowód w ogóle był potrzebny – że oto ktoś postanowił odpowiedzieć atakiem. Woźd' wiedział, o kogo chodzi.

Ktoś skłamał albo dał się przechytrzyć. Irańczycy zawiedli. Brytyjski komputerowy geniusz wciąż żył. Nastolatek, który potrafił dokonać niemożliwego w cyberprzestrzeni, nie zginął w willi na przedmieściach Ejlatu. Woźd' posłał po swojego asa wywiadu, szefa SWR.

\* \* \*

Jewgienij Kryłow pojawił się u niego w ciągu godziny. Woźd' wręczył mu oba raporty. Czekał, aż Kryłow je przeczyta, patrzył przez okno, ponad Ogrodem Aleksandrowskim, na dachy zachodniej Moskwy.

– Zawiódł pan – odezwał się w końcu. – Pańskie Nocne Wilki zawiodły w Anglii, a Pasdaran zawiódł w Ejlacie.

Kryłow siedział w milczeniu, myśląc o tym, że to jeszcze nie wszystko. Nie wyjawiał, że jego rywal nie dał się nabrać na próbę wskazania zastępcy sekretarza gabinetu jako informatora Rosjan w Londynie – wciąż nie wiedział dlaczego – a także że prawdziwy zdrajca, młodszy urzędnik państwowy

Robert Thompson, zapewne wcale nie zginął w wypadku samochodowym, tylko zniknął razem z córką, której porwanie skłoniło go do współpracy z wrogiem. Kryłow nie znał szczegółów, ale zakładał, że czterej albańscy gangsterzy, którym zlecono to porwanie, już nigdy nie zobaczą Tirany.

Nie podzielił się żadną z tych informacji ze swoim szefem na Kremlu. Lata mozolnego wspinania się w hierarchii nauczyły go, że przełożeni lubią tylko dobre wieści, lecz szybko o nich zapominają. Z kolei porażki na stałe zapadają im w pamięć.

Usłyszawszy najnowsze doniesienia, szef SWR nie miał już żadnych wątpliwości: po drugiej stronie stał Weston. To on niweczył wszelkie jego wysiłki zlokalizowania i wyeliminowania nastoletniego hakera.

Wszystkie agencje szpiegowskie mają swoje legendy. Czasem tymi legendami są ich bohaterowie, w tym ci od dawna nieobecni, ale czasem również dawni wrogowie. Brytyjczycy pamiętają Kima Philby'ego, a Amerykanie Aldricha Amesa. Rosjanie wciąż zgrzytają zębami na wspomnienie Olega Pieńkowskiego i Olega Gordijewskiego. To byli wybitni szpiedzy, którzy zdradzili ojczyznę. Ale prawdziwym bohaterstwem wykazali się ci, którzy ich zwerbowali i „prowadzili”.

Kiedy Jewgienij Kryłow był wschodzącą gwiazdą w dawnym KGB, usłyszał o brytyjskim szpiegu, który swobodnie przedostając się do NRD, Czechosłowacji i Węgier, zwerbował jednego z szyfrantów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz radzieckiego pułkownika wojsk rakietowych na Węgrzech.

Kryłow wiedział także, choć nigdy nie zdołał tego udowodnić, że Brytyjczyk był obecny w Budapeszcie, gdy tajna policja ÁVO zastawiła pułapkę na jego informatora. Potem wycofał się z czynnej służby, podjął pracę biurową w Londynie i został człowiekiem numer dwa w MI6. Następnie przeszedł na emeryturę. A przynajmniej tak uważano.

Owszem, istnieje nastoletni superhaker, ale to Weston go prowadzi, wybiera cele i zadaje kolejne ciosy Rosji.

Prezydent miał obsesję na punkcie tego młodzieńca. Ale odkrycie mistyfikacji w Liechtensteinie, rozpracowanie Roberta Thompsona oraz wybór najbardziej strategicznych celów ataku – to wszystko było dziełem

innego umysłu, a Kryłowowi przychodziło do głowy tylko nazwisko Adriana Westona.

Woźd' wciąż wpatrywał się w chmury spowijające Moskwę.

– Czego pan żąda? – spytał Kryłow człowieka przy oknie.

Woźd' odwrócił się, przeszedł przez pokój i położył dłonie na ramionach siedzącego Kryłowa. Szef wywiadu popatrzył w lodowate, wściekłe oczy.

– Żądam, żeby się to skończyło, Jewgieniju Siergiejewiczu, żądam, żeby się skończyło. Nie dbam, jak to zrobisz ani z czyjej pomocy skorzystasz. Znajdź tego chłopaka i go usuń. To ostatnia szansa, Jewgieniju. Ostatnia szansa.

Kryłow otrzymał rozkaz. A także ultimatum.

\* \* \*

W branży szpiegowskiej wszyscy się znają. A przynajmniej słyszeli o sobie nawzajem. Studiują posunięcia przeciwników, tak jak mistrzowie szachowi analizują taktykę i charakter graczy, z którymi się zmierzą przy stoliku, gdzie bronią będą królowe i pionki.

Sojusznicy spotykają się przy posiłkach, konsultują się i czasami przekazują sobie informacje. Podczas przyjęć dyplomatycznych, pod osłoną Konwencji Wiedeńskiej i immunitetu dyplomatycznego, przeciwnicy uśmiechają się i stukają kieliszkami, doskonale zdając sobie sprawę, z kim rozmawiają. Każdy ma świadomość, czym naprawdę zajmuje się ten drugi, i wie, że przy pierwszej lepszej okazji postara się zrujnować karierę rywala. Czasami nawet współpracują, ale tylko wtedy, gdy politycy posuwają się za daleko w swojej głupocie. Robili to na przykład podczas kubańskiego kryzysu raketowego w 1962 roku.

Tamtego koszmarnego października, gdy Kennedy nakazał Rosjanom usunąć ich pociski z Kuby, a Chruszczow odmówił, szef KGB, zajmujący się całym amerykańskim Wschodnim Wybrzeżem, sam skontaktował się z CIA. Rosjanin przekazał Amerykanom, że jeśli Stany Zjednoczone zrezygnują z zagrażającej Rosji bazy raketowej w tureckim Incirlik, Chruszczow będzie mógł wycofać się z Kuby i zachować twarz przed własnym biurem

politycznym. Wymiana zamiast upokorzenia. Plan zadziałał. Gdyby tak się nie stało, ktoś odpaliłby pocisk atomowy.

Jewgienija Kryłowa, który teraz wracał limuzyną do Jasieniewa, nie było wtedy na świecie, ale dokładnie przestudiował historię tamtych wydarzeń. Później, kiedy wspinał się w hierarchii KGB, zapoznawał się z twarzami szefów brytyjskich, amerykańskich i francuskich agencji, którzy stali po drugiej stronie barykady podczas zimnej wojny. Był wśród nich także Weston.

Potem pojawił się Gorbaczow, rozpadł się Związek Radziecki, upadł komunizm i zakończyła się zimna wojna. Kolejne lata przyniosły Rosji upokorzenia, które w dużej mierze sama na siebie sprowadziła i za które teraz brała odwet. Tymczasem mężczyzna, o którym Kryłow myślał, odszedł na emeryturę. Pięć lat później, w wieku pięćdziesięciu lat, Jewgienij został awansowany na szefa SWR, rosyjskiego wywiadu zagranicznego. Sądził, że już nigdy nie czeka go konfrontacja z Westonem, ale ten najwyraźniej powrócił, a gdy to zrobił, sprawy przybrały fatalny obrót.

\* \* \*

Daleko na zachodzie człowiek, o którym rozmyślał ponad dziesięć lat młodszy Kryłow, właśnie pił z przyjaciółmi drinka przy barze w Klubie Sił Specjalnych. W lokalu panował gwar, goście żartowali i dzielili się wspomnieniami. Sir Adrian siedział w kącie, z kieliszkiem bordo, kiwał głową i uśmiechał się, gdy ktoś go zagadnął, ale przez większość czasu był zatopiony w myślach. Krążyły one wokół pewnego Rosjanina, którego nigdy nie spotkał, ale z którym po raz pierwszy walczył – i wygrał – ponad dwadzieścia pięć lat wcześniej. Za sprawą bezmyślnego Vernona Trubshawa.

Zimna wojna dobiegała końca, chociaż nikt o tym jeszcze nie wiedział. Wtedy, gdy do wielu miejsc za żelazną kurtyną trudno było się dostać, często proszono niewinnych biznesmenów, którzy wybierali się tam w interesach, by mieli oczy i uszy szeroko otwarte i zwracali uwagę na wszystko, co mogłoby zainteresować oficjeli, czyli branżę szpiegowską. Po powrocie biznesmena do kraju odbywał się przyjacielski lunch, podczas którego

grzecznie proszono o sprawozdanie. Zazwyczaj okazywało się bezużyteczne, ale przecież nigdy nie wiadomo.

Vernon Trubshaw był dyrektorem działu sprzedaży w jednej z firm, która brała udział w targach handlowych w Sofii, stolicy Bułgarii. Poproszono go, by na miejscu bacznie się rozglądał, a później Adrian Weston miał wysłuchać jego sprawozdania. Trubshaw, popijając zafundowane przez rząd wino, opowiedział pewną anegdotę, zapewne bezwartościową.

Podczas przyjęcia w rosyjskiej ambasadzie zszedł do toalety znajdującej się w piwnicy. Kiedy z niej wyszedł, na korytarzu stali czterej mężczyźni. Jeden z nich, wyraźnie najwyższy rangą, potwornie wydzierał się na młodego podwładnego. Mówił po rosyjsku, więc Trubshaw nie zrozumiał ani słowa. Młodszy mężczyzna, potraktowany jak śmieć, niemal popłakał się z upokorzenia.

Tydzień później spragniony pan Trubshaw dostał zaproszenie na kolejny lunch. Świeża porcja rządowego wina... i kilka zdjęć. Adrian Weston poprosił brytyjską ekipę SIS w Sofii o galerię twarzy pracowników rosyjskiej ambasady. Trubshaw nawet się nie zawahał. Postukał żółtym od nikotyny palcem w dwa zdjęcia.

– To ten się wydzierał, a tego sztorcowali – oznajmił.

Po upływie kolejnego tygodnia Adrian Weston udał się do Sofii pod dyplomatyczną przykrywką. Działający na miejscu pracownicy brytyjskiego wywiadu pomogli mu w identyfikacji wskazanych mężczyzn. Upokorzonym Rosjaninem był Ilja Lubimow, młodszy goniec w ambasadzie. Następnego dnia Weston zapukał do drzwi młodzieńca.

Wiedział, że jego plan pewnie nie wypali, ale nie miał czasu śledzić Rosjanina, spotykać się z nim na osobności poza ambasadą, a potem przez kilka tygodni starać się z nim zaprzyjaźnić. Na szczęście mówił płynnie po rosyjsku.

Takie bezpośrednie podejście do rekrutacji rzadko działa, ale nigdy nic nie wiadomo. Weston wprosił się do mieszkania Lubimowa i przedstawił swoją ofertę. Powiodło mu się. Upokorzenie, jakiego doznał młody Rosjanin przed drzwiami toalety, na oczach dwóch kolegów, nie dawało mu spokoju. Czuł się

zniechęcony i rozczarowany. Oprócz tego kipiał gniewem. Godzinę później zgodził się zmienić front i szpiegować dla Zachodu.

Oczywiście nie miał zbyt wielu możliwości, by to zrobić, ale pół roku później wrócił do Moskwy, gdzie utrzymał swoją posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dwa lata później jego cierpliwość została nagrodzona. U jednego z pracowników działu kryptografii zdiagnozowano szmery w sercu. Mężczyzna odszedł z pracy, a Lubimowa przyjęto na jego miejsce. Znalazł się w rajach. Londyn zdobył wszystkie szyfry stosowane w korespondencji dyplomatycznej z całym światem i podzielił się nimi ze Stanami Zjednoczonymi. Źródło wyszło osiem lat później, gdy Lubimow, odwiedzając w Petersburgu swoją owdowiałą matkę, zginął na Newskim Prospekcie pod kołami samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę. Dyplomata, który dziesięć lat wcześniej obrażał młodzieńca w rosyjskiej ambasadzie w Sofii, był Jewgienij Kryłow.

\* \* \*

W Londynie weteran brytyjskiego wywiadu poprosił o dolewkę. W Jasieniewie Kryłow zastanawiał się, w jaki sposób wykona polecenie Woźdia. Bo jeśli tego nie zrobi, będzie skończony.

Był pewien człowiek. Kryłow słyszał o nim i znał jego reputację, ale nigdy go nie spotkał. Człowiek działający w cieniu, wywodzący się ze Specnazu. Nawet w swoim środowisku uchodził za tajemniczego, co mu odpowiadało. Znali go pod imieniem Misza i był najlepszym snajperem, jaki kiedykolwiek dla nich pracował.

Mówiono, że w Syrii załatwił ponad pięćdziesięciu terrorystów z Al-Kaidy i ISIS, a także setkę ukraińskich bojowników na wschodzie kraju, po rosyjskiej inwazji, którą upozorowano na powstanie. Porównywano go z legendarnym Zajcewem ze Stalingradu.

Snajperzy są wyjątkowi. Żołnierze zabijają wrogów w powietrzu, na morzu i na ziemi, za pomocą broni palnej, granatów czy moździerzy. Ale rzadko widzą w nich ludzi. Kiedy strzelają z karabinu, wróg jest tylko sylwetką, która

pada na ziemię po trafieniu. Snajper dokładnie studiuje każdy szczegół ofiary, zanim pociągnie za spust i zakończy jej życie.

Nie wystarczy być strzelcem wyborowym. Doskonały strzelec korzystający z celownika optycznego może zdobyć olimpijskie złoto, ale celuje wtedy do nieruchomego i bezbronnego kawałka tektury. Wojskowy snajper jest prawdziwym łowcą ludzi.

Obaj posiadają zdolność całkowitej koncentracji, ale snajper musi także umieć pozostawać w bezruchu, nawet całymi godzinami. Strzelec sportowy nie ma potrzeby się ukrywać; snajper nie może być widoczny. Musi powstrzymać chęć rozprostowania obolałych mięśni, zmiany pozycji, podrapania się czy opróżnienia pęcherza, chyba że w ubranie.

Kamuflaż jest jego zbawieniem i kołem ratunkowym. Może mieć różne barwy. W mieście snajper dostosowuje się do koloru cegieł, kamieni, drewnianych drzwi, okien, rozbitego szkła, gruzu. Na wsi porusza się wśród drzew, krzewów, trawy, liści czy zwalonych pni. Przystrojony liśćmi i kępkami trawy, musi wtopić się w tło jak dzikie zwierzę. A potem czekać długimi godzinami, aż jego cel wypełźnie ze swojej nory albo pojawi się w polu widzenia.

Tyle czekania, tyle myślenia. Do takiej pracy najlepiej nadaje się człowiek skryty, który nawet po służbie nie jest zbyt rozmowny. Zajcew był synem myśliwego z Syberii, który czołgał się w ruinach Stalingradu, zdejmując jednego Niemca po drugim. Misza go przypominał. Pochodził z Kamczatki, krainy śniegu i drzew, ale potrafił stać się niewidoczny także pośród popękanych cegieł Aleppo czy zarośli Ługańska i Doniecka, za ukraińską granicą.

Jewgienij Kryłow podniósł słuchawkę telefonu w swoim gabinecie. Specnaz będzie musiał oddelegować swojego człowieka w szeregi SWR.

\* \* \*

Według nauki nie ma czegoś takiego jak szósty zmysł, a jednak musi on istnieć. Adrian Weston żył dzięki niemu i znał inne takie osoby. Jak na przykład weseli goście klubowego baru. Są chwile, gdy należy trwać

w bezruchu, i chwile, gdy trzeba ruszyć z miejsca. Jeśli dokona się właściwego wyboru, można dożyć starości.

Przypomniał sobie wydarzenia w Budapeszcie w czasach zimnej wojny, gdy wybierał się na spotkanie z informatorem w kawiarni nad Dunajem. Nie miał immunitetu dyplomatycznego. Jego źródłem był rosyjski pułkownik, który stracił wiarę w komunizm i zmienił front. Kiedy Weston zbliżył się do miejsca spotkania, pot spłynął mu po plecach.

Tej pracy zawsze towarzyszy niepokój, który należy opanować, ale tym razem wyglądało to inaczej. Coś tu nie grało: na tej ruchliwej ulicy było za cicho, przechodnie zbyt uważnie wpatrywali się w niebo. Skreślił w boczną alejkę, doszedł do innej ulicy, zmieszał się z tłumem i oddalił. Odwołał spotkanie, być może bez powodu. Później dowiedział się, że pułkownika schwytano i torturami zmuszono do zeznań, a tam na miejscu czekał silny oddział budzącej postrach węgierskiej tajnej policji. Właśnie dlatego przechodnie patrzyli w niebo. Widzieli kręcących się wokół tajniaków.

Teraz miał takie samo przeczucie względem Chandler's Court. Lokalizacja i tożsamość gości były znane w Moskwie. Doszło już do jednego ataku. Kapitan Williams i jego żołnierze zrobili to, co musieli. Kryłow z pewnością od kilku tygodni wiedział, że jego ludzie nie wrócą. Ale jego szef na Kremlu już dawno wyrzucił za okno wszystkie zasady.

Wieści o katastrofach na górze Pektu-san i w Krasnodarze niewątpliwie dotarły do Kremla, gdzie wyciągnięto odpowiednie wnioski.

Sir Adrian nie miał na to żadnego dowodu, ale podejrzewał, że wydarzenia w Korei i Krasnodarze doprowadziły człowieka na Kremlu do wniosku, że Luke wciąż żyje, dlatego należało się liczyć z kolejnym zamachem. Chociaż zadanie może być powierzone Jewgienijowi Kryłowowi, Weston wiedział, że to mężczyzna na szczycie wyda rozkaz. W ciągu długiego życia pełnego niebezpieczeństw sir Adrian wiele razy ufał intuicji i nigdy go nie zawiodła.

Mimo że to zaburzy życie Luke'a Jenningsa, nie ma innego wyjścia. Lepiej być roztrzęsionym niż martwym. Najwyższy czas przenieść pracownię komputerową do nowego, bezpieczniejszego miejsca. Umówił się na kolejną rozmowę z panią premier.



\* \* \*

– Jesteś pewien, Adrianie?

– Na tyle, na ile to możliwe w tym niepewnym świecie. W tej chwili jestem przekonany, że będzie znacznie bezpieczniejszy w innym miejscu.

– Dobrze. Masz moją zgodę. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Chyba nadal przyda nam się ochrona osobista Pułku. Mogę sam to załatwić bezpośrednio u brygadiera i dowódcy w Hereford. Tylko potrzebne są fundusze.

– No cóż, możemy bez przeszkód korzystać z funduszu rezerwowego. Dostaniesz to, czego potrzebujesz. Wymyśliłeś jakieś nowe cele?

– Tylko jeden, znów w Korei Północnej. Niedokończone sprawy. Ale będę bardzo ostrożny, obiecuję.

\* \* \*

Otrzymaawszy zgodę od pani premier, sir Adrian zajął się nową kwestią: dokąd się przenieść?

Rozpatrywał przeróżne możliwości, aż w końcu przypomniał sobie pewnego szkockiego oficera, z którym dawno temu służył w pułku spadochroniarzy. Mężczyzna po śmierci ojca został earlem i odziedziczył olbrzymią posiadłość w pobliżu Inverness w szkockich górach, ze wznoszącym się w jej sercu zamkiem Craigleven.

Weston odwiedził kolegę w jego zamku, gdy obaj byli jeszcze młodzi. Craigleven był dumną surową budowlą ze średniowiecznego granitu, otoczoną rozległymi trawnikami. Stał na przylądku na zachód od Inverness, pośród pastwisk dla owiec i tysięcy hektarów lasu, gdzie można było polować na jelenie i bazynty.

W 1745 roku, gdy Karol Edward Stuart, zwany Ślicznym Księciem Karolkiem, poprowadził powstanie przeciwko królowi Jerzemu II, wodzowie klanów w większości stanęli po stronie Stuartów. Sprytniejsi członkowie rodu Craigleven pozostali lojalni wobec króla. Po klęsce armii góralskiej pod Culloden

wielu wodzów straciło ziemię i tytuły. Craiglivena nagrodzono godnością earla i nowymi posiadłościami.

Sir Adrian odnalazł dawnego towarzysza broni i zjadł z nim lunch w dzielnicy St James's. Okazało się, że podstarzały earl spędza większą część roku w swoim londyńskim domu, a południowe skrzydło zamku Craigliven stoi puste i można je niedrogo wynająć. Znajdowały się tam dwadzieścia dwa pokoje oraz kuchnie i magazyny. W zamku mieszkała służba, która chętnie zajmie się gośćmi także poza sezonem.

– To skrzydło wymaga nieco pracy – powiedział earl. – Jest puste, odkąd Millie i ja się tutaj przeprowadziliśmy. Ale wystarczy trochę odmalować wnętrza i będą do twojej dyspozycji.

Następnego dnia pojawili się pracownicy renomowanej firmy dekoracyjnej z Inverness. Nie wystarczyło samo odmalowanie, ale sir Adrian i doktor Hendricks polecieli na północ, żeby nadzorować remont. Informatyk zamierzał odtworzyć centrum komputerowe, by przeniesienie pracowni z Chandler's Court odbyło się jak najsprawniej, bez niepotrzebnych wstrząsów dla Luke'a.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że czeka ich jeszcze jedno zadanie i należy je wykonać bezbłędnie. Musieli stworzyć dokładną replikę pokoju wrażliwego nastolatka, którego nawet najdrobniejsze zmiany w otoczeniu wytrącały z równowagi.

Przenosiny miały potrwać tydzień. Sir Adrian tymczasem poprosił Luke'a, by zajął się nową sprawą. Dotyczyła ściśle tajnej i silnie strzeżonej bazy danych, znajdującej się głęboko pod ziemią w Korei Północnej.

\* \* \*

W Rosji trwały inne przygotowania. Mężczyzna imieniem Misza został przeniesiony ze Specnazu do SWR i wziął udział w szczegółowej odprawie dotyczącej jego trzeciego zagranicznego zlecenia.

Przyswoił podstawy angielskiego na obowiązkowym kursie językowym, który wchodzi w skład szkolenia żołnierzy sił specjalnych. Pokazano mu serię zdjęć wiejskiej posiadłości w głębi hrabstwa Warwick, w samym sercu Anglii.

W jednym z okien domu wcześniej czy później miała się pojawić twarz, której zdjęcie przysłano z Teheranu. Oczywiście nie była to twarz Luke'a Jenningsa, ale kogoś bardzo podobnego.

W Londynie rezydent SWR Stiepan Kukuszkin zapoznał się ze wszystkimi szczegółami nadchodzącej misji i poinformował, że dwaj jego uśpieni agenci udający Brytyjczyków będą musieli zaopiekować się Miszą w Anglii, dostarczyć go na miejsce zamachu, a następnie umożliwić mu wyjazd. To wymagało transportu pomiędzy kilkoma lotniskami a tymczasową kryjówką, w której będzie mógł mieszkać, nie zwracając na siebie uwagi, dopóki nie zabierze się go do Chandler's Court.

Zabijanie z ukrycia to specjalność rosyjskiego wojska, a snajperzy tradycyjnie korzystają z karabinów SWD albo Mosin. Ale Misza wybrał nowocześniejszy i znacznie lepszy karabin Orsis T-5000 z celownikiem optycznym DH5-20x56.

Każdy snajper w Rosji zna losy dawnych strzelców wyborowych, a zwłaszcza Wasilija Zajcewa. Od dzieciństwa ćwiczył on strzelanie pod okiem ojca, by móc zabijać grasujące wilki, i doskonale potrafił się maskować w zaspach śnieżnych. Zimą 1942 roku w zasypanym śniegiem Stalingradzie zastrzelił ponad trzystu niemieckich żołnierzy, w tym słynnego snajpera, majora Erwina Königa.

Ale Zajcew korzystał ze standardowego karabinu radzieckiej piechoty. Od tamtych czasów w budowie karabinów snajperskich poczyniono olbrzymie postępy, a najnowszy Orsis T-5000 mógł trafić w cel niewidoczny gołym okiem. Broń, którą wybrał Misza, starannie zapakowano pod jego osobistym nadzorem, razem z celownikiem optycznym i amunicją. Karabin miał zostać przetransportowany do rosyjskiej ambasady w Londynie w bagażu dyplomatycznym, którego nie sprawdzają brytyjscy celnicy, w wyłożonej ołowiem skrzynce, na wypadek gdyby funkcjonariusze MI5 zechcieli użyć kamer rentgenowskich.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

Dwaj rosyjscy uspieni agenci nie musieli się spotykać. Jeden miał powitać gościa i odwieźć go do kryjówki – wynajętego mieszkania w podlondyńskim miasteczku Staines. Drugi był zwiadowcą i przewodnikiem.

Misza przyleciał z Polski, mając idealnie podrobiony polski paszport. Mówił ze słowiańskim akcentem i przybył z kraju należącego do Unii Europejskiej, więc nie sprawiało mu kłopotów na Heathrow. Celnicy nawet nie sprawdzili jego walizki.

Gdyby ją otworzyli, nic nie wzbudziłoby ich podejrzeń. Nie ma nic dziwnego w tym, że turysta i miłośnik obserwowania ptaków przywiózł ze sobą ubranie w maskujących barwach, siatkę, buty turystyczne i manierkę. Kilka książek ornitologicznych oraz lornetka uzupełniały przebranie niegroźnego obserwatora ptaków. Ale bagaż i tak pozostał nietknięty.

W holu za kontrolą celną czekał człowiek w odpowiedniej marynarce i krawacie. Wymienił z Miszą ustalone wcześniej nic nieznaczące powitanie. Samochód stał na krótkoterminowym parkingu. Gospodarz wyglądał na brytyjskiego obywatela i bezbłędnie mówił po angielsku. Dopiero w jadącym samochodzie, za zamkniętymi oknami, obaj mężczyźni przeszli na rosyjski. Dwie godziny po wylądowaniu Misza wprowadził się do mieszkania w Staines.

Godzinę później gospodarz zadzwonił do siedziby RT, anglojęzycznej rosyjskiej propagandowej stacji, porozmawiał z odpowiednim technikiem i wypowiedział właściwe zdanie. W ambasadzie poinformowano Stiepana Kukuszkin, że snajper jest na miejscu i czeka na swój karabin. Używając zwyczajowych dyplomatycznych szyfrów, Kukuszkin powiadomił Jewgienija Kryłowa, że zabójca bezpiecznie dotarł do celu. Miszy polecono, by nie

opuszczał mieszkania – choć wcale nie zamierzał, ponieważ oglądał mecz piłkarski w telewizji.

Zwiadowca nie miał tak łatwego zadania. Pojechał do Chandler's Court, żeby sprawdzić, jak będzie można najłatwiej przerzucić snajpera do lasu. Mijając zagrodzone wejście, zobaczył, że bariera unosi się, by wpuścić meblowóz z emblematem znanej firmy przeprowadzkowej. To go zaintrygowało. Kto się przeprowadza? Któryś z chemików z rządowego laboratorium, a może ktoś z posiadłości?

Spędził noc we własnym domu, oddalonym o dwa hrabstwa, ale wrócił o świcie, zaparkował w niewidocznym miejscu i pieszo zbliżył się do posiadłości. Kolejny potężny samochód tej samej firmy, ale z inną tablicą rejestracyjną, właśnie wyjeżdżał na drogę prowadzącą przez wioskę. Zwiadowca pobiegł do swojego auta i doścignął ciężarówkę, gdy skręcała na autostradę M40, kierując się na północ. Podążył jej śladem aż do Oksfordu, po czym zawrócił na południe i skontaktował się ze swoim opiekunem z ambasady.

Następnego dnia Rosjanom się poszczęściło. Trzeci meblowóz wyjechał z posiadłości i również ruszył na północ. Tym razem ktoś go śledził. Na pierwszym postoju dla kierowców ciężarówek ukradkiem przyczepiono pod tylnym błotnikiem samochodu nadajnik.

Podążając za sygnałem, przemierzyli wyczerpującą trasę, siedemset dwadzieścia kilometrów, do dzikich ostępów hrabstwa Inverness w szkockich górach i rozległej posiadłości z zamkiem Craigleven. Przez zwyczajowe kanały komunikacji agencji Moskwy skontaktowali się ze Stiepanem Kukuszkinem, który zrozumiał, że dzięki Bogu, w którego nie wierzył, operację Kremla udało się uratować. Ptaszki odfrunęły, ale przynajmniej wiedzieli dokąd.

Z ulgą przekazał swojemu przełożonemu, Kryłowowi, że jego agent podczas obserwacji Chandler's Court zauważył odjeżdżający cel, i bez skrupułów przypisał sobie całą zasługę w ustaleniu nowego miejsca pobytu chłopca i towarzyszących mu osób. Operacji nie trzeba było odwoływać, wystarczyło ją lekko odsunąć w czasie.

Kukuszkin działał na terenie całej Wielkiej Brytanii, lecz w Szkocji miał swoich ludzi tylko w brytyjskiej bazie atomowych okrętów podwodnych

w Faslane na rzece Clyde, w miejscu znacznie oddalonym od Inverness. Jednakże turyści z południa często wybierają się w góry, a uśpiony agent, który pełnił funkcję zwiadowcy, mógł uchodzić za takiego turystę. Otrzymał zgodę na natychmiastowy zakup dwuosobowego kampera, by uniknąć zatrzymywania się w hotelach w okolicy, gdzie nieznajomi zwracają na siebie uwagę.

Dwa dni później rezydent SWR dostarczył Miszy do wynajętego mieszkania w Staines paczkę z karabinem snajperskim. Zwiadowca przedstawił się zabójcy i obaj mężczyźni wyruszyli do Inverness.

Dla bezpieczeństwa Misza nie prowadził. Nie miał brytyjskiego prawa jazdy. Całą trasę pokonał zwiadowca, który w Anglii nazywał się Brian Simmons, pracował jako taksówkarz w Londynie i miał czyste papiery. Przejechał około ośmiuset kilometrów, co zajęło mu trzydzieści godzin, wliczając noc spędzoną w przydrożnej zatoczce.

Pewnego jasnego ranka w połowie października niewinnie wyglądający kamper wjechał na teren posiadłości Craigleven, a podróżujący nim mężczyźni ujrzeli dach zamku. Misza zabrał się do pracy. Interesowały go tylko odległości i kąty. Posiadłość przecinały dwie publiczne drogi. Pokonał je obie, badając zamek ze wszystkich stron. Nie ulegało wątpliwości, że goście mieszkają w południowym skrzydle.

Na parterze mieściły się pokoje mieszkalne, a okna widokowe w południowej ścianie wychodziły na rozległe trawniki, które kończyły się stromym spadkiem terenu w głąb wąskiej doliny, gdzie na dnie płynął strumień. Dalej teren ponownie się wznosił ku wysokim zalesionym wzgórzom. Na wysokości zamku dolina miała tysiąc metrów szerokości.

Misza już wiedział, gdzie urządzi swoje niewidoczne stanowisko snajperskie: na zboczu góry, naprzeciwko trawnika i okien sypialni na trzecim piętrze. Wcześniej czy później patykowaty blondyn pojawi się w jednym z okien... i zginie. Albo dołączy do swojej rodziny na trawniku, by napić się kawy w promieniach słońca... i zginie.

Orsis T-5000 to wyjątkowa broń, która potrafi odstrzelić człowiekowi głowę z odległości dwóch tysięcy metrów przy użyciu pocisków Lapua Magnum

kalibru .338. Przy dobrej pogodzie panującej w dolinie, praktycznie bez wiatru, odległość tysiąca metrów gwarantowała trafienie w cel.

Misza nakazał swojemu towarzyszowi odjechać, tak żeby nie było go widać z zamku. Kiedy stanęli w zatoczce, wysiadł z samochodu, zabrał sprzęt i dosłownie rozplynął się w lesie po drugiej stronie doliny.

Snajper od tej chwili nie chciał się nikomu pokazywać. Zamierzał mieszkać w lesie tak długo, jak to będzie konieczne. Był przyzwyczajony do takiego życia. W samochodzie przebrał się w jednoczęściowy cętkowany kombinezon maskujący. W plecaku miał żelazne racje żywnościowe, manierkę z wodą oraz wielofunkcyjne szczypce do cięcia. W maskującej pochwie na udzie trzymał nóż bojowy.

Karabin okrył jutowy workiem, a do kieszeni włożył zapas amunicji, chociaż nie miał wątpliwości, że wystarczy mu jeden pocisk, który już był w zamku. Nie mył się ani nie czyścił zębów od dwóch dni. W tej branży mydło i pasta do zębów mogą zabić. Cuchną.

Powierzchnię jego munduru pokrywały materiałowe pętelki. Mógł w nich poutykać kępy liści, gdy już wybierze pozycję do strzału. Powoli ruszył przez las w stronę zbocza góry, które miało mu zapewnić widok na oddzielone rozpadliną południowe skrzydło zamku Craigleven.

Agent, który przyjechał z południa samochodem kempingowym, patrzył, jak jego pasażer znika w lesie. Nie pozostało mu już nic więcej do zrobienia. Przez telefon, który co chwilę tracił sygnał, powiadomił Kukuszkina w Londynie i szefa SWR w Jasieniewie. Oba asy wywiadu nie miały wpływu na dalszy rozwój wypadków.

Nie wiedzieli, gdzie dokładnie znajduje się snajper, co widział w lesie ani co robi. Wiedzieli tylko, że jest wyszkolonym i doświadczonym specjalistą od przetrwania na łonie przyrody, który czuje się w lesie równie swobodnie jak dzikie zwierzę, a także najlepszym strzelcem wyborowym w szeregach Specnazu.

Po wykonaniu zadania Misza porzuci karabin i zmieni się w niegroźnego obserwatora ptaków, po czym wyjdzie ze szkockiego lasu i za pomocą kilku zaszyfrowanych słów wezwie transport. Do tego czasu wszyscy musieli uzbroić się w cierpliwość.

\* \* \*

Kapitan Harry Williams nie był snajperem, ale brał udział w walkach i potrafił korzystać z używanego przez SAS karabinu snajperskiego AX50 z celownikiem optycznym Schmidt & Bender. Tego ranka wprowadził się razem ze swoimi ludźmi do kwater położonych nad pracownią komputerową w południowym skrzydle zamku.

W skład osobistej ochrony Luke'a Jenningsa wchodził obecnie Williams oraz jeden sierżant i dwóch żołnierzy. Sir Adrian uznał, że po przenosinach na północ nastolatki nic nie grozi. Nie mieli pojęcia, że ktoś widział ich wyprowadzkę z hrabstwa Warwick. Wydawało im się, że położony na uboczu szkocki zamek to oaza spokoju. Dlatego drugiego wieczoru kapitan Williams pożyczył wojskowego jeepa i wybrał się do jedynej wioski znajdującej się na terenie posiadłości. Była to oddalona o trzy kilometry osada Ainslie.

Składało się na nią najwyżej pięćdziesiąt domów, ale przynajmniej były tu kościół, lokalny sklepik i pub. W tym ostatnim kwitło życie towarzyskie. Harry Williams miał na sobie dżinsy i kraciastą koszulę. Nie potrzebował munduru. Miejscowi wiedzieli, że w zamku są goście, chociaż earl i jego żona byli nieobecni. Ludzie przy stolikach zamilkli. Nieznajomi rzadko się tutaj pojawiali. Williams skinął głową na powitanie.

– Dobry wieczór wszystkim. – Zabrzmiał jak policjant w telewizji.

Kilkanaście osób kiwnęło głowami. Skoro właściciel ziemski go zaprosił, facet najwyraźniej był w porządku.

Klienci byli rozproszeni po całym pomieszczeniu, ale jeden z nich siedział przy barze. Wydawał się zatopiony w myślach. Obok niego był wolny stółek. Williams go zajął. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Ładny dzień.

– Ta.

– Lubi pan jednosłodową whisky?

– Ta.

Williams złowił spojrzenie barmana i wskazał głową szklanekę nieznajomego. Barman zdjął z półki szlachetną jednosłodową Islay i nalał porcję. Mężczyzna uniósł brwi.



– Dla mnie to samo – poprosił Williams.

Jego nowy towarzysz był znacznie starszy, pewnie zbliżał się do sześćdziesiątki. Twarz miał ogorzałą od wiatru i słońca, pomarszczoną, z kurzymi łapkami w kącikach oczu, ale nie wyglądał na głupca. Harry przypuszczał, że spędzi w Craigleven kilka tygodni, i chciał zaprzyjaźnić się z miejscowymi. Nie wyobrażał sobie, jak bardzo mu się to opłaci.

Mężczyźni wzniesli toast i opróżnili szklaneczki. Mackie zaczął podejrzewać, że mieszkańcy zamku nie są zwykłymi turystami. Człowiek, który siedział obok niego, wyglądał na żołnierza.

– Zamieszkał pan w zamku? – spytał.

– Na jakiś czas – odpowiedział żołnierz.

– Zna pan szkockie góry?

– Nie za dobrze, ale łowiłem łosose w rzece Spey.

Szkot był emerytowanym żołnierzem. Nie brakowało mu oleju w głowie. Mężczyzna, który się do niego przysiadł, nie wydawał się zwykłym oficerem piechoty na urlopie. Był szczupły i umięśniony, podczas gdy pozostali mieszkańcy zamku sprawiali wrażenie cywilów. Czyli on zapewniał im ochronę.

– Jeszcze jeden nieznajomy właśnie zamieszkał w lesie – powiedział swobodnie Mackie.

Żołnierz zeszywniał.

– Biwakowicz? Turysta? Obserwator ptaków?

Mackie powoli pokręcił głową.

Po chwili Harry Williams wybiegł z baru, trzymając telefon przy uchu. Na drugim końcu linii był jego sierżant.

– Niech wszyscy odsuną się od okien – rozkazał kapitan. – Zaciągnąć zasłony. Wszędzie. Niedługo wrócę. Postaw wszystkich w stan gotowości.

\* \* \*

Stuart Mackie, tak samo jak kiedyś jego ojciec, był głównym gajowym na terenie posiadłości i bardzo martwiły go szkodniki. W okolicach Inverness występuje wiewiórka ruda, ale jej szara odmiana, duży szkodnik, próbuje

przenieść się na te tereny. Mackie postanowił jej w tym przeszkodzić, dlatego zastawiał sidła. Jeśli łapał obie odmiany wiewiórek, wypuszczał rude i uśmiercał szare.

Tamtego ranka właśnie sprawdzał swoje pułapki, gdy nagle zobaczył coś niespodziewanego. Błysk bieli w ścianie zieleni. To był ślad po świeżo uciętej gałązce. Przyjrzał się cięciu. Gałązki nie złamano, nie urwano ani nie ukrecono. Ucięto ją ostrym jak brzytwa nożem. A więc... zrobił to człowiek. Nieznajomy w lesie.

Człowiek ucina gałąź, jeśli zagradza mu ona drogę. Ale taka mała gałązka nie może nikomu przeszkadzać. Można ją po prostu odsunąć. Zatem ktoś potrzebował jej do innych celów, a mogło chodzić tylko o jedno. O kamuflaż.

Kto potrzebuje kamuflażu w lesie? Obserwator ptaków. Ale tacy ludzie, uzbrojeni w lornetki polowe i aparaty fotograficzne, szukają rzadkich, egzotycznych gatunków. To był las Stuarta Mackiego, który doskonale wiedział, jakie występują tu ptaki. Nie było żadnych wyjątkowych okazów. Kto jeszcze może maskować się w lesie? W młodości Mackie służył w Czarnej Straży. Dobrze znał snajperów.

\* \* \*

Harry wrócił do baru i zamówił kolejne dwie szklaneczki whisky, chociaż swojej nawet nie tknął.

– Ludzie, których chronimy, są bardzo cenni – rzucił cicho. – Chyba będę potrzebował pańskiej pomocy.

Stuart Mackie upił łyk ze świeżo napełnionej szklaneczki.

– Ta – powiedział.

\* \* \*

Znów świtało, a Mackie stał w lesie, nieruchomy jak drzewo, obserwując i nasłuchując. Przyglądał się leśnym zwierzętom. Znał je wszystkie. Od czasu do czasu szedł kilka metrów, bezgłośnie, trzymając się blisko stromego zbocza, które opadało ku strumieniowi płynącemu na dnie wąskiej doliny. Po

jej drugiej stronie, w odległości tysiąca metrów, znajdowały się południowa ściana zamku, okna i trawniki.

To młoda sarenka wzbudziła jego czujność. Ona także przedzierała się przez zarośla, szukając kępek świeżej trawy. Widział ją, ale ona nie widziała jego. Nagle gwałtownie podniosła łeb, obejrzała się i zaczęła węszyć, po czym uciekła. Niczego nie zauważyła, ale wyczuła woń czegoś, czego nie powinno tam być. Mackie wbił wzrok w miejsce, które obserwowała sarna.

\* \* \*

Misza znalazł idealne gniazdo strzeleckie wśród sterty powalonych pni i płataniny gałęzi na zboczu, z którego widać było południową ścianę zamku. Miernik odległości, kształtem przypominający lupę jubilerską, wskazał, że od celu dzieli go tysiąc metrów, co stanowiło połowę skutecznego zasięgu orsisa.

W cętkowanym maskującym stroju, pokryty gałązkami i liśćmi, stał się niemal niewidoczny. Metalowy korpus karabinu owinięty jutowym workiem wygodnie wpasował się w jego ramię. Misza leżał nieruchomo, tak samo jak w nocy, i nie zamierzał poruszyć żadnym mięśniem, drgnąć ani się podrapać przez kolejne godziny, jeśli nie będzie to konieczne. To była część jego wyszkolenia, dyscypliny, która pozwoliła mu przeżyć w zaroślach Doniecka i Ługańska, gdzie odstrzeliwał kolejnych Ukraińców.

Widział młodą sarenkę. Dostrzegła go, kiedy była trzy metry od niego. Teraz w stronę jego kryjówek biegła wiewiórka. Nie miał pojęcia, że kolejna para oczu obserwuje go z odległości pięćdziesięciu metrów; nie podejrzewał, że w lesie jest inna nieruchoma postać, równie wyszkolona jak on.

\* \* \*

Stuart Mackie próbował dojrzeć to, czego wypatrywała sarna. W dole stoku zobaczył płataninę powalonych pni. Nic się tam nie poruszało... dopóki nie pojawiła się wiewiórka. Skakała po stercie pni i gałęzi. Po chwili także przystanęła i na coś się zapatrzyła. I zaraz czmychnęła, wydając ostrzegawcze piski. W odległości sześćdziesięciu centymetrów zobaczyła ludzkie oko.

Mackie wyteżył wzrok. Pnie były nieruchome i nie dobiegał spośród nich żaden odgłos.

Facet znalazł się na rzeczy. Ale tam był. Powoli wśród listowia pojawił się kształt. Sosnowe i modrzewiowe gałązki przeciągnięte przez pętelki na maskującej kurtce. Pod nimi zarys ramion, rąk, głowy okrytej kapturem. A za pniem jutowy worek zarzucony na metal, by nic nie lśniło w porannym świetle.

Mackie bezszelestnie się oddalił, zapamiętawszy miejsce. Za grubym dębem wyjął z kieszeni komórkę i wpisał zapamiętany kod. W zamku po drugiej stronie doliny ktoś szepnął do słuchawki.

– Stuart?

– Mam go – szeptem odpowiedział Szkot.

– Gdzie?

Harry Williams był w pokoju na górnym piętrze w południowym skrzydle zamku. Okna były otwarte, a on tkwił w głębi pomieszczenia, niewidoczny z zewnątrz. Przy oczach trzymał lornetkę polową Zeiss, przy uchu telefon.

– Widzisz tę białą skałę? – spytał głos w słuchawce.

Williams rozejrzał się po dolinie. Była tam tylko jedna biała skała.

– Tak – potwierdził.

– Trzy metry nad nią. Piętnaście metrów w lewo. Sterta powalonych pni. Jutowy worek, dodatkowe liście.

– Tak – powtórzył Williams.

Rozłączył się i odłożył lornetkę. Przysunął się na kolanach do przewróconego fotela i leżącego na nim karabinu, oparł jego korpus o ramię i popatrzył przez celownik optyczny Schmidt & Bender. Widział płataninę powalonych pni równie wyraźnie jak przez lornetkę. Lekko wyregulował ostrość. Teraz widział jeszcze wyraźniej. Jakby był w odległości dziesięciu metrów.

Jutowy worek – którego nie powinno być w lesie – a w jego głębi rozbłysk szkła. Inny celownik optyczny, skierowany na niego. Kilka centymetrów wyżej znajdowała się, ukryta pod kapturem, zmarszczona twarz strzelca wyborowego.

Williams usłyszał głosy na dole. Informatycy otwierali okna panoramiczne. Ostrzegł ich, żeby nie wychodzili na trawnik i nie rozsuwali zasłon, ale ktoś najwyraźniej postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza. Może to Luke. Nie było czasu na litość. Jego palec wskazujący oparł się o spust AX50. Delikatne naciśnięcie. Lekkie uderzenie w ramię.

Pocisk kalibru .50 pokonał dolinę w trzy sekundy. Rosjanin niczego nie zauważył, niczego nie usłyszał, niczego nie poczuł. Nadlatujący pocisk odbił się od wierzchu jego celownika optycznego i wbił mu się w mózg. Misza umarł.

Luke Jennings wcale nie zamierzał wyjść na trawnik. Siedział w pracowni komputerowej i wpatrywał się w ekran. Obok niego przykucnęła doktor Hendricks. Nie spali całą noc. Dla Foxa nie istniały noc ani dzień, były tylko migoczące cyfry na ekranie i klawisze pod palcami.

Dziewięć stref czasowych na wschód, w jaskini pod górą na północ od Pjongjangu, technicy strzegący sekretu programu raketowego Kim Dzong Una niczego nie podejrzewali. Nie zdawali sobie sprawy, że ktoś pokonał ich zabezpieczenia i pozyskał kody dostępu, a kontrolę nad ich systemem przejął genialny mózg jasnowłosego angielskiego chłopca.

W innej pograżonej w półmroku jaskini, wewnątrz szkockiego zamku, doktor Hendricks, widząc, jak na jego oczach otwierają się cybernetyczne drzwi, wyszeptał tylko: „Jasna cholera”.

\* \* \*

Godzinę po strzale w Craigleven sir Adrian otrzymał od kapitana Williama pełny raport, przez który był teraz w rozterce. Działanie Rosjan stanowiło jaskrawy akt agresji, a gdyby dowiedziały się o nim media, nie dałoby się uniknąć potężnego skandalu.

Moskwa oczywiście wszystkiemu by zaprzeczyła. W sprawie Skripala i jego córki cały świat usłyszał o dwojgu ledwo żywych Rosjanach szukających azylu oraz o rosyjskim środku paraliżującym rozsmarowanym na klamce ich drzwi, a jednak nawet w obliczu tych przytłaczających dowodów Rosja wyparła się wszystkiego, a skandal nie cichł całymi miesiącami.

Teraz znaleziono martwego obywatela Rosji, co wykazałaby analiza danych dentystycznych, ale takie dane również można zakwestionować. Znaleziono rosyjski karabin snajperski Orsis T-5000, ale Wielka Brytania mogła go przecież kupić poza Rosją. Poza tym Marjory Graham wyraźnie poprosiła sir Adriana, żeby nie rozpętał wojny.

Co więcej, cała ta afera mogła doprowadzić do zdemaskowania wrażliwego młodzieńca mieszkającego w zamku Craigeven, czego Weston chciał uniknąć za wszelką cenę.

Doskonale wiedział, kto zlecił zamach w szkockich górach. Gdyby nie interwencja przytomnego szkockiego gajowego, snajper mógłby osiągnąć swój cel. Przy samotnym lunchu w klubie sir Adrian wpadł na pomysł, który mógł rozwiązać wszystkie problemy i pozwolić wziąć dawno zasłużony odwet na Jewgieniju Kryłowie. Wykorzystując bezpieczną linię, zadzwonił do kapitana Williama i przekazał mu instrukcje.

A co do Kryłowa, który czeka na wieści w Jasieniewie, to niech się pomartwi... jeszcze przez chwilę.

\* \* \*

Tydzień później brytyjski minister spraw zagranicznych porozmawiał z rosyjskim ambasadorem, którego wezwano na King Charles Street. Minister przez cały czas stał, by pokazać, że nie ma czasu na uprzejmości. Chodziło o oficjalną naganę.

– Mam w obowiązku poinformować pana, że brytyjskie służby bezpieczeństwa schwytały członka rosyjskich sił specjalnych, który chciał dokonać aktu agresji na terenie naszego kraju – powiadomił dyplomatę. – Rząd Jej Królewskiej Wysokości jest tym głęboko oburzony. Ów człowiek był w posiadaniu karabinu snajperskiego, który zamierzał wykorzystać do popełnienia zabójstwa.

W tej chwili obrócił się i wskazał stojący w głębi gabinetu stół, na którym leżał jakiś przedmiot okryty grubym zielonym suknem. Jeden z podwładnych zdjął materiał, odsłaniając karabin Orsis T-5000 oparty na dwójnogu,

z celownikiem optycznym. Ambasador, zaróżowiony z gniewu, już miał wszystkiemu zaprzeczyć, ale w tym momencie pobladł jak ściana.

– Jestem zobowiązany poinformować pana, Wasza Ekscelencjo, że ów człowiek postanowił złożyć wyczerpujące zeznania i poprosił o azyl. Mówiąc krótko, zmienił front. Kiedy otrzymał taką propozycję, postanowił wyemigrować i rozpocząć nowe życie w Stanach Zjednoczonych. Zaakceptowano jego warunki. Wyjechał dziś rano. To wszystko.

Rosyjskiego ambasadora wyprowadzono z budynku. Chociaż na zewnątrz był spokojny, w środku kipiał ze złości, ale nie na Brytyjczyków. Do wściekłości doprowadzili go głupcy w ojczyźnie, przez których musiał przeżyć takie upokorzenie. Jego późniejszy raport doskonale odzwierciedlał te uczucia. Wysłał go nie do Jasieniewa, do głównej siedziby SWR, tylko do Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Placu Smoleńskim. Stamtąd dokument trafił na Kreml.

\* \* \*

Przyszli po niego we czterech, w pełnym umundurowaniu Pułku Kremłowskiego. Woźd' chciał udowodnić, że nie rzuca słów na wiatr. W milczeniu podążyli na siódme piętro; nikt nie stanął im na drodze. Jewgienij Kryłow nie protestował – nie miałoby to sensu. Każdy wiedział, czyje rozkazy wykonują. Drzwi gabinetów pozostawały zamknięte, gdy wyprowadzali go do holu i na zewnątrz, przez główne wejście. Ziła nie było w garażu. Kryłowa nigdy więcej nie widziano w brzozowym lesie.

## Rozdział dwudziesty drugi

Dla wielu ludzi wędrowanie po górach i dolinach Szkocji to przyjemna forma wypoczynku. Ale to także wyzwanie, które wymaga dużej sprawności fizycznej.

Każdą górę wyższą niż tysiąc metrów nazywa się Munro, a jest ich dwieście osiemdziesiąt trzy, wliczając tę na terenie posiadłości Craighleven. Tamtego października dobra pogoda jeszcze się utrzymywała; wciąż świeciło słońce i wiał ciepły wiatr, dlatego zdecydowali się na wędrowkę.

Długo debatowali, czy Luke jest wystarczająco silny i sprawny, by dołączyć do grupy. On sam gorliwie zapewniał ich, że tak. Jego matka miała wątpliwości, lecz piękna pogoda i orzeźwiające powietrze w końcu przekonały ją, że ośmiokilometrowy marsz dobrze mu zrobi. Od dawna martwiła się, że syn za dużo czasu spędza w półmroku, przy komputerze. Zostało więc postanowione: Luke pójdzie z nimi.

Być może sprawił to pobyt na wsi, a może towarzystwo żołnierzy i informatyków, w każdym razie chłopak nabierał pewności siebie. Od czasu do czasu sam rzucał jakąś uwagę, zamiast milczeć lub potulnie czekać, aż ktoś się do niego odezwie. Sue miała nadzieję, że jej syn stopniowo zaczyna dostrzegać rzeczywistość także poza ekranem komputera wyświetlającym powódź cyfr, które od dawna były jego całym światem.

Grupa składała się z sześciu osób. Prowadzili Stuart Mackie, znający wzgórze i doliny jak własną kieszeń, oraz sierżant Eamonn Davis z SAS, który pochodził z walijskich gór Brecon Beacons. Oprócz nich na wędrowkę wybrali się dwaj żołnierze, informatyk i Luke Jennings.

Dla gajowego i sierżanta Davisa wycieczka przypominała spacer po parku, gdyż obaj byli niezwykle sprawni. To samo dotyczyło żołnierzy SAS. Żaden



mieszkaniec nizin nie mógłby dotrzymać im kroku, więc idąc gęsiego, wzięli informatyka i Luke'a w środek.

Żołnierze byli przyzwyczajeni do dźwigania ogromnych plecaków, jednak podczas tej wycieczki wystarczyły lekkie chlebaki, do których spakowali batony energetyczne, manierki z wodą oraz skarpety na zmianę. Nieśli także rzeczy obu komputerowych speców, którzy musieli zadbać tylko o odpowiedni strój. Wszystko powinno pójść jak z płatka.

Po godzinie urządzili postój, a następnie zaczęli się wspinać na Ben Duill. Podejście stawało się coraz bardziej strome, ale szlak miał metr szerokości i był dobrze widoczny. Po jednej stronie wznosiła się górską ścianą sięgająca aż do szczytu, a po drugiej łagodne zbocze opadało w głąb doliny. Wydawało się, że Luke nie powinien stracić równowagi na zwirowej dróżce. Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Gdyby szedł za nim żołnierz, mógłby zdążyć go złapać. Jednak za Lukiem kroczył informatyk. Rzucił się za spadającym chłopcem, ale go nie pochwycił. Luke spadł zaledwie metr niżej, a potem przeleciał przez wrzosy, lecz pechowo natrafił na ukryty wśród nich kamień. Głowa chłopca uderzyła o niego z cichym trzaskiem. Sierżant Davis znalazł się tam w ciągu kilku sekund.

Oczywiście był przeszkolony w udzielaniu pierwszej pomocy. Przyjrzał się rozcięciu i wgłębieniu na lewej skroni, a następnie zarzucił sobie bezwładnego chłopca na ramię i wspiął się dziesięć metrów z powrotem po zboczu. Z góry wyciągnęły się ręce, które pomogły mu wydostać się na ścieżkę. Kiedy znalazł się na równym terenie, mógł dokładniej zbadać obrażenia Luke'a.

Miejsce uderzenia puchło i siniało. Sierżant Davis delikatnie otarł je zmoczoną szmatką, ale chłopiec był nieprzytomny. Mógłby zarzucić go sobie na plecy i zanieść do zamku, a pozostali dwaj żołnierze by mu pomogli, ale to trwałoby zbyt długo. Nie wiedział, czy ma tyle czasu. Podniósł wzrok na Stuarta Mackiego.

– Śmigłowiec – powiedział.

Gajowy skinął głową i wyjął komórkę. Najbliższa jednostka górskiego pogotowia ratunkowego stacjonowała w Glenmore, oddalonym o sześćdziesiąt

kilometrów, i miała helikopter. Po czterdziestu minutach grupa czekająca na zboczu usłyszała warkot śmigłowca S-92 wlatującego w głąb doliny.

Opuszczono nosze i bezwładne ciało Luke'a Jenningsa trafiło na pokład maszyny. Godzinę później chłopiec, wciąż nieprzytomny, wjechał na ostry dyżur szpitala Raigmore w Inverness, najbliższym dużym mieście.

Lekarze zrobili tomografię i uznali, że pacjenta należy przetransportować na południe, do Edynburga, gdzie jest szpital z nowoczesnym oddziałem specjalizującym się w urazach mózgu. Luke'a przewieziono samolotem.

Chłopak miał szczęście. Dwa dni wcześniej wrócił ze swojego dorocznego urlopu profesor Calum McAvoy, uznawany za najlepszego neurochirurga w Szkocji. Zrobił kolejną tomografię i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Zewnętrzne objawy, które sprawiły, że sierżant Davis zlekceważył obrażenia, okazały się złudne. Uderzenie w skroń spowodowało krwotok do mózgu. McAvoy postanowił niezwłocznie operować.

Wprowadził pacjenta w głęboką śpiączkę farmakologiczną, po czym otworzył czaszkę i wykonał kraniektomię, podczas której usuwa się znaczną część mózgowiczaszki. Obawy lekarza się potwierdziły i jedyne szczęście, że nastąpiła odpowiednio szybka interwencja.

To był krwiak nadwardówkowy – krwotok do mózgu – i dalsza zwłoka mogła doprowadzić do nieodwracalnych uszkodzeń. McAvoy zdołał zatamować krwawienie, w duchu dziękując lekarzom z Inverness, że przysłali chłopca na nowoczesny oddział w Edynburgu, mimo że straciło się przy tym nieco czasu.

Utrzymał Luke'a w śpiączce przez kolejne trzy dni. Nastolatek w sumie spędził dwa tygodnie na oddziale intensywnej opieki medycznej, po czym, wciąż z obandażowaną głową, wrócił do zamku Craighleven.

Towarzyszyli mu matka i kapitan Harry Williams. Sue Jennings zatrzymała się w niewielkim hotelu w Edynburgu, dzięki czemu mogła codziennie odwiedzać syna. Harry Williams przyleciał tam, żeby być przy niej i przy Luke'u.

Nie licząc opatrunku, Luke był taki sam jak przed upadkiem. Wciąż szukał pomocy matki w sytuacjach towarzyskich, ale nie stracił jasności umysłu. Kiedy wrócił do zamku, wyraźnie się ucieszył, że znów przebywa

w znajomym otoczeniu, gdzie wszystkie jego rzeczy znajdują się na ściśle określonych miejscach.

Przez godzinę siedział przy oknie w swoim pokoju w południowej części zamku i patrzył na rozległe trawniki oraz zapierającą dech w piersiach dolinę, w której, z czego nie zdawał sobie sprawy, już po raz drugi otarł się o śmierć. Nikt nie powiedział mu o rosyjskim snajperze pogrzebanym głęboko w lesie po drugiej stronie doliny.

Doktor Hendricks zaopiekował się chłopcem i postanowił czym prędzej znów wprowadzić go do jego ulubionej pracowni komputerowej. Przez wiosnę i lato tak bardzo się ze sobą zżyli, że mężczyzna z GCHQ był teraz dla Luke'a niczym ojciec, do tego stopnia, że chłopak zaczynał zapominać swojego prawdziwego tatę. Oczywiście tamten nigdy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania jedyną pasją chłopca – tajemniczym światem cyberprzestrzeni.

Ale doktor Hendricks zauważył, że chociaż Luke skrupulatnie sprawdza rozmieszczenie wszystkich przedmiotów w swoim pokoju, nie przejawia większej chęci, by wrócić do pracowni komputerowej. To tylko kwestia czasu, pomyślał. Po urazie mózgu potrzebuje odpoczynku.

Pierwsze niepokojące sygnały pojawiły się, gdy Luke w końcu spędził godzinę przy klawiaturze swojego ukochanego komputera. Radził sobie sprawnie, jak każdy młody człowiek we współczesnych czasach. Jego palce błyskawicznie przemykały po klawiszach. Przeszedł kilka prostych testów sprawnościowych. Potem doktor Hendricks zlecił mu bardziej złożone zadanie.

\* \* \*

Daleko na południu Londynu, w północno-zachodnim kwadrancie, rozciąga się podmiejska dzielnica Northwood. Pod jej ulicami, wzdłuż których rosną drzewa i stoją równe rzędy domów, w miejscu, którego nikt nie ogląda i o którym nikt nie myśli, jest główna siedziba Królewskiej Marynarki Wojennej.

Admiralicja rezyduje w środkowym Londynie, okręty wojenne cumują w Devonport, potężne lotniskowce *Queen Elizabeth* i *Prince of Wales* wciąż przechodzą testy u wybrzeży Portsmouth, a atomowe okręty podwodne stacjonują w ujściu rzeki Clyde niedaleko Faslane, ale skomputeryzowane serce marynarki bije w Northwood. Właśnie tam znajduje się główna baza danych, ukryta za budzącymi grozę firewallami, które strzegą kluczowych kodów dostępu.

Sir Adrian uzyskał zgodę Pierwszego Lorda Admiralicji, by młodociany geniusz spróbował uzyskać te kody dostępu. Luke pracował przez tydzień, ale bezskutecznie. Wyglądało na to, że stracił swój szósty zmysł. Nawet informatycy z GCHQ uzyskiwali lepsze od niego wyniki w teoretycznych ćwiczeniach, chociaż żadnemu nigdy nie udało się przedostać do rdzenia systemu.

Sir Adrian przyleciał z Londynu do Inverness, skąd kierowca zawiózł go do zamku. Odbił długą, delikatną rozmowę z Lukiem i jego matką oraz bardziej fachową dyskusję z doktorem Hendricksem, który wyjaśnił, że coś najwyraźniej się zmieniło. Zagubiony chłopiec stukający w klawiaturę nie był już tym samym młodzieńcem, który dwa tygodnie wcześniej wyruszył na górską wycieczkę.

Sir Adrian ponownie skonsultował się z profesorem Simonem Baronem-Cohenem w jego gabinecie w Cambridge. Specjalista nie rozproszył jego obaw. Pomimo licznych badań wciąż nie dawało się przewidzieć skutków uszkodzenia mózgu.

To, co spotkało Luke'a Jenningsa, nie było lekkim uderzeniem w czaszkę, które chwilowo pozbawiło go przytomności, czyli „znokautowało”, jak mówią laicy. Takie urazy przydarzają się wielu ludziom – na ringu bokserskim, w pracy albo w domu. Powrót do zdrowia jest wtedy szybki i całkowity.

Wyglądało na to, że uderzenie o kamień leżący na zboczu szkockiej góry było poważniejsze. Profesor potwierdził, że na skutek uszkodzenia mózgu może dojść do trwałych zmian w jego funkcjonowaniu. Nie ma gwarancji, że z czasem mózg sam wróci do normy.

\* \* \*

Sir Adrian wrócił do Londynu, by poinformować panią premier, że operacja Troja, która opierała się na niezwykłych zdolnościach Foxa, dobiegła końca.

– Czy chłopak doznał jakichś innych obrażeń, Adrianie?

– Nie, pani premier. Wydaje się wręcz, że od czasu powrotu ze szpitala jest znacznie lepiej przystosowany społecznie. Ale musimy pogodzić się z tym, że opuścił go nadzwyczajny talent do przebijania się przez najbardziej złożone zabezpieczenia.

– Więc nasza tajna broń już nie działa?

– Na to wygląda.

– Kto wie, że kiedykolwiek istniała?

– Bardzo niewielu ludzi, pani premier. Wśród naszych sojuszników tylko Biały Dom i kilku wysokich rangą Amerykanów. A po tej stronie oceanu jedynie pani, nieliczni członkowie gabinetu oraz ściśle kierownictwo wywiadu. Wszyscy jesteśmy zobowiązani do zachowania tajemnicy i zdążyliśmy do tego przywyknąć. Nie przypuszczam, żeby doszło do przecieku, jeśli rozwiąże się całą komórkę. Jeśli zaś chodzi o Kreml, to sądzę, że będą woleli nie ruszać tej sprawy.

– A co z rodziną Jenningsów? Z pewnością pogrążyliśmy ich życie w chaosie?

– Podejrzewam, że pani Jennings będzie chciała ponownie wyjść za mąż. Proponuję, by wszyscy pisemnie zobowiązali się do zachowania tajemnicy, a my przeznaczymy trochę funduszy na to, by znaleźć Luke’owi pracę i umożliwić Marcusowi ukończenie szkoły, oraz na rekompensatę za wiosnę i lato, które spędzili poza domem.

– Dobrze, Adrianie. Liczę, że się tym zajmiesz. Mówiąc w skrócie, to się nigdy nie wydarzyło, a przynajmniej nie miał z tym nic wspólnego rząd Jej Królewskiej Wysokości.

– Oczywiście, pani premier.

\* \* \*

Zakończenie operacji miało cichy i bardzo dyskretny przebieg. Za zgodą pani premier sir Adrian poprosił doktora Hendricksa, by ten zlikwidował centrum komputerowe w szkockim zamku i odesłał ludzi na ich posterunki w Cheltenham.

Zgodnie z przewidywaniami Westona, Sue Jennings i kapitan Harry Williams postanowili wziąć ślub. Sue została żoną żołnierza, a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu w Luton nabyła rodzinną posiadłość na przedmieściach Hereford, niedaleko bazy SAS.

Oznajmiła swoje plany synom. Obaj dobrze dogadywali się z Harrym Williamsem. Marcus spokojnie przyjął kolejną zmianę szkoły, ponieważ zostały mu jeszcze dwa lata do końcowych egzaminów. Ku zaskoczeniu Sue, nawet Luke zaakceptował jej decyzję. Wydawało się, że najtrudniejsze zachowania związane z jego zaburzeniem zaczynają ustępować. Potrzebował tylko swojego pokoju komputerowego, w którym bawił się grami i najwyraźniej nie był już w stanie się spustoszenia w bazach danych, zarówno wrogów, jak i przyjaciół.

Skoro baza w zamku ulegała likwidacji, doktor Hendricks miał jeszcze jeden dylemat. Wciąż dysponował informacjami, które Luke zdobył tuż przed swoim wypadkiem. To były kody dostępu do samego serca północnokoreańskiego programu raketowego, o których pozyskaniu Pjongjang nie miał pojęcia. Doktor pozostawił decyzję sir Adrianowi.

\* \* \*

Stary as wywiadu przeżył ciekawe, ale wyczerpujące siedem miesięcy. Zmęczył go Londyn – hałas, presja, spaliny i tłumy. Zateśnił za swoim domkiem w cichym hrabstwie Dorset. Przez cały ten czas sąsiad zajmował się jego spanielem. Sir Adrian pragnął znów spacerować po lesie, z psem przy nodze, żyć wśród swoich książek i wspomnień, a wieczorami palić w kominku. Ale najpierw musiał załatwić jeszcze jedną sprawę w mieście.

Wielka Brytania wciąż mogła potajemnie przejąć kontrolę nad układami naprowadzania północnokoreańskich rakiet. Uznał, że szkoda byłoby zmarnować taką okazję.

\* \* \*

Jesienią Korea Północna przetestowała kolejny pocisk. Nie Hwasong-15, tylko mniejszy i starszy Taepodong-2. Powód był prosty. Pomimo licznych obietnic Pjongjangu, prace nad budową i miniaturyzacją głowic jądrowych nadal trwały w tajnych laboratoriach badawczych ukrytych pod ziemią. Tymczasem dokonano efektownych wyburzeń zakładów naziemnych, by usprawiedliwić amerykańskie ustępstwa w sprawie sankcji gospodarczych.

Po katastrofie z Hwasong-20 postanowiono ulepszyć starszy pocisk Taepodong, a następnie wyposażyć go w mniejszą głowicę. Czterostopniowy pocisk Taepodong oficjalnie był przeznaczony do badań przestrzeni kosmicznej, dlatego podczas testu nie zamontowano na nim głowicy.

Pocisk wystrzelono z wyrzutni w Tonghae, by nie wzbudzać podejrzeń. Wcześniej nigdy nie startowały stamtąd pociski o militarnym przeznaczeniu.

Najnowszy pocisk sprawdził się znakomicie – przynajmniej na początku. Wystartował pionowo i wzleciał dostojnie w stratosferę. Zaprojektowano go tak, by sięgnął egzosfery, a następnie skręcił na wschód w stronę Morza Japońskiego. Po minięciu japońskiej wyspy Hokkaido miał spalić resztkę paliwa i wpaść do zachodniego Pacyfiku. Ale gdy znajdował się w najwyższym punkcie, coś poszło nie tak. Pocisk zachwiał się i przechylił, po czym skręcił na zachód. W stronę Chin.

W Tonghae naukowcy gorączkowo stukali w klawiatury komputerów, próbując przywrócić właściwy kurs. Czujniki nie reagowały. Kiedy stało się jasne, że Taepodong wyrwał się spod kontroli, rozpaczliwie wpisali kody samozniszczenia. Pocisk zadrżał, pochylił się i zaczął opadać.

Spadł na otwartym wiejskim terenie, wywołując potężną eksplozję, po której pozostał ogromny krater. Nie zrobił nikomu krzywdy i nie spowodował większych zniszczeń, jedynie wywołał drgania ziemi wyczuwalne w kilkunastu pobliskich chłopskich chatach na północ od Pekinu, ale chińskie radary wykryły obcy obiekt i dowództwo ogłosiło czerwony alarm. Prezydent Xi, który przebywał w swoim gabinecie wewnątrz Zakazanego Miasta w Pekinie, wkrótce dowiedział się o fałszywym alarmie.

Tak się przypadkiem złożyło, że tego samego ranka wybuchły zamieszki w trzech prowincjonalnych miastach w Korei Północnej. Wyglodniali obywatele przypuścili szturm na sklepy spożywcze dla uprzywilejowanych elit. Armia pretorianów brutalnie stłumiła bunt, ale paru generałów rozkazało swoim ludziom pozostać w koszarach. Zameldowano o tym w Pekinie. W części raportów znalazły się informacje, że od kilku tygodni ludzie są zasypywani ulotkami przyczepionymi do balonów z helem, które przywiewa jesienny południowy wiatr.

Prezydent Kim wycofał się do swojego ufortyfikowanego luksusowego kompleksu mieszkalnego w Wonsan na wschodnim wybrzeżu. Wszystkich dróg dojazdowych pilnowała lojalna prezydencka straż.

Tydzień po upadku pocisku elitarne chińskie oddziały wodno-lądowe dotarły do zachodniego wybrzeża Zatoki Koreańskiej. Nikt im nie przeszkodził. Większość północnokoreańskiej armii dla własnego bezpieczeństwa pozostała w koszarach, tak jak to doradzano w radiowych komunikatach odczytywanych po koreańsku.

Dyktatora Korei Północnej spotkał los Ceaușescu, o którym jego nieżyjący ojciec wspominał w rozmowie z Condoleezzą Rice: sładzy o wypranych mózgach w końcu przestali wiwatować i zaczęli buczeć.

Tydzień później prezydent wyszedł ze swojej fortecy w Wonsanie i został aresztowany. Drony wypuszczone z dwóch amerykańskich okrętów wojennych, stacjonujących niedaleko wybrzeża Korei Południowej, transmitowały te wydarzenia na cały świat.

\* \* \*

Niedaleko zamku w szkockich górach, wiejskiego domku w Dorset oraz bazy SAS w Hereford spacerowicze usłyszeli strzały. Sezon na bażanty trwał w najlepsze.



# Lista postaci i organizacji

## **Wielka Brytania**

Profesor Simon Baron-Cohen, wykładowca akademicki i specjalista od zaburzeń psychicznych

Lucinda Berry, szefowa Policji Metropolitalnej

Sir Richard Dearlove, dyrektor MI5 do czasu przejścia na emeryturę w 2004 roku

Profesor Martin Dixon, Królewski Instytut Zjednoczonych Służb

Marjory Graham, premier

Doktor Jeremy Hendricks, informatyk w GCHQ i mentor Luke'a Jenningsa

Rodzina Jenningsów: Harold, Sue oraz ich dwaj synowie, Luke (18 lat) i Marcus (13 lat)

Doktor Bob Langley, Międzynarodowy Instytut Studiów Strategicznych

Julian Marshall, wicesekretarz rządu

Ciaran Martin, dyrektor NCSC

Jessica Thompson, córka Roberta Thompsona (10 lat)

Robert Thompson, osobisty sekretarz ministra spraw wewnętrznych

Sir Adrian Weston, doradca premiera do spraw bezpieczeństwa

Kapitan Harry Williams, dowódca oddziału ochrony SAS

Brytyjskie Narodowe Centrum Cyberbezpieczeństwa (NCSC), z siedzibą w dzielnicy Victoria

Centrala Łączności Rządowej (GCHQ), z siedzibą w Cheltenham

Królewski Instytut Zjednoczonych Służb (RUSI)

Międzynarodowy Instytut Studiów Strategicznych (IISS)

Cabinet Office Briefing Room, rządowa sala odpraw (COBRA)

Secret Intelligence Service (SIS), brytyjski wywiad wojskowy, znany też jako MI6, z siedzibą przy Vauxhall Cross

Security Service, służba bezpieczeństwa, znana też jako MI5

Special Air Service (SAS), specjalna jednostka do działań z powietrza

Special Boat Service (SBS), specjalna jednostka do działań na morzu

Special Reconnaissance Regiment (SRR), Specjalny Pułk Zwiadowczy

### **Liechtenstein**

Herr Ludwig Fritsch, bankier w banku Vaduz

### **USA**

Graydon Bennett, Departament Stanu

Wesley Carter III, ambasador USA w Londynie

Detektyw Sean Devlin z nowojorskiej policji

John Owen, attaché prawny (przedstawiciel FBI)

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki

Agencja Bezpieczeństwa Krajowego (NSA), z siedzibą w Fort Meade

Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA)

Departament Bezpieczeństwa Krajowego (DHS)

Federalne Biuro Śledcze (FBI)

Służby Imigracyjne i Celne (ICE)

Special Activities Division (SAD), oddział do działań specjalnych

### **Rosja**

Kapitan Piotr Denisowicz, kapitan *Admirała Nachimowa*

Jewgienij Kryłow, szef SWR w Jasieniewie

Stiepan Kukuszkin, szef biura SWR w ambasadzie Rosji w Londynie

Oleg Politowski, zastępca Kukuszkina

Ilja Stiepanowicz, niegdyś ważna postać w rosyjskim świecie przestępczym, dziś miliarder

Wiktor Uljanow, rosyjski przestępca w Nowym Jorku

Władimir Winogradow, były szef gangu i zawodowy przestępca, dziś oligarcha i milioner zamieszkały w Londynie

Dmitrij Wołkow (pan Burke), przywódca rosyjskiej siatki uśpionych agentów w Wielkiej Brytanii

Prezydent Rosji (Woźd')

Jakowienko, ambasador Rosji w Wielkiej Brytanii

Bujar Zogu, albański płatny zabójca, z którym skontaktował się Winogradow

Departament V, wyszkoleni zabójcy, dawniej Departament 13

Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB), przemianowany Drugi Zarząd Główny KGB

KGB, ZSRR, agencja bezpieczeństwa (1954–1991)

Nocne Wilki, gang motocyklowy odpowiedzialny za napady i zabójstwa

Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR), z siedzibą w Jasieniewie

Specnaz, żołnierze sił specjalnych

*Wory w zakonie*, „honorowi złodzieje”, zorganizowany świat przestępczy

Energomasz, producent silnika raketowego RD250

### **Izrael**

Awigdor (Awi) Hirsch, ambasador Izraela w Londynie

Meyer Ben-Awi (kryptonim Spinki), dyrektor Mosadu

Duwdewan, szpiedzy przenikający do wrogich krajów

Kidon (Bagnet albo Grot), zagraniczni zabójcy

Mosad (Instytucja), tajna agencja wywiadowcza

Mossad le-Alija Bet, dawna nazwa Mosadu

*Sajanim* (pomocnicy)

Sajjeret Matkal, jednostka sił specjalnych

Szmone Matajim albo Jednostka 8200, informatyczny think tank

### **Iran**

Ajatollah Chamenei, Najwyższy Przywódca

Ali Fadawi, dowódca marynarki wojennej w Pasdaranie

Pułkownik Mohammed Khalq, dowódca operacji Taeba

Hossein Taeb, szef wywiadu w Pasdaranie

Brygada al-Kuds, wewnętrzna komórka w Pasdaranie

Basidż, ochotnicze siły rezerwowe Pasdaranu  
FEDAT, siedziba główna programu budowy broni jądrowej, realizowanego  
na zlecenie Ministerstwa Obrony Narodowej  
Pasdaran, Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej  
SAVAMA, tajna policja  
VAJA, irańskie Ministerstwo Wywiadu  
Fordo, zakład wzbogacania uranu

### **Korea**

Song Ji Wei, założyciel ruchu No Chain  
Jang Söng T'aek, wujek i mentor Kim Dzong Una  
Dynastia Kimów: Kim Ir Sen, Kim Dzong Il, Kim Dzong Un  
Generał Li Song Rhee, generał armii, uciekinier do Korei Południowej /  
Stanów Zjednoczonych  
Koryolink, państwowa sieć telefonii komórkowej  
Pektu-san, święta góra, rzekome miejsce narodzin Kim Dzong Ila  
Punggje-ri, poligon do testów jądrowych, obecnie zniszczony

# Przypisy

1 Na [końcu książki](#) znajduje się lista występujących tu postaci i organizacji.